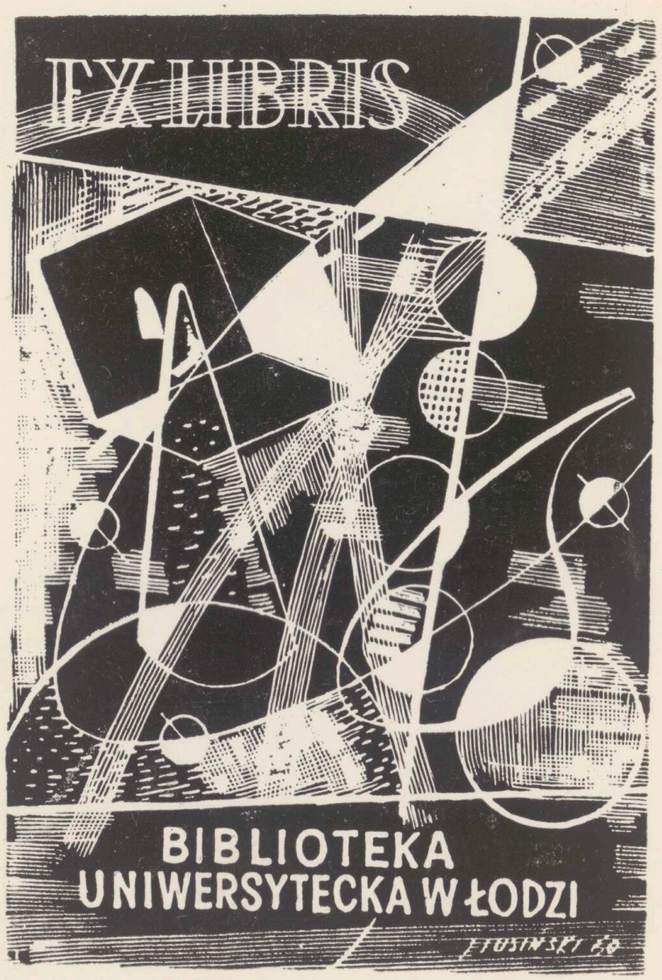
1158251-1001



Ik. Mux.

102 NARÓD SOBIE! 102

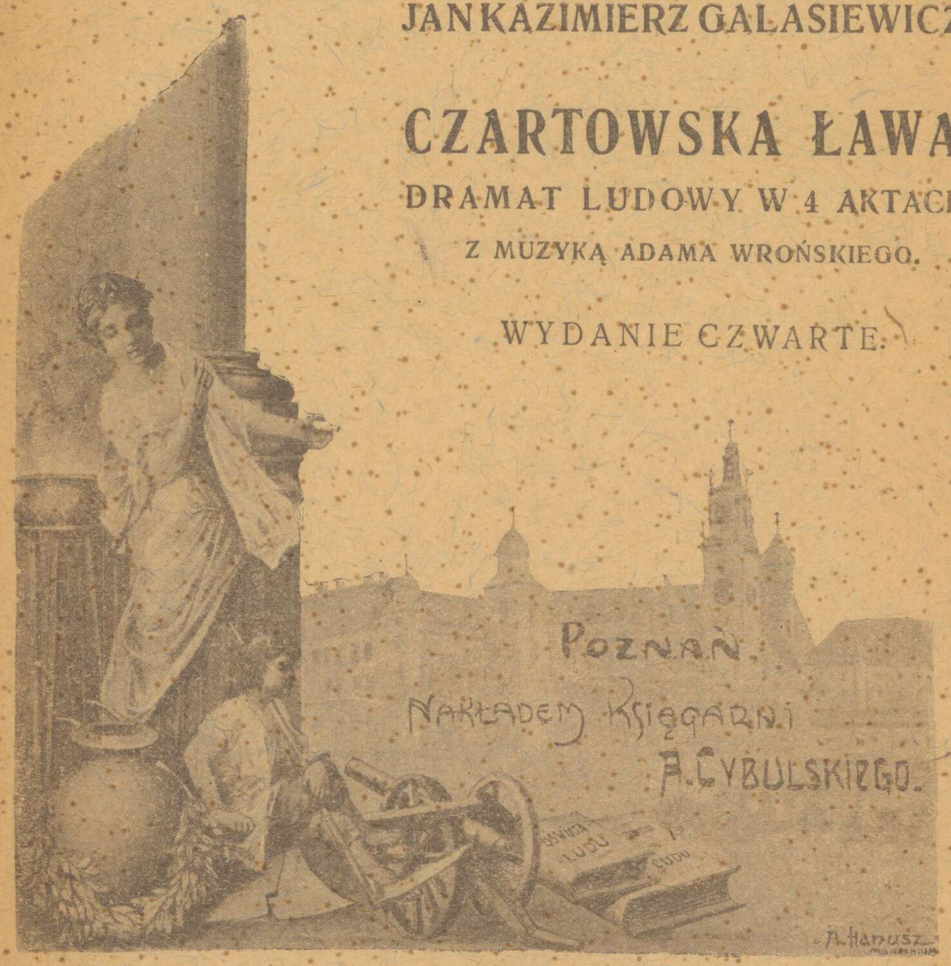
JAN KAZIMIERZ GALASIEWICZ.

CZARTOWSKA ŁAWA.

DRAMAT LUDOWY W 4 AKTACH.

Z MUZYKĄ ADAMA WROŃSKIEGO.

WYDANIE CZWARTE.



1926.

CZCIONKAMI DRUKARNI „DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO" TOW AKC.

OSOBY:

MAREK LUBOŃ.
KAZIMIERZ, jego syn.
SZYMON RATANIEC.
DOMINIK MYDŁEK, jego przybrany syn.
WOJCIECH CICHOŃ.
CECYLJA, jego żona.
TEKLA, jej pasierbica.
FILIP OKRĄGLAK, BARTEK WŚCIUBARA, KASPER KLÓSKA, } Radni.
REGINA, żona Filipa.
ZOSIA, STAŚ, } Sieroty.
GRZEŚ DYRDA, parobek w służbie Wojciecha.
KATARZYNA, wyrobnica.
HANKA, MARYSIA, MAŁGOSIA, SALUSIA, } Dziewczęta.
MACIEK, WOJTEK, WALEK, MICHAŁ, } Parobcy.
MELCHJOR WARCHOŁEK, pisarz gminny.

Dziewki — Parobki — Rekruci — Muzykanci.

Rzecz dzieje się w Krakowskiem.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W ŁODZI
618829
VIK 213/85/3
21.081

AKT I.

Plac między dwoma domami wiejskiemi, (tak zwane przedchałupie). Po lewej od widzów, duża chałupa razem ze stajnią, mająca w środku drzwi od sieni. Od sieni ku przodowi są dwa okna od izby mieszkalnej, a ku głębi małe okienko, jakie bywa zazwyczaj w stajniach z kołkami na krzyż. W samej głębi chaty drugie drzwi, prowadzące do stajni. Pod oknami izby przyzba. Po prawej na drugim planie szopa na słomę, wsunięta w kulisę, tak że tylko okap strzechy widoczny jest na scenę. W głębi wprost publiczności, trochę ku prawej, stoi praktyczny domek Marka, pokryty słomą, tylko szczyt i najniższa warstwa strzechy jest z gontów. W środku domu drzwi wchodowe z progiem kamiennym. Po prawej stronie drzwi są dwa okna, po lewej zaś jedno okno. W środku strzechy duży dymnik, jaki zazwyczaj bywa na strychach. Domek cały jest między drzewami prócz przodu. Z lewej przy domku Marka studnia cembrowana i wiadro ze sznurem. Po prawej od domu Marka aż do szopy prowadzi płot z furtką lub przełazem w środku. Na przodzie sceny przy chacie z lewej lipa, przed nią pniak do rąbania drzewa. Główne wejście czyli wyjazd na lewo w przedostatnią kulisę obok studni. Przy drzwiach od stajni wiszą cugle na ścianie. Przed chatą z lewej leżą graty gospodarskie j. np. grabie, nosze, konewki, putnia i t. p.

SCENA I.

Tekla — Zosia — Katarzyna — Hanka — Salka — Marysia — Małgosia — Dziewczęta — Grześ. (Dziewczęta robią cienkie powrósła ze słomy, leżącej na płachcie przy szopie. Grześ siedzi na snopku słomy pod szopą, przypatrując się i śmiejąc z tańca dziewcząt)

INTRODUKCJA.

Śpiew nr. 1.

Chór.

Raźno, dziewki, z powrósłami,
Bo wiecorek tuz za nami,
Juz słonecko się cerwieni,
Kiejby róza wśród zieleni.

(kilka taktów, podczas których dziewczęta ustawiają się do tańca)

Do konopi, do konopi!
Z dziewczętami parobcoki!
(pierwsza figura tańca t. zw. przebieganego)
Gdy zmrok padnie, a z chmurecki
Księzyc na nas spojzy łzawo,
Będziem śpiewały piosnecki
I robota pójdzie zwawo.
Do konopi! do konopi!
Zrywać będziem na wyskoki!

(druga figura tańca)

Najprzód związem je w snopecki,
Potem zwiozą parobecki.
W cystej wodzie, jak w krystale,
Wypierzemy je wspaniale!
Wszak to nasa przyodziewa!
Konopiano, złoto niwa!

(trzecia figura tańca)

Dziewcę wiecorem zanuci,
Kołowrotek się obróci,

Potem tkac rzuci cółenko
I utka gładkie płócienko.
Ocki nam się będą śmiały
W kosulecce jak śnieg białej.

(czwarta figura tańca)

Grześ (śmiejąc się i rozciągając na słomie).
He! he! he! akurat jak carownice. (śpiewa)
A dysc podo, słońce świeci,
Carownica masło kleci,
Organista wziął gromnicę,
Djoboł porwoł carownicę.

Katarzyna.
Grzesiu! niezdaro! znowu się rozlegos? a cóż tyz to za parobek taki zatracony, co nic nigdy nie robi, ino się wylego albo śpiwo.

Grześ (jak wyżej).
To najlepsa robota lo służącego. (śpiewa)
Jak pudę na służbę, to ino do dwora,
Będą dobrze jadła, cięgiem będą chora!
Hu! ha!

Katarzyna (zrzędząc).
O! słysycie go, tego mitręgę! nicponia! jak się drze!

Grześ (śpiewa bardzo głośno).
A śpiewom jo, śpiewom, ale jo nie kradnę;
Chocioz mnie powiesą, to se som odpadnę.

Katarzyna (ze złością).

Zawrzyj roz tę gębę i podej słomy, bo nom juz nie staje. No, ty próżnioku... Ile razy spoźrę na ciebie, to mi się zawdy przypomino twój ojciec, kiedy był parobkiem i...

Grześ (przerywa śpiewając).

Hojze ino, hojze wedle zielonego,
Jaki stary Dyrda, taki i syn jego! hu! ha!

Katarzyna.

A rychtyk taki som! Takie to było nygusisko, ze lezący jodoł, a jak się do mnie zalecoł i chcioł mnie pocałować, tom się musiała schylać do niego, bo mu się samemu nie chciało karku wyciągnąć.

Grześ.

Ano widzis, to jo się w tem od tatusia różnię, bo choćbyś się nie wiem jak schylała, tobym cię i tak nie pocałowoł. (dziewczęta się śmieją)

Tekla.

No, no, Grzesiu, przestoń zbytkować. Zanieś te ociepki (wskazując wiązki powróseł) na wóz i dobierz słomy równianej.

Grześ (wstaje leniwie).

Eh! grzysi nadali. (śpiewa głośno, drąc się)

Pracuj ciągle jak w kierocie,
Nieboze! nieboze!

Tekla (przerywa).

A cichoj-ze, nie drzyj się.

Grześ.

E! bom zły jak sto bisów! A jo cy jestem zły, cy wesoły, to musę śpiwać... inacej tak mię jakoś w gardle dropie, ze sobie nijak rady dać nie mogę. Tak i teroz licho nadało jakieś babskie zwycaje z temi konopiami... ani się cłowiek nie wyśpi, ani nic...

Katarzyna.

Babskie zwycaje! babskie zwycaje. A dy rwanie konopi to jest nojpiękniejsy zwycoj na świecie, prowdziwo urocystość kobieco...

Dziewczęta.

Oj, prowda! prowda!

Tekla.

O tak, cudowny obycoj! Mój Boze! jak tyz to jest ślicnie, kiedy się zmierzchać pocyno, a wszyćkie dziewuchy z całej wsi zbierą się u tej, u której mają rwać konopie i hurmem idą w pole...

Hanka.

A parobcy z muzykantami rozsypią się po łąkach i dokazują, jaze miło...

Grześ.

To też ino z tej psycyny lubicie po nocach rwać konopie, zeby się z parobkami wygzić i tyla.

Dziewczęta.

A! ty bezbozniku!

Katarzyna.

E! co z takim dudą godać... abo on to wie, od cego to pochodzi?

Grześ.

Ha no od cegózby, ino od carownic.

Dziewczęta.

A! to heretyk!

Katarzyna.

Niewiara jakoś.

Grześ (przekonywająco).

A no juźci... przecie kuzdemu wiadomo, ze downiej, kiedy bez małą kuzdo baba była carownicą, to się te bestyjnice schodziły na pioski i odłogi w cyste pole i tam ze złemi hece wyprowiały. Ale jak

się do nich wzieni i którą ino babę spostrzegli w nocy w samotnem polu, to ją zaroz brali i pławili w stawie, lotego tyz psejęte babska wymyśliły niby rwanie konopi, a to na to, zeby się mogły z djobłami schodzić i od tego casu ten zwycoj ostoł. Psecie kuzdy wie, ze dzień na to, zeby pracować, a noc, zeby spać.

Katarzyna.

O! cie go! mądrala! niby to i na książce umie i śpiewki robi, a nie wie, locego się konopie wyrywo nocą, a nie dniem.

Grześ.

No, to powiedz-ze ty, kiedyś tako mądro!

Katarzyna.

Oto lotego, zeby słońce w konopiach ostało.

Dziewczęta.

A! tak, tak!

Grześ.

A ta staro co znowu godo?... O jakimś Filipie tom słysoł, ze siedzi w konopiach, ale zeby słońce, i do tego w nocy, siedziało, to pierwsy roz słysę.

Tekla.

A to coś dziwnego, bo jo się nawet w zodnej książce o tem nie docytała.

Katarzyna.

A dy się ino psypotrzcie w dzień konopiom, to bedziecie widzieli, jak one swoje kłóska do słońca otwierają, tak ze łuscka jest rozcapirzona, a kuzde ziornecko na wierzchu siedzi. Dopiro jak słońce zachodzi, to się one łuski ze ziornem zawierają i bez całą noc trzymają słonko, co na nie we dnie świciło.

Wszyscy.

Dziwy! dziwy!

Katarzyna.

To tez jak je się nocką wyrwie, to juz to ciepło od słonka na zawdy ostaje, zeby potem w płótnie siedziało. Lotego tyz ze wsystkiego płótno jest najcieplejse.

Grześ.

Bo to prowda, przecie kozuch cieplejsy od płótna. A zreštą moze to i prowda, zawdy jednak jesce nie dowirzom, ale zapytom się o to Marką.

Hanka.

Słuchoj no, Tekla, cy Magda pudzie z nami do rwania?

Tekla.

Jobym to nie rada, ale trudno, jak przydzie, to niech se ta rwie.

Hanka.

Aha, to pewnie bez to Marek zamknęli Kaźmirza na strychu, zeby w pole za Magdą nie posedł!?

Salka.

A pewnie, bo oni mu okrutnie zakazują z nią się schodzić.

Dziewczęta (śmieją się).

Parobek jak drąg, a jesce go ojciec zamyko; ha! ha! ha!

Zosia.

Dejciez pokój, nie śmiejcie się z niego, bo hań słychać do komory... Bidny Kaźmirz, bedzie go wstyd.

Dziewczęta.

A! niech tam słysy, to i cóz?

Grześ.

Zeby się wstydził, toby nie lotoł za taką goniacką jak Magda... bo to tako

dziewka, ze az tfu! Stroi się i frykuje jak jako marmuzela z miasta, a on głupi saleje za nią, jak za cem dobrem i duchem chce zenić się z tym potyradłem. Marek go tez wpakowali do komory i na kłódkę zamknęli, zeby rekolekcyje odprowioł.

Zosia.

E, Kaźmirz ta znowu nie taki zły, ino go pisorz podmówił do tej Magdy, a ojcu tyz markotno wpuścić do swojej familij taką, Boze odpuść!

Tekla.

Marek by chcieli ciebie mieć za synowę.

Zosia (zawstydzona).

E.... skądzebym jo... biedno sierota?

Tekla.

Krzesny ta nie patrzą na bogactwa, ino na ucciwość!

Grześ.

Ho! ho! taki ucony cłowiek jak on, to zawse wie co wybrać.

Hanka.

Ale my tu bojdurzymy, a słonecko juz się schylo, trzebaby się zwijać, bo jesce niejedno momy wedle chałupy zryktować...

Ale, ale, Teklusiu, cóz to jest, ze Stasia tyle casu nie widać? (do Zosi) Moze jest we młynie?

Zosia.

Nie! nima, matusia sami ostali.

Tekla.

Był tu po południu, chcioł sam przyryktować i wóz i powrósła, ale macose coś na nos padło, ze go zeswarzyli, więc jej tyz zesed z oców... mo dopiero przyjść razem z muzykantami.

Grześ.

Psio wiara gospodyni, zawse mi musi na złość zrobić; zeby była Stacha nie odegnała, byłby za mnie wsyćko porobił, a jobym się bez ten czas trochę przelezoł.

Salusia.

Ho! ho! widać macochy nima w chałupie, kiej se Grześ pozwolo tak dogadować.

Tekla.

A juźci nima, pośli razem z tatusiem do karcmy, bo ich Domin zabroł na gorzołkę.

Hanka.

Który Domin? cy Mydłek?

Tekla.

A on ci, on! ten nic dobrego.

Marysia.

To wrócił z flisu?

Grześ.

A wrócił, zbój zatracony, i zaroz tak ogrzmocił Symona, jaz się starowina spłakoł.

Katarzyna.

Co tyz ty wygadujes!... jakzeby on go się śmioł dotknąć!...

Grześ.

Jak?... ano rękami za cuprynę i tyla.

Hanka.

Bój się Boga! przecie to jak ojciec jego, bo Dominek chocioz ino przybranym, ale zawdy jest synem starego Symona. A podnieść rękę na ojca to grzech śmiertelny!

Grześ.

No, dy jo wiem, ze śmiertelny, i on musi wiedzieć, ale to widać na to nie zwozo.

Katarzyna.

O! panie Jezusie! jakiez tyz to teroz casy nastały! Słysanez to rzecy, żeby się

kiedy syn na ojca porywoł?... A cworte przykozanie?

Grześ.

Ha no! tak to bywo! (śpiewa)

Sanuj ojca, matkę — przykozanie ucy —
A syn ojca wali, az cupryna hucy!

Katarzyna (zła).

Idź-ze i ty, krzykało, bo jak cię polnę, to ci się wnetki gęba zamknie! Oj, zeby kuzdo dziewka miała rozum, jak jo, i zodno za chłopa nie sła, toby to wnetki wymarniało, zeby i na nosienie nie było.

Grześ.

A pewnie! pewnie... zeby wsyćkie tak wyglądały jak ty, tobyśmy het, jak umył, kawalerami powymierali!

Katarzyna.

A cóz ty, obwiesiu, sobie myślis? hę? Nie posłam za chłopa, bo mi się nie chciało. Miałabym tyz iść za kogo, jak za takich zbójów, jakieście wy wsyscy. A dyć kiedy chłopa obocę, to az mi się dusa wzdrygo!... zebym mogła, tobym wos wszyćkich jak scurów wytruła!

Grześ.

Wiem! wiem!... kuzdo staro panna to jak osa!... zdaleka od niej, bo pokąso!...

Dyć pono teroz lotego ni mozna djobła zywego widzieć, bo się wsyscy w stare panny pochowali i ani na chwilę wyjść nie chcą!... (śpiewa)

Jak panna z lot wyjdzie, to się zaroz zmieni,
Ludzi nienawidzi, bo się z djobłem zeni.

Dziewczęta (śmieją się).

A to ci jej uciął!...

Tekla.

No, dosyć juz tych zbytków!... Grzesiu, do roboty, nie dokazuj, bo powiem macose... a ty wies, ze ona nie zartuje!

Grześ (prędko i komicznie wybijając).

A no jo wiem o tem, i ty wies o tem, ale pono gospodorz nojlepiej wiedzą o tem,

Tekla.

Oj! prowda! prowda!

Katarzyna.

To pocóz się z nią zeniół i jesce wsyćko jej zapisoł?...

Tekla.

Ha no! tak go ta jakoś umiała otumanić... Kiedy mi matula umarli, byłam jesce mało; tatusiowi potrzeba było kobiety do gospodarstwa, ta i ozenili się z nią.

Katarzyna.

E!... taki ta chłop.. jak zeby go z ciasta ulepiół.

Grześ.

A no prowda!.. He! he! jakbym jo mioł taką babę, tobym ją ino tak ze dwa razy na dzień sparzył bicyskiem po grzbiecie, a zarazby inakso była. Ale ciekawy jezdem, co ona dzisioj tak z Dominem i pisorzem sachrowała.

Tekla.

Ot, swój swego poznał i tyla, toć to złe zawdy ze złem chodzi w porze.

Grześ (na stronie).

He! he! i mnie się widzi, ze ona sobie pory suko... coś się tak cepio tego Domina, jak zywica młodej sosienki. (śpiewa)

Od sęcka do sęcka gałąź się cepi,
Cudzo zonę kochać zawdy nojlepiej.

Hanka (zdumiona).

Do cegoz to śpiewos?

Grześ (filuternie).

A no... oto.. ot tak sobie, zeby garło wydąć

Tekla

No, dziewuchy spiesma się.. A ty, Grzesiu, pozanoś te powrósła na wóz przed stodołę i skoknij do karcmy po ojców, zeby przyśli niedługo na wiecerzę.

Grześ.

A no idę! .. (na stronie, biorąc wiązki powróseł) Moze przy tej okazyi trafi się kto, ze zafunduje z blachę śnapsa..

(wychodzi, śpiewając cicho na lewo)

SCENA II.

Tekla — Zosia — Katarzyna — Hanka — Salka — Marysia — Małgosia — Dziewczęta — potem *Kazimierz.*

Hanka.

A no pudę i jo do chałupy, bo mam jesce szepę wypłókać. (do dziewcząt) No, idziecie dziewuchy?

Dziewczęta.

Chodźma! chodźma.. bądź zdrowa, Tekluś!

Tekla.

Do zobocenio... A nie spóźnijcie się przypodkiem.

Dziewczęta.

Bedziema na cas. (żegnają się z Teklą, idąc w głąb)

Kazimierz (ukazując głowę w dymniku na chacie Marka w głębi).

Moze się bedzie mozna tędy wydostać.. Aha! dziewuchy ryktują się do rwanio konopi, pewnie i Magdusia bedzie, a ja tu musę siedzieć zamknięty jak jaki złodziej. Oho! nie dom ja się juz więcej tatusiowi pakować do kozy.

(dziewczęta pożegnawszy się z Teklą, idą w głąb)

Salusia (spostrzegłszy Kazimierza).

Patrzojcie!.. patrzojcie, dziewuchy!!... Kaźmierz!

Dziewczęta (żywo).

Gdzie?... gdzie?...

Salusia (wskazując).

A, toli hań w dymniku.

Dziewczęta (śmieją się).

Ha! ha! ha! wygląda jak hareśtant!

(Kazimierz znika z dymnika)

Hanka (śmiejąc się).

Widzicie go, jak zemknął!

Dziewczęta (ciągle się śmieją).

Schował się jak niepysny... ha! ha! ha!

Z o s i a (na stronie).

Zal mi chudzioka, ze mu tak dokucają!

T e k l a.

Dałybyście pokój... to przecie niełądnie, zeby dziewuchy przedrwiewały.

K a t a r z y n a.

Albo to z nieszczęścia, ino z głupoty... Niech nie broi, to go nie będą zamykali.

D z i e w c z ę t a (śmieją się).

Złapali ptoska w kloteckę! ha! ha! ha!

H a n k a.

Broił i dokazował jak młody kozieł.. ale przysła kryska na Matyska.

Śpiew nr. 2.

H a n k a.

Broił kozieł, choć wzbraniali,
I figle i psotę,
Az mu tatuś wytrzepali
Porządnie kapotę.
Teros siedzi kieby trusia,
Zamknięty w hereście,
Naucyli ccić tatusia
Prefesory w mieście.
Ha! ha! ha! ha! ha! ha! ha!
bis { Teros przed nim prózno m ska; / Przysła kryska na Matyska. } Chór

M a r y s i a.

Wrona powia udawała
I ogon pusyła,
Choć piórek z tęcy nie miała,
Chłopoka zdurzyła.
Jął się ojciec edukacji,
Róznicy na świecie,
(naśladując bicie)
Dowiódł wnet, ze nimioł racji,
Bicyskiem po gzbiecie.
Ha! ha! ha! ha! ha! ha! ha!
bis { Nosi znaki od bicyska; / Przysła kryska na Matyska. } Chór

S a l u s i a.

Widzis, niezdaro chłopoku,
Za to, ześ był skory,
Stanęły ci solą w oku
Tajemne jamory.
Wie tatuś, ze na wykręty
Jest rada jedyna,
Ze na wierzbie rosną pręty,
A w lesie lescyna.
Ha! ha! ha! ha! ha! ha! ha!
bis { Siedzi, płace i utyska; / Przysła kryska na Matyska. } Chór

(Dziewczęta ze śmiechem odchodzą na lewo, Tekla wchodzi do chaty na lewo.)

SCENA III.

Grześ

(sam wbiega z prawej przez płot, wołając już z za kulis).

Haj! Teklusiu! Teklusiu!... wies ty, co się stało? ani się spodziejes co... (widząc, że niema nikogo, ogląda się) A to co?... niema ich już?... Kaz one się podziały?... No, to ci dopiero!... ktoby się był tego spodziewoł?... jo som myśloł, ze Domin, jak wróci z flisu, pomyśli o Jagnie Bazikowej, a on się z nasą Teklą zeni... He! he!... jak się Stach o tem dowie, to bedzie lotoł jak kot, kiedy mu ogon w rozcypiony patyk włożą.. A Tekla!... no, ta ci dopiero bedzie rycała, jak ją macocha zacnie musić... Trza się tyz przysłuchać, jak Okrąglok bedzie oracyją godoł... Jak powie z przeproseniem! to az ha!... Ej, zebym to jo dziewosłębowoł!... tobym przynojmniej zaśpiewoł jak się patrzy:

(śpiewa)

Przyjechało dwóch na jednym koniu,
Pytali się o dziewczynę w domu.
Nie widzieliście jej to ta w polu?
Obierała konopie z kąk..o...lu...

(Cecylja, wszedłszy z innemi — podchodzi zcicha do Grzesia i uderza go pięścią w kark, tak że ten kończy śpiew niewyraźnem bełkotaniem.)

SCENA IV.

Grześ — Cecylja — Wojciech — Filip — Regina — Wściubara — Klóska.

Cecylja.

A! do roboty! mitręgo! próżnioku! — jo ci tu dom dziewiosłęby!

Grześ (chwytając się za kark).

A dy jo ino tak sobie na zarty...

Cecylja.

Stul gębe, niezdaro. — Cóz to, nimos roboty, ze się tu rozdzieros? — rusoj po konie na paświska.

Grześ.

Idę!.. Idę!.. (na stronie) A niech ją gęś świśnie! jak mnie hopnęła, jaze mi się śpiewka przerwała!. jesce mnie koniec udłowi! (biorąc wiszące cugle przy drzwiach od stajni) Musę dośpiewać, boby mnie udusiło. (śpiewa)

Obierała konopie z konkolu! hu! ha!

Cecylja (idąc w głąb).

A to co?... jesce sobie będzies zarty stroił? Pocekoj! dom jo ci tu!.. (biegnie ku niemu)

Grześ.

Zaroz lecę!... (na stronie) Tam do bisa, nie będę słysoł oracyi!... (wybiega śpiewając)

B.U.Ł.

Cecylja (grożąc mu).

Pocekaj! dom jo ci wiecerzę, ino powrócis!

Wojciech.

E! dej mu ta pokój! niech sobie śpiwo!

Cecylja.

A ty się cego obzywos?... zal ci próżnioka, ze popędzom?.. Wyście oba skorzy!. jeden abo śpi, abo śpiwo... drugi kawęcy cały Bozy dzień. leniuchy!...

Wojciech.

Przecie nie kawęcę, ino godom!

Regina (mając bicz w ręku).

Tęgi parobcok z tego Grzesia... ino mu bata potrza .. (do Filipa) Ale cóz z temi dziewosłębami? mocie radzić, to rodźcie. bo mi się po owies do pola spiesy.

Wojciech (do Filipa).

No, zacnijcie, Filipie, bo Cecka zło, a jo jakoś ni mom odwagi!

Filip (do Cecylji).

A no, z przeproseniem, gwoli tych dziewosłębów, cośmy to juz mówili..,

Wściubara.

Wszyćko załatwione. Domin posed po napitek; jak przyniesie, bedziemy radzili.

Cecylja

O cem tu radzić? Jakem powiedziała, tak bedzie.

Wojciech (trącając Filipa).

No, Filipie, powiedzciez o Stachu!

Filip (do Cecylji).

A no dobrze, z przeproseniem, ino Wojciech się cegoś krzywi.. i mówi, ze sobie nie bardzo życy...

Cecylja.

A kto się go o to pyto, cy on sobie życy, abo nie?

Wojciech (do Filipa).

No, powiedzciez juz roz, Filipie.

Filip (do Cecylji).

Wojciech powiado, poco się tak spiesycie z tym Dominem?

Cecylja.

Poto, ze mi się tak podobo i basta!

Wojciech.

A jak się Tekli nie spodobo?

Cecylja.

Nie spodobo.. nie spodobo... a cöz to ona? cy jako grefina, cy królewna?... Moze mają dla niej na sklanną górę konno wyjeżdzać jak po zacarowaną księznickę? Wi-

dzicie ją!.., jakie mi cudo!... Niech Bogu podziękuje, ze jej się trafio nojpiękniejsy chłop z całej wsi.

Wojciech.

No, ze się tobie podobo, to jesce...

Cecylja (przestraszona).

Co? jakto? Kto to powiedzioł, ze się mnie podobo? To wszyćko nieprowda!

Wojciech.

No, przecie sama godos.

Cecylja.

Jo? kiedy? co ci się znów cepio, głupi stary?

Wojciech.

Cy śpis, cyś pijano?... przeciez sama godos, ze nojpiękniejsy chłop.

Cecylja (nieśmiało)

No... bo prowda! a więc cóz z tego?

Wojciech.

A no nic...

Cecylja (na stronie).

Jakzem się tyz przestrasyła! Myślałam ze juz wie o wszyćkiem.

Regina.

Juz to, ze świarny chłop, to trzeba przyznać sama; zebym się mojego nie bojała to...

Wściubara.

Uwozocie, Filipie, wasa powiado, ze wos się boi, a przeciez tako mocno, ze cepami śmigo jak gałązką.

Filip.

A no bo ona wie, ze u mnie, z przeproseniem, w głowie siła.

Regina (śmiejąc się).

A no wiem, lotego jo robię w polu, a ty w domu gospodarzys... ale jak ino spotkom kiedy Domina przy orce, to bedzies mioł, z przeproseniem!

Filip.

A kiedy on ino w karcmie orze, a, z przeproseniem, do pola nie chodzi!

Cecylja.

Jak się tyz ozeni, to nie bedzie w karcmie siedzioł, a dziś cóz mo lepsego do roboty?

Wojciech.

E! pijok zawdy pijokiem bedzie! nieprowda, Filipie? I za takiego wydawać moje dziecko!

Cecylja.

A cóz ty, myślis, ze taką hołdrygę będę cięgiem w chałupie trzymała? zeby ją darmo zywić?

Wojciech.

Alez, Cecka, przeciez to moja córka — prowda, Filipie?

Filip.

Ha no! z przeproseniem...

Cecylja.

A mnie co do tego?

Wojciech.

Dyć ona mo prawo...

Cecylja.

Jakie prawo? a kto tu właścicielem? jo? cy nie jo?

Wojciech.

No tak!

Cecylja.

Nie zapisałeś mi gospodarstwa, kiedyś mnie broł? hę? A zreśtą, co mom długo godać? Jak mi się spodobo, tak bedzie — bo jo tu gospodyni, rozumies?

Wojciech.

Dyć jo się nie sprzeciwiom — ino, widzis, idzie mi o to, zeby Teklusia nie była niescęśliwą z tym Dominkiem, bo jezeli juz koniecnie...

Cecylja (z niecierpliwością).

A więc co? więc co?

Wojciech (do Filipa).

Godajciez wy, bo jo się boję!

Filip (do Cecylji).

Bo to, z przeproseniem, Wojciech godo, ze, jezeli juz tak koniecnie chcecie się pozbyć dziewuchy, to niechby posła za Stacha, bo się pono kochają ze sobą.

Cecylja.

Za takiego dziada, co nic ni mo, ino z cudzej łaski zyje?

Filip.

Jakto nic? a, z przeproseniem, młyn o dwóch kamieniach i porę morgów pola to...

Cecylja.

Abo to jego?

Filip.

No, prowda, ze to niby Markowe, ale bez tyla lot od casu, jak kupił na onej

licytacyi, co to zyd na Wicka sprowadziół, to się ta do tego nie miesoł, ino mu napowrót wszyćko ostawił... i jesce pieniędzmi pomogoł, a chocioz Wicek umarł, to wdowa i dzieci siedzą na tem, jakby ich włosne było.

Cecylja.

Bo głupi osioł! kiedy nie bierze co jego. Skoły mu do krzty w głowie przewróciły.

Wściubara.

Ha, juźcić pewnie skoły są winny, ze mo taką miętką naturę i nad kuzdym się lituje.

Wojciech.

Mój Boze! pamiętom, kiedy to jesce byliśmy chłopokami. On posed do miasta do skół i cóś z 15-cie lot go we wsi nie było. Dopiero, jak stary Luboń umarł, przyjechoł na pogrzeb i pochowoł go, i juz się ostoł we wsi, a do miasta nie wracoł, chociaz ta mioł być jakimś urzędnikiem, cy prefesorem...

Cecylja.

A juzci ktoby temu uwierzył?... ostoł się we wsi i napowrót kapotę włozył, bo pewnie ni mioł poco wrocać do miasta i tyla.

Filip.

A no nom się to we wsi wszyćkim jakoś dziwacnie wydawało... bo to i po ojcu prawie nic nie dostoł.. ledwie porę morgów i chałupinę, co się juz z wiatrem rozlatywała, a jesce na dobitek ozenił się z dziewką, co nic ni miała, jak tylko ze była dosyć fertycno i, z przeproseniem, w książkach ocytano!

Wściubara.

A przeciez teroz taki bogoc.

Filip.

Tego wszyćkiego dopiero się som dorobił.

Cecylja.

A więc, jakby był wyucony, to myślicie, zeby był taki głupi wracać na wieś? Przeciez kuzdy chłopa syn jak idzie do skół, to chociaz się nie wyucy, jak się patrzy, a i tak nie wraco na ojcowiznę, choćby nawet mioł na cem siedzieć... Sprzedo to wszyćko i ostanie w mieście abo pisarzem, abo woźnym, abo jakim dozorcą... bodaj w służbę idzie do jakiego wielgiego pana, a do wsi ani się juz nie pokaze. Ale Marek pewnie był do nicego i musiał do dom powrócić!

Filip.

Ale co wy tez godocie! Przecie on z panami za pan brat, a dziedzic z Osikowa, co hań, za skałami miesko i jest delegatem powiatowym, to się obejść bez niego ni moze.

Cecylja.

A mnie ta ściurności do tego... niech się obchodzi, abo nie, to mi wszyćko jedno!

Wojciech.

Ale bo widzis, Cecka.

Cecylja (w pasji).

Cicho! Tak bedzie, jakem powiedziała, i ani mru, mru! rozumies?

Wojciech.

Ale bo widzis, jo się boje dawać dziecka za takiego zabijoka.. a przytem kaz bedzie siedzioł, jak się ozeni, kiej go Symon wyganio ze swojej chałupy i od wszyćkiego wydziedzico?

Cecylja.

Niechze ta, to mu odstąpimy komory i bedzie razem z nami gospodarzył.

Wojciech.

I tybyś pozwoliła?

Cecylja (na stronie).

Głupi stary, ani się domyślo, ze jo włośnie tego koniecnie chce, zebyśmy razem z Dominem byli! (głośno) Ha no! cóz mom robić?... musę.

Filip (patrząc w głąb).

Aha, otóz i on nadchodzi razem z pisarzem!...

Cecylja.

Kto, Dominek?

Filip.

A ino!...

Wściubara.

A myśmy się jesce nie ułozyli, jakie mo wiano dostać za Teklą.

Cecylja.

To chodźma do izby, tam pogodomy.

Filip.

A tak! bo przy nim nie wypodo, z przeproseniem, targować się o dziewuchę, jakby, nie przymierzający, na jarmaku.

B.U.Ł.

Regina.

Chodźma i końcmy juz roz z tym wsyćkiem, bo mnie się przecie po owies spiesy.

Wojciech.

Ha! to niechze ta juz i tak bedzie... zeby się ino Tekla nie sprzeciwiała.

Cecylia.

Ho! ho! niech spróbuje!...

(wchodzą wszyscy do chaty na lewo)

SCENA V.

Dominik — Pisarz.

(Domin — spodnie żołnierskie w cholewach, kaftanik flanelowy ciemny z rękawami, na wierzchu kaftan chłopski bez rękawów, opasany szerokim trzosem, kapelusz wysoki, wąsy długie; młody, przystojny, wchodzi obładowany butelkami.

Pisarz — lat 30 do 35-ciu, twarz cyniczna, broda okrągła, zaniedbana, ubrany z miejska, ale biednie i wytarto.)

Domin (szukając oczyma po scenie).

Jakoś go nie widzę. (nawołując zcicha) Hej!... stary!... ociec!... Symonie!... jezdescie tu?... (szukając) Niema dziada... a niechby go siarcyste!!... Aha moze wloz do izby... (zagląda przez drzwi) nie! nima!... No, i cóz jo z tym cłowiekiem pocnę?

Pisarz

(zawsze szyderczy i patetycznie wyniosły).

A cóż ci powiedział?

Domin.

Ano, cóz?... lecę z murowanej do chałupy, zeby go zabrać ze sobą tutok względem tych dziewosłębów, i spotykom go akurat wedle chałupy Bazika, jak sobie bąki zbijo i fajkę poli... leniuch stary!.. próżniacysko!... Godom mu: „Ociec, chodzciez ze mną do Cichonia, trzeba się umówić z niemi, bo się zenie z Teklą i chcę odprawić dziewosłęby“...

Pisarz.

A on co?...

Domin.

A wytrzyscół na mnie ocy i pedzioł: „A co mi ta do tego, jo o tem nic wiedzić nie chcę!“. No, widzioł to kto co podobnego, zeby ze swoim wychowankiem tak postępować?.. A bodaj go siarcyste!...

Pisarz (drwiąco).

Oj! ty ślamazaro! ślamazaro!!...

Domin.

Juz miołem się porwać do niego... ale Bazik wysed z izby przed chałupę... więc

jakoś nie uchodziło.. Stary się tyz pomiarkował i pedzioł zcicha, ze tu przyjdzie.

Pisarz.

I ty, dudku, uwierzyłeś temu?... ho! ho!... możesz długo czekać, nim go tu zobaczysz!

Domin.

Tak?!... a no będziemy widzieli!... juz jo go znojdę!... zeby nawet siarcyste miały bić, to go tu przywiedę... a jak nie pudzie dobrowolnie, to go bez moc przyciągnę!... Ho! ho! dosyć juz tego uzyranio się z nim! Zobocymy, kto postawi na swoim!

Pisarz (drwiąco).

I cóż mu zrobisz, kiedy już testament sporządził, którym ciebie odsądza od wszystkiego?... Wiem o tem doskonale, bom go sam odbierał od notarjusza... (judząc) Bywaj zdrów!... pójdziesz z torbami z własnej ojcowizny!!...

Domin.

A zeby nawet siarcyste biły, to tego nie bedzie! Jezeli zrobił testament, to go i odrobi... A cóz to?... Cy jo go sie prosił, zeby mnie przybieroł za syna?... A kiedy mnie wzion, to ni mo prawa pozbawiać mie tego, co mi sie patrzy.. Bedziemy widzieli!...

Pisarz (drwiąco).

Jako zły syn jesteś wydziedziczony.

Domin.

Zły syn?... do stu por tysięcy djobłów! zły syn?! A cóz to, cy nie robiłem wsystkiego w chałupie, jakby jaki parobek, nie wysłuzyłem trzy lata we wojsku, jak się patrzy?... Więc jak tyz wróciłem z regimentu, miołem prawo objąć gospodarkę na siebie... ale ka ta... ani on, ani nieboska słyseć o tem nię chcieli! Więc jo zły syn... moze go za to mom jesce po rękach całować?... Ha! ha!... zeby go siarcyste! Ale musę to roz skończyć... i to dzisiok jesce!... Juz go tu sprowadzę!... (chce odejść)

Pisarz (zatrzymując go).

Czekaj no jeszcze... przecież mamy pierwej o dzisiejszej nocy pogadać... Jakżeż będzie z temi pieniędzmi?... (wskazuje znacząco na chatę Wojciecha)

Domin.

Ale dejze mi pokój, kaz jobym mioł głowę dziś się puscać na podobne sprowki?

Pisarz.

Ale kiedy ci mówię, że to dziś koniecznie stać się musi. Za kilka dni obiór

nowego wójta... jutro może zjechać delegat powiatowy na rewizję ksiąg i kasy gminnej, a tam brak 60 reńskich... które muszę koniecznie mieć tej nocy.

Domin (po namyśle).

No, a jak się nie udo?

Pisarz.

Dlaczego się nie ma udać?... Wszystko idzie jak najlepiej!...

Domin.

No, to prowda!...

Pisarz.

Parobcy z dziewkami jadą na ten pogański zwyczaj w pole... i stary Wojciech się pewnie z nimi powlecze...

Domin.

Naturalnie, zawdy gospodorz pilnuje dziewuch pzy rwaniu konopi...

Pisarz.

No, widzisz!... Macochę weźmiemy do karczmy, ja zagadam ją przy kieliszku, a ty tymczasem weźmiesz się do operacji... Nikogo nie będzie w chałupie, żeby ci przeszkadzał... bo nawet ten przeklęty mądrala Marek, (wskazując na dom Marka), który

zawsze wietrzy wszystko jak wyżeł, idzie wieczorem do Osikowa... Widzisz sam, że lepsza sposobność nigdy się nie zdarzy.

Domin.

Wszyćko to nic!... ale jakze się dobyć do komory, kiedy drzwi od chałupy na kłódkę zamykają?... Zeby to na zasuwę, tobym se poradził, ale tak...

Pisarz (zniecierpliwiony).

A że też w tej głupiej chamskiej głowie ani za grosz sprytu niema.

Domin (zły).

E! do stu djobłów, jak mnie mos jesce wymyślać, to se som kradnij... ty!...

Pisarz (dumnie).

No! no! tylko nie tak po grubjańsku!... Do takich ludzi, jak ja, mówi się zawsze pan...

Domin.

Tfu! do bisa!

Pisarz.

Powinieneś wiedzieć, coś winien takiemu jak...

Domin.

Jo?... jo ci winien?... a zeby cię siarcyste! a to znowu co nowygo?... Jo mu

winien?... Przecie zawse, jeżeli co ukradniemy, ty większą połowę bierzes.

Pisarz (dotknięty).

Co to znaczy, ukradniemy?

Domin.

No, przecie zawse do spółki...

Pisarz (wyniośle).

Tylko proszę bez tych wszystkich!... ty a ja to wielka różnica... ty kradniesz, a ja jako władza patrzę na to przez szpary... rozumiesz?...

Domin.

Niekoniecnie!... a zreśtą poco mom rozumieć?... Obejdę się bez takich spółek!

Pisarz (łagodząc go).

No, no, dajmy tym głupstwom pokój i skończmy z dzisiejszym interesem... Wleziesz zatem do komory.

Domin.

No! ale którędy?

Pisarz.

Zaraz ci powiem!... Przy odjeździe parobków odsuniesz nieznacznie zaporę od chlewa...

Domin (pojmując).

Aha!...

Pisarz.

Stamtąd prowadzą drzwi do izby.

Domin (jak wyżej).

A! prowda!...

Pisarz (dając mu dłuto).

Masz tu dłutko... odśrubujesz zamek do komory, w której stoi skrzynia z lewej strony pod trzecią belką...

Domin.

Pod trzecim stragarzem?

Pisarz.

Tak, skrzynia sosnowa; łatwo ci będzie oderwać wieko...

Domin.

A niech ta bedzie i dubelt dębowa, dom sobie z nią radę...

Pisarz.

Na spodzie skrzyni pod łachami leży obwinięta w chustkę kaletka, a w niej przeszło sto reńskich...

Domin (chciwie).

Doprowdy?... więcej jak sto? a niechby siarcyste!...Ale cy to ino pewnie? bo moze...

Pisarz.

Sam widziałem, odbierając kiedyś szkolne i zaległe podatki, jak Wojciechowa tam pieniądze chowała.

Domin (z obawą).

A jakby się tyz dowiedziano?...

Pisarz.

Czyś zwarjował?... a to jakim sposobem?.. Czego się masz bać? nie wiesz, że... (wskazuje z dumą na siebie) jesteś pod opieką prawa?... A zresztą przecież dziś twoje zaręczyny z Teklą; choćby cię nawet kto zobaczył kręcącego się koło ich domu, nie będzie w tem nic dziwnego.

Domin.

Ale bo widzis i te zaręcyny...

Pisarz.

Co takiego?

Domin.

A no jo tego jesce dokumentnie nie zmiarkowołem, jak to jest... Przystołem ozenić się z Teklą, boś mi pedzioł, ze tak bedzie dobrze, a potem Cecka kiedy się dowiedziała, ze sie mom ku Jagnie Bazikowej, jak zacęła zawodzić, ze się juz więcej ze sobą nie bedziemy widować...

Pisarz.

A o cóż ci chodzi? alboż nie szwarna baba?

Domin (z zadowoleniem).

A no nie śpetno!... i tęgo mnie lubi, bo mi juz nie roz mówiła, zeby się ino stary Wojciech ka podzioł, tobyśmy byli scęśliwi!

Pisarz.

A widzisz!...

Domin.

No, a jak mnie dziewka nie bedzie chciała?

Pisarz.

Zdaj się na macochę... już ona sobie z nią poradzi!

Domin.

No, to sie wie, ze bedzie chciała koniecnie na swojem postawić... A jesce na dobitek nastrasę babę, ze jak mnie Tekla nie zechce, to i z nią zerwę i Wojtkowi o wszyćkim powiem!

Pisarz.

Doskonale! widzę, nabierasz rozumu!... No, niezły z ciebie materjał na człowieka!...

Domin.

Ha no! jak mam takiego prefesora, jak ty... Ale prowda!... a Stasek?...

Pisarz.

Co za Staszek?

Domin.

No, ten po Wicku... co cię to kiedyś tak wyłomotoł kijem o Zośkę... Przecie oni się z Teklą kochają... to mi bedzie bruździł... Jesce on to nic... ale jego opiekun Marek...

Pisarz (z wściekłością).

Ach! ten cham przeklęty!... mędrek!... filantrop! dobrodziej nieproszony!... Oj! żeby nie on, toby tu wszystko w całej wsi było inaczej!... Ale cierpliwości, przyjdzie i na niego kolej. Co zaś do Stacha, tego żebraka, już ja o nim pomyślałem!.. dziś, jutro pójdzie precz ze wsi!... (grożąc ku drzwiom Marka) ani mu nawet ty nie pomożesz, chociażeś taki przemądrzały.

Domin (zdumiony).

A! niechby cię siarcyste!... ty Stacha pozbędzies się ze wsi?... a to jakim sposobem?

Pisarz.

Oddam go do wojska.

Domin.

Et! bajes głupstwa, jakby ci się we łbie przewróciło!... Przecie on jedynok, a matka wdowa, i do tego juz staro, bez to tyz nie stajoł na wiosnę, bo reklamowoł!...

Pisarz.

Ha! ha! ha! z reklamacją i pozwami do niego tak zrobiłem, że teraz uważany jest za zbiega, i lada dzień żandarmi odprowadzą go w łańcuszkach do asenterunku... a wtedy przepadło!... Posłuży sobie więcej aniżeli trzy latka.

Domin (z uwielbieniem).

A!... niechby cię siarcyste!... (wskazując palcem na pisarza — do publiczności) No, ten ci dopiro mo łeb jak się patzy!... (do pisarza) A dy tybyś, jak widzę, nawet i konwisorzem mógł ostać, — jescebyś sobie poradził, a nie dopiro pisorzem!

Pisarz (z pogardą).

Co, komisarzem? ha! ha! ha! a cóż to jest komisarz? wielka mi figura dla was chamów, ale nie dla mnie.

Domin.

E! zjodłeś sto djobłów z temi chamami, godos tak, jakbyś som z chłopów nie pochodził.

Pisarz (wściekły).

Co? ja z chłopów? Ot, stul gębę i nie wrażaj się do tego, czego nie rozumiesz! Lepiej ruszaj po starego i kończ z temi dziewosłębami. (odchodzi zły)

Domin.

Prowda! co krzty o nim zabocyłem. (odchodzi szybko) Bodaj go siarcyste! ale jo go znajdę a wtedy! (wychodzi na prawo przez płot, głos niknie za kulisami)

SCENA VI.

Pisarz (sam).

(Wściekły chodzi po scenie, patrząc za Dominem.)

A niech ci djabeł karku nakręci, bezrozumna małpo! (oburzony, zwrócony do publiczności) On mnie z sobą porównywa! mnie! (chodzi po scenie — po chwili) Ja miałbym z chamów pochodzić?... ja? ... (stanowczo) Nie! to niepodobna. Urodziłem się wprawdzie na wsi i noszę nazwisko Warchołek, (z przesadą) ale to musi być jakaś familijna tajemnica, jakiś dramat. (dramatycznie i z dumą wskazuje na

siebie) Tu we mnie tkwi coś wyższego, inna krew płynie w tych żyłach aniżeli chłopska... bo od czasu, jak tylko zapamiętam, zawsze czułem odrazę do tego bydlęcego żywota w chamskiej kapocie! (po chwili dumnie) To też przeznaczenie czuwa nademną, że mnie wyrwało z pośród tego wiejskiego motłochu i dało stanąć w rzędzie inteligencji! Skończyłem wprawdzie tylko cztery klasy gimnazjalne, ale umiem więcej od ukończonych filozofów, którym łby posiwiały nad zbutwiałemi szpargałami. Prawdziwą szkołą jest szkoła życia, a taką właśnie ja przeszedłem, pracując w świecie w różnych zawodach i gdyby nie to przeklęte urodzenie, mógłbym dojść wysoko z moim rozumem! Ale czekajcie, wy miejskie pyszałki, coście mi wycierali oczy mojem chłopskiem pochodzeniem... wydrapię ja się w górę, a wtedy poznacie, co potrafi prawdziwy genjusz!

SCENA VII.

Pisarz — Filip — Wściubara — Klóska — Wojciech — Regina — Cecylja — potem *Domin i Szymon.*

Filip (wyszedł pierwszy z chaty, a słysząc ostatnie słowa, pyta ciekawie).

Kto to, z przeproseniem? i co potrafi?

Pisarz (zapominając się — w zapale).
Taki genjusz jak... (spostrzega się i przerywa)

Filip.

Cy to, z przeproseniem, jaki rzemieślnik ten genyjus?

Pisarz (z pogardą).

Eh! bydle!

Filip.

Bydle? O, z przeproseniem, coby ta bydlę miało więcej potrafić... jak to, do cego go Pan Bóg stworzył?

Cecylja (wchodząc cicho do pisarza),
A kaz Dominek?

Pisarz.

Zaraz wróci, poszedł do Szymona! (rozmawia dalej cicho z Cecylją)

(Regina wyniosła z Wojciechem stół z chałupy, nakryty przez środek ręcznikiem. Na stole przekąski z chleba i sera, kieliszek oraz kropidło i święcona woda na miseczce.)

Regina (ustawiając stół pod lipą, odstawiwszy pniak na bok).

Tak, tutok pod lipecką... (poprawia rzeczy leżące na stole) Teroz wszyćko jest, jak obycoj koze... Lniany ręcnicek, zeby się stadłu po pobraniu darzyło. Chleb ze solą i sy-

rem, zeby mieli dostatek, i woda święcono na błogosławieństwo Boze. A teroz napitek.

Wściubara (trzymając kieliszek).

Oj! to, to! bo się kubeckowi okrutnie cknie. No, a kadyz te flaski? (spostrzega butelki, które Domin postawił przy słomie pod szopą) Aha! tuście, bestyjki! jak se to pokorniuteńko stoją. (stawia je na stole) Chodźciez do kompanji. (nalewa i pije) Wase zdrowie, Klóska!

Klóska (odbiera).

Bóg zapłać! (pije nalany kieliszek)

Regina.

No, a teroz trzeba, zeby się i dziewucha zjawiła, (ogląda się) ale a kajze Domin?

Filip (patrząc na lewo).

A, z przeproseniem, idzie juz ze starym Symonem. Oho! musą być ze sobą dobrze, bo się, z przeproseniem, pod pochę prowadzą!

Pisarz (na stronie).

Aha! ładnie się prowadzą!

Wojciech.

To chwała Bogu! kiedy się pogodzili!

(Wchodzi Domin, ciągnąc gwałtem pod rękę Szymona. Szymon, staruszek 70—80 letni, bielutki jak gołąb, ubrany w ciemną sukmanę z czerwonemi wyszyciami, jakie noszą około Mnikowa w Krakowskiem.)

Domin (do Szymona cicho).

Pamiętojcie, stary, com wom powiedzioł, (z groźbą) bo i jo na ludzi zwozoł nie bedę.

Szymon (puszczony przez Domina, siada zmęczony na pniaku).

O, Boze miłosierny!

Wszyscy.

Witojcie, Symonie!

Szymon (słabym głosem).

Bóg zapłać!

Filip.

Jak widzę, z przeproseniem, spiesno wom było, kieście się tak zmęcyli?

Domin (na stronie).

Umhu! spiesył się jak osieł bez mostek! (głośno do Filipa) No, i jakzeście się ułozyli?

Filip.

A no, wszyćko dobrze! Wojciechowie odstąpią ci, z przeproseniem, komory na izbę i będzies zbieroł ze śtyrech morgów.

Regina.

A i wiano Tekla weźmie, jak się patrzy. Dwie krowy, kwiatulę i tę, co se to róg zbiła, a w przycynku marcową jałówkę.

Filip.

Zreštą dziewucha ma wszyćko, z przeproseniem, w porządku... i przyodziewa, jak się patrzy, i pierzynę i zogłówki.

Regina.

A na korole złozone są pieniądze we skrzyni.

Pisarz (na stronie).

Aha! będzie ona widziała korale.

Domin (do Szymona).

Słysycie?

Filip.

A zaś Symon mają ci dać, z przeproseniem, tę część za Brzózkami.

Domin (do Szymona).

No! stary... jakze?

Filip.

I cóz wy, z przeproseniem, Symonie! zgodzocie się?

Wściubara.

A coby się ta nimioł zgodzić?!

Filip.

To i dobrze! No, Domin, ucałuj tatusiowi, z przeproseniem, nogi.

Szymon (widząc zbliżającego się Domina, zrywa się ze zgrozą).

Prec! prec odemnie, wyrodku!

Wszyscy (zdumieni).

A to co?

Domin (wściekły).

Ociec!!...

Szymon.

Prec! bo kuzde dobre słowo, cobyś mi przy ludziach musioł powiedzieć, kamieniem-by spadło na moje biedne serce.

Domin (cicho).

Stary! upamiętoj się.

Filip.

Jakto? nie chcecie mu pobłogosławić? przecie to was syn, boście go sobie wychowali...

Szymon z (boleścią).

A tak! wychowałem sobie kata! oprawcę!

Pisarz (do publiczności).

Patrzcie państwo... teraz chamy zaczynają się w tragedję bawić... Ot, skutki oświaty!

Cecylja.

Zwaryjowoł stary!

Filip.

Więc się nie zgodzocie?

Szymon.

Dejcie mi pokój... jo o nicem wiedzieć nie chce.

Filip.

E! przystalibyście, kiedy wos prosi.

Szymon (gorzko).

Mój mocny Boze! jak pieknie prosi! (z boleścią) Przylecioł do chaty, wrzasnął na mnie, jaze syby zabrzęcały, a potem porwoł za kark i zawlókł mnie tu jak psa! (z płaczem) O, Jezu miłosierny! ulituj się mojej nędzy!

Wszyscy.

Biedny stary!

Wojciech.

Wychować sobie takiego zbója!

Cecylja (cicho).

Stul gębę, ciemięgo! wyście oba jednacy.

Filip.

A! z przeproseniem, kiedy tak, to na nic sprawa.

Regina.

Skoro nima dziewosłębów, to ostańcie z Bogiem; jadę po owies.

Cecylja.

Cekojcie jesce.

Domin.

A bodaj to siarcyste... Więc jo z własnej chałupy wychodzę i zenie się na przystonkę, a wy jesce zgodzić się nie chcecie? Wiec jo zły syn do krocśet.. jo!... Ale cekajcie!... jo wom poradzę razem z wasym przemądrym Markiem, co wos buntuje!... Zeby nawet siarcyste! to postawie na swojem i ozenie się z Teklą.

Szymon.

A zeń się, kiedy ci dają. Miły Boze! mają cego pragnąć... poznają oni niedługo, coś wort i gorzko pozałują.

Cecylja (cicho do Domina).

Dej mu teroz pokój, bo wszyćko popsuje. Bądź cierpliwy, przecie wiecnie zyć nie bedzie. (do Szymona) Nie chcecie przystać, to się obejdzie... a Domin się i tak z Teklą ozeni... No, Filipie, kończcie z temi dziewosłębami!

Wściubara.

A dy juz nima co robić, jeno wypić na wiwat i tyla.

Regina.

No, to prędzej, bo mi się po ten owies okrutecnie spiesy. (bierze butelkę i kieliszek) Jo jako swacha piję nojprzód do Wojciecha. Wase zdrowie!!

Filip.

Ale cekojze, Rejna, przecie jesce, z przeproseniem, oracyjo!

Regina.

A prowda! ano godoj, byle prędzej, bo juz słonko zachodzi, a tu ten owies — jesce mi go zrosi.

Filip.

Zaroz! (staje przy stole z kieliszkiem w ręku, uderzając drugą w stół) Z przeproseniem! Cytomy w świętej biblji, ze juz Jadamowi w raju zachciało się, z przeproseniem...

Pisarz (na stronie).

A to bydle co gada?

Filip (kończąc).

Zyć w mołzeńskim jarzmie...

Regina.

Przecie to oracyjo do młodej pory... atu Tekli jesce nima!

Filip.

Prowda, z przeproseniem... a kadyz Tekla?

Wojciech.

A no krowy doi.

Cecylja.

Zawołaj jej zaroz!

Wojciech (woła w głębi).

Teklusiu! Teklusiu! a chodź ino!

Tekla (z chaty).

Kiedy nimom casu!

Cecylja (krzycząc).

Chodź mi tu żaroz, kiedy cię wołają!

Wojciech.

A nie krzyc-ze, Cecka! (podchodzi do drzwi) Chodź-ze, Tekluniu.

SCENA VIII.

Pisarz — Filip — Wściubara — Klóska — Wojciech — Regina — Cecylja — Domin — Szymon — Tekla.

Tekla (wchodząc).

Co, tatulu, chcecie odemnie?

Wojciech.

Oto widzis!

Cecylja.

Stul gębe, kiedy to do ciebie nie nolezy. (do Filipa) No, godojciez i wy.

Filip.

Moja Tekluniu, kiedy twoje serce, z przeproseniem, pragnie... a ojcowie się nie przeciwią...

Tekla (niespokojna).

Co? co takiego?

Filip.

To nadesła dlo cię ta sceśliwo chwila, ze Domin...

Tekla (zrozumiawszy).

A! niechze Bóg broni! Jo nie chcę Domina... Oj, Filipie! Filipie! skąd-ze wom tyz przysło swatać mie takiemu!

Cecylja.

I jakiemuz to?... hę?... widzicie ją!... jako pysno!... a jakiz on to?

Tekla.

Niech se ta bedzie jaki chce, ale jo za niego nie pudę.

Cecylja.

Co takiego?

Wojciech (na stronie).

Wiedziołem, ze bedzie galamatyjas...

Szymon (który siedział na pniaku obojętnie ze spuszczoną głową na piersi, wstaje i wyciąga ręce).

Niech ci Bóg błogosławi, dziecię moje!... zaklinom cię na wszyćko, nie słuchoj ojców.... odepchnij go od siebie... zebym ni mioł stropienia patrzeć na twoje niescęście... niech ino moje serce cierpi, kiedy Pon Bóg tak srogo chce mnie doświadcać.

Domin (na stronie).

A zeby cię siarcyste!

Tekla (obejmuje kolana Szymona).

O, niech wom Pon Bóg zapłaci za wasę dobroć, mój śrybny dziaduniu... bądźcie pewni, ze i wom Pon Jezus ześle pociesenie za litość nad innemi!

Szymon (ze łzami patrząc w niebo).

Posiesy mnie! pociesy tam w górze... ale tu na ziemi, nic opróc bólu i sromoty!

(zakrywa twarz rękami i łkając odchodzi)

Pisarz (do publiczności)

No, widzicie państwo, co te chamy wyprawiają!... a to pęknąć od śmiechu!

Filip (ocierając łzy).

Biedny starowina!

Regina.

Jescem tyz, jak zyję, nie swachowała takim dziewosłębom — kaduk mnie tu przysłoł... e, lepiej zrobię, jak po owies pojadę. (bierze bicz i wychodzi)

Pisarz (cicho do Domina).

Co będziecie zważać na takie głupstwa? kończcie swoje i kwita!

Cecylja (do Tekli).

No, dosyć tego! słysałaś ty!

Tekla (biegnie do ojca).

Oj! tatulu! tatulu! co jo wom tez zawiniła, ze mię gwołtem wydajecie za tego cłowieka?

Wojciech.

No, dyć jo przecie...

Cecylja (w pasji).

A kto tu gospodynią?... kogo tu mocie słuchać? hę?... Domin, nie zwazoj na nic, dej jej sie napić do siebie; niech juz roz bedzie koniec!

Domin (bierze butlę, nalewa w kieliszek i pije do Tekli).
Twoje zdrowie!.. (pije połowę, resztę jej oddaje)
Naści... (Tekla się odwraca, nie przyjmując)

Cecylja.

No, słysałaś! zaroz mi tu wypij!

Tekla (stanowczo).

Nie wypiję i za niego, póki zycio, nie pudę!

Cecylja (gwałtownie).

A więc posła prec z chałupy! Powiadom ci sumiennie, abo pudzies za Domina, abo wyścigom cię na śtyry wiatry! — Dzisiok jesce pudzies z torbami!...

Tekla (stanowczo).

Róbcie, co wom się podobo, ale jo jego nawet znać nie chcę.

Domin.

A bodaj ją siarcyste! jak się zgniewom, to jej tę gorzołkę razem z kieliskiem do gardła wpakuję.

Cecylja (która nie mogła przyjść do słowa z oburzenia).

I! ty, dziadówko! zebrocko! rusaj mi stąd prec!... i ani mi się na ocy nie pokazuj w chałupie!

Tekla.

O! Boze! Boze!...

Wojciech.

Bój się Boga! co ty wyrobios!

Cecylja.

A ty mi się takze stąd wynoś razem ze swoją dziewką!... (ciągnąc ją za rękę w głąb) Prec! prec! wynoście się prędzej!

SCENA IX.

Pisarz — Filip — Wściubara — Klóska — Wojciech — Regina — Cecylja — Domin — Szymon — Staś — potem *Marek.*

Staś (wbiegając).

Co się tu dzieje? (porywa Teklę w objęcia, odtrącając lekko Cecylję) Bójcie się Boga, Wojciechowo, co wy wyprowiocie?

Cecylja.

I ty, zebroku, cego tu chces? cego się w to mięsos? Kto cię tu wołoł, co? hę?

Staś (do Tekli).

Tekluniu, co się tu porobiło? co to wszyćko znacy?... ty płaces?... O, mój Boze! (groźnie) Kto tu śmioł zrobić jej co złego?

Pisarz (do publiczności).

Aha! jest i bohater dramatyczny!

Cecylja.

A cóz ty mi tu tak gębę otwieros? Wynoś się stąd!... tu nie karcma, zeby kuzdy przychodził, komu się podobo!

Staś (do Wojciecha).

Wojciechu! na Boga! co się tu stało?

Wojciech.

A no, widzis, Domin chciołby pojąć Teklę, a ona nie...

Cecylja.

Cicho mi zaroz, a jemu co do tego?

Staś.

O! prędzej dołbym się zabić!

Domin (na stronie).

Mniebyś ta o to długo nie prosił.

Cecylja.

A to się zabijoj, jak ci się podobo... a teroz mi stąd rusoj, pókiś cały!... Prec! prec! razem z tą dziadówką.

Wojciech.

Dajzez pokój!

Cecylja (w największym gniewie).

A i ty takze wynoś mi się stąd prędzej! Wszyscy prec, prec z mego dobytku!

Marek

(wchodzi z prawej strony przez płot z grabiami na ramieniu, ubrany w ciemną kapotę z potrzebami bez kamizelki — spodnie ciemne w butach... koszula chłopska, pod kapotą opasany szerokim pasem — kapelusz słomiany — lat 50 — mały szpak).

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Razem.

Wszyscy.

Na wieki!

Staś — Tekla — Wojciech (z radością).

Ach! Marek! Marek! przyśli!

Pisarz (na stronie).

Djabli go tu przynieśli!

Tekla — Staś (biegną do niego).

O! mój chrzestny ojce!

Wojciech.

Kumotrze kochany! Bóg wos tu prowadzi!

Marek (tuląc do siebie Stasia i Teklę, spogląda surowo na Cecylję i pisarza).

Co się tu dzieje? Wojciechowo, co to wszystko znaczy?

Cecylja (dumnie).

A to znowu co?... kto się tu śmie wtrącać do mojego domu? Widzis go! Patrz

swojego syna, pilnuj go! zamykoj, zeń z kim kces... ale odemnie wara!

Tekla.

O, mój chrzestny ojce, ratuj mię, ratuj! chcą mnie wydać za Domina, ale wy mnie obronicie?

Marek (tuląc Teklę, spokojnie).

Uspokój się, drogie moje dziecię, nie pójdziesz za niego.

Cecylja (szyderczo).

Doprowdy? moze wy nie pozwolicie?

Marek (zimno).

Ja, moja Wojciechowo!

Cecylja.

Ha! ha! ha! chciałabym widzieć tego, coby mi śmioł zabronić wydać córkę, za kogo mi się podobo!

Marek

(bierze ją za rękę, prowadzi na przód sceny i mówi półgłosem lecz stanowczo).

A więc mi się przypatrz, bo to ja zabraniam!

Cecylja

(zdumiona i na pół przestraszona jego stanowczością).

A to znowu jakim?...

Marek (groźnie).

Jak ty się Boga nie boisz, kobieto? Więc aż do tego doszło, że sobie tego Domina pod strzechę swojego męża chcesz sprowadzić?

Cecylja (przerażona — cicho).

Na rany Boskie! a wy skąd o tem wiecie?

Marek.

Cicho! nie bluźnij, wzywając imienia Bożego! Widzę ja dawno, co się święci, ale myślałem, że się upamiętasz! Takaż to wdzięczność dla męża za jego dobre serce?

Cecylja (przygnębiona — błagalnie).

O! moi złoci! zmiłujcie się, nie gubcie mnie!

Marek.

Dobrze! ale pamiętaj! zerwij raz na zawsze z tym łajdakiem, albo, jak Bóg na niebie, Wojciech wypędzi cię ze swojego domu! ja ci to powiadam!

Cecylja (urażona, odzyskując zuchwałość, ale zawsze cicho).

Mnie! mnie wypędzi? albo mi to nie zapisoł? abo to wszyćko nie moje?

Marek.

Nie twoje! bo cały majątek jest spuścizną po matce Tekluni, więc tylko do niej należy, a ten cały zapis, który Wojciech, nie wiedząc co robi, kazał sporządzić, jest nieważny.

Cecylja.

Jezus Maryjo! o jo niescęśliwo! co jo teroz pocnę?

Marek.

A widzisz!

Cecylja.

Wszyćko, wszyćko zrobię, co chcecie, ino się nie mścijcie nade mną!

Marek.

No pamiętaj-że! (głośno) Widzisz, moja Tekluniu, że macocha nie taka zła, jak ci się zdaje. Już nie chce, abyś szła za Domina, ale wyda cię za Stasia, bo się podobno oboje kochacie!

Staś i Tekla (rzucają się w objęcia).

Nad zycie!

Marek.

A więc dobrze! właśnie tu są świadkowie do waszych zaręczyn.

Wojciech.

Jo to dawno chciołem, zeby oni się pobrali, ale moja się wagowała, bo Stach ni mo nic.

Marek.

Jak? nic? przecież jest młyn...

Staś.

O, to nie mój ale was... a jo go przyjąć nie mogę... bo mój tatuś, umierając...

Marek.

Daj spokój, już ja wiem, co robię. (do Wojciecha) A wy, kumotrze, odstąpicie mu połowę gruntu!...

Wojciech.

Bardzo dobrze, jezeli Cecka...

Marek.

Wojciechowa już się na wszystko zgodziła... A teraz niech żyje Staś i Teklunia!...

Wszyscy (prócz Domina i Cecylji).

Wiwat!!

(Wściubara, Filip i Klóska piją wino, przyniesione przez Domina.)

Domin.

A niechby ich siarcyste! jesce moim winem popijają! (do Pisarza) Co, u stu djobłów, mo to wszyćko znacyć?

Pisarz (zdumiony).

Albo ja wiem, czego on się tak nadyma?

Domin (do Cecylji).

Jakze to?... a ze mną co bedzie?

Cecylja (prędko i cicho).

Bój się Boga, cicho bądź, nie odzywoj się, bo bedzie niescęście!...

Domin.

A zeby to siarcyste! (do pisarza) I cóż jo teroz mom robić?

Pisarz.

Co? głupcze... na twojem miejscu nie zważałbym...

Marek.

Hej, mości Warchołek!

Pisarz (usłyszawszy swoje nazwisko, wstrząsa się, jakby go kto ukłuł — dumnie).

Tylko bez poufałości, bardzo proszę... (z przyciskiem) Zawsze — pan!...

Marek (nie zważając).

Czy regestra i kasa gminna w porządku?

Pisarz.

A to co takiego?... tego jeszcze brakowało, żeby byle kto wtrącał się w moje zajęcia urzędowe!...

Marek (ironicznie).

Widzę, że za gorliwie pełnisz (z przyciskiem) *pan* te swoje zajęcia, dlatego postaram się o podanie go do nagrody.

Pisarz (zdumiony).

Jak mam to rozumieć? Co to znaczy?

Marek (szyderczo).

Chcąc oszczędzić pracy komisji wojskowej, niszczysz *pan* podania reklamacyjne.

Pisarz (zmieszany — na stronie).

Tam do djabła!

Marek.

Bardzo to pięknie! że chcesz przysporzyć armji o jednego więcej żołnierza... a chociaż postaram się, aby to nie nastąpiło, jednakże zasłużona nagroda *pana* nie minie; bądź przekonany, że ją odbierzesz w sądzie kryminalnym!

Pisarz (przestraszony).

To nie moja wina! to przez zapomnienie!

Marek.

No, no, dosyć na teraz... Sprawdzimy jutro księgi urzędowe, a *pańska* zasługa okaże się jawną.

Pisarz (na stronie — dumnie).

Ciekawy jestem, jakiem prawem może ktokolwiek wtrącać się w moje czynności, które tylko do delegata powiatowego należą?

Marek.

To też hrabia, na czas swojego wyjazdu do Wiednia, mnie mianował zastępcą delegata.. Właśnie dziś wieczór idę do Osikowa po odebranie potrzebnych mi dokumentów.

Pisarz (na stronie).

Jestem zgubiony! teraz na gwałt pieniędzy!

Domin (do pisarza).

Cóz u djobła, handrycycie się i handrycycie, a my słuchomy jak miemieckiego kozanio!... Dorodź ze mi, co mom robić z temi dziewosłębami?

Pisarz (cicho).

Daj wszystkiemu pokój; tu nie czas teraz o tem myśleć!...

Domin (zły).

A zeby cię siarcyste, jo mom dać spokój, kiedym se tyla kostów narobił?

Pisarz.

Odbierzesz sobie z pieniędzy, które tej nocy dostaniemy, tylko nie zapomnij odsunąć zapory... Ja idę do karczmy, gdzie czekam na ciebie i macochę...

Domin.

Jo jakoś dzisiok ni mom ochoty...

Pisarz.

Koniecznie dzisiaj!... rozumiesz!... jutro byłoby zapóźno. Wiedz o tem, że jeżeli ja wlezę w biedę, to i ty ze mną!...

Domin.

A! niech to siarcyste!

Pisarz.

No, pamiętaj, żeby było wszystko gotowe! inaczej przepadliśmy... (wychodzi szybko)

Filip.

Z przeproseniem... zgłupiołem jak but z lewej nogi... ni mogę zmiarkować, co to wszyćko znacy.

Marek (wesoło).

To znaczy, mój Filipie, że was wójtem obierzemy, bo sobie pono tego życzycie?

Filip.

Doprawdy?... A z przeproseniem... to się dopiero Rejna uciesy... ale cy ino na pewno?

Marek.

Jak najpewniej

Wściubara.

A no, juzci Filipowi będzie najporęcniej wójtować, bo mo najwięcej casu... moze cięgiem w chałupie siedzieć, a baba wszyćko w polu obrobi...

Filip.

To prowda!... co to za kobieta ta moja Rejna!... to posukać... I zorze, i zasieje i do lasu pojedzie, a na koniu wyglądo jakby jaki furwez!

SCENA X.

Ciż — Grześ — potem Hanka — Katarzyna — Salusia — Marysia — Małgosia — Maciek — Wojtek — parobcy — dziewczęta — muzykanci i lud.

Grześ (za sceną).

Haho!... prrru! stójze... No, Wojtek wyciągnij wóz ze stodoły i zaprzągoj... jo

pudę co przetrącić, bom głodny jak jaki wilk! (wbiega) A co, juz po oracyi?

Marek.

Nie jeszcze, poczciwy Grzesiu, oracyja będzie dopiero na weselu Teklusi ze Stasiem.

Grześ.

To Domina odpoliła? a niechze jej Pan Bóg do zdrowie! (patrzy na Domina) Ha! ha! ha! nie darmo mu tyz wąsy tak na dół posły, jak ślimokowi na dysc... (śpiewa szyderczo:)

Nie dlo psa kiełbasa, nie dlo kota spyrka,
Daremnie Dominek na Teklusię zyrka.

Wojciech.

Grzesiu, spies się, pownoś wszyćko do izby i zaprzyj drzwi od chlewa.

Grześ.

Zaroz wszyćko bedzie. (biorąc stół do sieni) Ho! ho! a tu i gorzołka jest jesce, a to sobie dopiero golne porcyją, co się nazywo.. ale dopiero w izbie, zeby nie widzieli. (wchodzi ze stołem i butelkami do chaty)

Domin (na stronie).

Teroz trza mi się wkręcić do środka, zeby tę zasuwę... ale jakby tu? Aha! (głośno) A to co? Ka się podzioł mój na-

pitek? Hej, Grzesiu! pocekoj, dom jo ci zabierać!

(Wbiega szybko do chaty za Grzesiem. Muzyka gra krakowiaka. Parobcy i dziewki wchodzą parami w tańcu, za niemi reszta ludu, a przed nimi muzykanci. — Pary wpadają i tańczą pierwszą figurę krakowiaka.)

Śpiew nr. 3.

Wojtek (po tańcu).

Kiedy spoźrę w modre ocy,
bis Dusa we mnie raźno skocy,
A z dusycką, Boze drogi, } bis
Skacą równie moje nogi.

bis { Hu! ha! nuze, basy, } Chór
Nie zwozojcie na obcasy! }
(taniec)

Hanka.

Słóweckiem mnie nie oślepis,
bis Kiedy ni mos scyrych chęci;
Dopóki mnie nie ocepis, } bis
Nie będę cię mieć w pamięci.

bis { Hu! ha! nuze, basy, } Chór
Nie zwozojcie na obcasy! }

(Przy końcu śpiewu wchodzi Grześ z chaty, zajadając dużą kromkę chleba i kawał sera. Za nim Domin z butelkami pod pachą. Grześ zamyka drzwi od sieni na kłódkę i klucz oddaje Cecylji, która odebrawszy go, wychodzi.)

Grześ (jedząc).

Musiała mi Teklunia wieczezę wydzielać, bo dała porzomną pojdę chleba ze syrem, a po tym gorzołcysku, to tak w garle zniko jak w studni.

Domin (na stronie).

Ani się spostrzegł, jakiem nazod odsunął... (pokazuje zasunięcie i odsunięcie zapory) On tak... a jo tak.. (wychodzi)

Grześ (wskazując ręką na lewo w głąb).

No! dalej, chodźma przed stodołę... siadać na wóz; bo juz się mrocy.

Tekla.

Jedźmy wedle figury... odśpiewomy pieśń do Pana Jezusa.

Marek.

Dobrze, moje dzieci, dobrze!... kto z Bogiem, to Bóg z nim!

Grześ (biorąc na ramię snopek słomy z pod szopy).

No! chodźciez juz roz... wybierocie się jak zydy na jarmak... siadać na wóz, siła się zmieści, a reśta hajda na nogach!...

Tekla.

Jedźcie pod figurę... my wos tam dogoniemy...

Grześ.

No! dalejze, chłopoki! chodźcie, dziewuchy...

(wychodzą wszyscy w głąb na lewo oprócz Marka, Filipa, Wojciecha, Wściubary, Klóski, Tekli i Stasia)

Wojciech.

Pojechalibyście z nami, kumotrze, posłuchać weselenio się tego młodego zberezeństwa.

Marek.

Z chęcią, mój Wojciechu, ale muszę iść do Osikowa.

Staś.

A zdązycie to, kiej okrutny kawoł drogi?

Marek.

Przejdę ścieżką przez „Czartowską ławę“ — to nie tak daleko.

Wszyscy.

O rany!... bez Cartowską ławę!

Filip.

Oj! z przeproseniem... tam okrutnie nieprześpiecnie chodzić, a jesce po nocy... łatwo mozna się zesunąć na dół...

Marek.

Księżyc jasno świeci... niema żadnego niebezpieczeństwa...

Wściubara.

Ale tam podobro złe kusi...

Marek (z uśmiechem).

Nie zrobi mi nic złego.

Staś (z obawą).

O! mój chrzestny ojce, tam tako wąziutko ściezyna, ze. .

Marek.

Ale nie bój się... nie raz już tamtędy w nocy przechodziłem... i znam tę ścieżkę doskonale.

Tekla i Staś (całując go w ręce).

A więc dobranoc wom, nas chrzestny ojce!... nas dobrocyńco!...

Marek (całując ich w czolo).

Dobranoc wam, moje dzieci!

Wojciech.

Ostańcie z Bogiem, kumotrze!

(wszyscy prócz Marka wychodzą na lewo, Marek odprowadza ich w głąb i zostaje chwilę)

(Światło ściemnione.)

SCENA XI.

MODLITWA.

Śpiew nr. 4. (Chór)

(Za sceną odzywa się zdaleka pobożny śpiew, zaczęty dosyć głośno, przechodzi przy końcu w pianissimo, ażeby Marek mógł mówić monolog.)

Cicha noc się zbliza,
Anioł snu już biezy;

Klęknijmy u krzyża
Do świętych paciezy.
W łasce niepojęty,
Przyjm modły twych dziatek,
Strzez nam, Boze święty,
Dobytku i chatek.

(po śpiewie w orkiestrze, odzywa się ta sama melodja pianissimo i trwa aż do końca monologu)

Marek

(odprowadziwszy wychodzących, zostaje w głębi, słuchając śpiewu i wpada w krótką zadumę; po chwili).

Jak błogo! jak cudownie rozchodzi się brzmienie tej pobożnej pieśni, a każde słowo tych prostaczków biegnie wdzięczną melodją przed tron Najwyższego! Poczciwy ludek z ufnością powierza skromne mienie opiece Stwórcy! (zbliża się na przód sceny — po chwili) Wiele! bardzo wiele trzeba było pracy, aby zaszczepić w tych prostych sercach szlachetniejsze pojęcia. Ileż przesądów i nieufności, uporu i niedowiarstwa trzeba było zwalczyć, aby ich przywieść do poznania prawdy, do miłości pracy i nauki! Lecz Bóg łaskawy pobłogosławił moim usiłowaniom; dziś dobrobyt i szczęście mych braci jest mi nagrodą. (muzyka ustaje,— dobywa zegarek z kalety pasa) Ale już późno, trzeba się spieszyć, aby odebrać od hrabiego pełnomocnictwo, które mi posłuży

do wypędzenia ze wsi tego nikczemnika! (idzie w głąb i wraca się) Ach! prawda, zapomniałem, trzeba mi zabrać pożyczone ze dworu książki i gazety.

(wchodzi do swego domu)

Nr. 5.

MELODRAM

SCENA XII.

Pisarz — Domin — potem Kazimierz — w końcu Marek.

(podczas melodramu Pisarz i Domin zakradają się ostrożnie z głębi — przerwa)

Domin (oglądając się).

Nima nikogo.

Pisarz.

A więc spiesz się, wejdź do chałupy, a ja zostanę na straży. (melodram uderza kilka taktów, Domin wpada do drzwi od chlewa, sam) Poczekaj, przeklęty mędrku! (grozi ku chacie Marka) Usunę ci się, jutro już mnie nie zastaniesz we wsi, lecz ci zostawię pamiątkę. (demonicznie) Zdołałem namówić Domina, żeby mu tej nocy spalił dom razem z jego gagatkiem, zamkniętym na strychu! nim się opamięta z boleści i każe ścigać, ja będę daleko, a z tym głupcem Dominem, niech

sobie potem robi, co mu się podoba. (słysząc szmer — melodram) Co to? przeklęcie! ktoś nadchodzi.

(wpada do szopy i kryje się, melodram ustaje na chwilę)

Kazimierz (ukazując się w dymniku).

Ciemno i cichutko, jakby makiem zasioł, nikt nie będzie widzioł, tatuś już pewnie są w Osikowie. (wyłazi na strzechę) Polecę w polę ku konopiom, zobocę się z moją Magdusią, a potem tędy napowrót na strych się dostanę. (schodzi) Zeby ino nie spaść, aha, drabina! (Dochodzi do drabiny opartej o dach chaty i schodzi na scenę. W tej chwili Marek wychodzi z domu z książkami i gazetami pod pachą, spostrzega Kazimierza, a nie poznawszy go, przyskakuje i chwyta go za sukmanę.)

(Melodram)

Marek.

Złodziej! złodziej!

Kazimierz.

Jezus! Maryjo! ojciec!

Marek (zdumiony).

Kazimierz! (ostro) A to co ma znaczyć?

(Melodram ustaje)

Kazimierz.

Jo... jo... mój ojce...

Marek.

Więc ty złodziejom do swojego domu drogę pokazujesz? także to szanujesz moje rozkazy?

Kazimierz.

Jo.. jo ino na chwilę chciołem.

Marek (z oburzeniem)

Chciałeś iść w pole, ażeby się widzieć z tą! z tą bezwstydną dziewką, ale poczekaj!

Kazimierz (zapalając się).

O, to nie prowda, co ludzie godają. Magda jest ućciwą, i jo ją kochom.

Marek.

Milczeć! nauczę ja cię posłuszeństwa! Ruszaj do domu i na krok nie wychodź bez mego pozwolenia!

Kazimierz (po chwili gorączkowo).

Jo... jo... nie pudę!

Marek.

A to co ma znaczyć?

Kazimierz.

Jo nie chcę być pośmiewiskiem całej wsi, juz i tak palcami na mnie pokazują... Jo się nie dom zamykać!

Marek (surowo).

Dosyć tego! do izby!

Kazimierz (stanowczo).

Nie! nie pudę!

Marek.

Zobaczymy! (zbliża się do niego)

Kazimierz (w największem rozdrażnieniu).

Nie dotykaj mnie ociec! jo nie chcę, jo nie pudę!

Marek.

Ależ, szalony chłopcze!

Kazimierz (żywo).

Nie! nie! nie!

Marek.

Nie nadużywaj mojej cierpliwości! precz!

Kazimierz.

Nie!

Marek.

A! dosyć już tego. (porywa go za ręce i pociąga ku drzwiom)

Kazimierz (wyrywając się gwałtownie, tak, że pociąga za sobą Marka).

Jo nie chcę! nie chcę! i nie pudę!

Marek (pociągniony, traci równowagę, upada i uderza głową o cembrowinę studni).

Jezus! Marja! mój syn! moje własne dziecko! (omdlewa)

Kazimierz (opamiętawszy się).

Co to? co się stało? (spostrzega omdlałego) Tatulu! (klęka przy nim) Tatulu mój drogi! przeboccie mi! przeboccie! (dotykając, go zrywa się z krzykiem) Jezus! Maryjo! pomocy, ratunku! (wbiega do chaty po wodę)

Pisarz (wybiega ze szopy).

Ha! ha! doczekałeś się pociechy ze swoich nauk, dumny mędrku! Własny syn cię przekonał, jak masz postępować, głupcze! (schyla się nad nim i ogląda, zrywając się z radością) Co? nie żyje? ha! ha! nie żyje! Zwycięstwo! teraz ja się tu rozgospodaruję! nie będziesz mi już przeszkadzał, nie wypędzisz mnie już ze wsi!

Domin (wybiegając drzwiami od chlewa).

Są! są pieniądze, a teroz w nogi. (spostrzega Marka) Raju! a to co?

Pisarz.

Ha! ha! patrz, już więcej nie wstanie, ażeby nam przeszkadzać!

Domin.

A zeby cie siarcyste! toś ty go tak urządził?

Pisarz.

Cóż znowu, głupcze! jego syn własny Kazimierz, zrobił nam tę przysługę!

Domin.

A bodaj go siarcyste! a to ci dopiero będzie termedyjo!

Kazimierz (wbiega z wodą i spostrzega ich).

Ach, to wy! zmiłujcie się! ratujcie mi ojca! mojego drogiego tatula!

Pisarz.

Napróżno, mój kochany! on już nie żyje!

Kazimierz (z krzykiem rzuca się na ojca).

Nie zyje!

Pisarz (szyderczo).

I to ty zabiłeś własnego ojca!

Domin.

Ha! ha! kryminoł! szubienica!

Kazimierz (z rozpaczą).

Matko Nojświętszo! ojciec mój nie zyje! a jo, jo jego mordercą! (płacząc, rzuca się na Matka)

Pisarz (na stronie).

Ach! co za myśl! Wszak on miał iść do Osikowa przez „Czartowską Ławę“; wybornie! doskonale! już mam majątek. (do Kazimierza głośno) Ja cię wybawię od kryminału!

AKT II.

Mieszkanie u wójta Filipa, izba porządna i zamożna — obrazy świętych na ścianie — skrzynie malowane. — W głębi po lewej piec z nalepą — za nim kominek do świecenia drzazgami i kilka szczyp. Po prawej, w głębi przy ścianie, duża półka ścienna na naczynia kuchenne, łyżki, miski, garnki, kilka talerzy, i t. p. — Na większych półkach książki gminne i rejestra, papiery, pióro, atrament, pas z blachą wójtowski, pieczęć duża trzonkowa, kilka gazet ludowych, mały dzwonek, jaki zazwyczaj noszą źrebięta na szyi. — Po prawej drzwi do izby pisarza, ku przodowi okno — po lewej drzwi do komory. — Pod ścianami ławy, kilka stołków bez poręczy — po lewej stół i trzy krzesła z poręczami, ale proste.

SCENA I.

Regina — Maciek.

Regina (zawięzuje duży wór napchany, w którym ma być obrok — wołając).

Maciek! Maciek!

Maciek (ociężały parobek, mówi zawsze niechętnie i leniwie, oprócz scen zbiorowych, gdzie jest żwawy i wesoły — wchodzi głębią).

No?

Regina.

A jezdeś! no cóz? przyniósłeś chomonto?

Maciek.

A no, cobym ta nimioł przynieść? Lezy tam pod ścianą przed chałupą.

Regina (krzątając się).

To dobrze! a teroz się spies, zapakuj obrok na wóz i konie napój. A kajze putnia?

Maciek.

No, kazby miała być? wisi hań na kołku od płota. Ale po kigo grzycha gospodyni dajecie podwody rekrutom? gnać śkapska tyle dole, kie to na Sciernioka kolej?

Regina.

Cóz z tego, kiej mu koń zachorowoł, i ni moze jechać,. więc tyz trza poratować bliźniego w niescęściu!

Maciek.

Hm! prowda! tak to i nieboscyk Marek ucyli, ale przecie Filipowi nie wypodo da-

wać podwody, bo są wójtem, i do tego, jak powiadają, urzędowi.

Regina.

Abo to on końmi robi, ino jo? A zreśtą tobie do tego nic! nie wtykoj nosa, kaś nie doł grosa i rób swoje! No, rusoj się zwawo, bo cas migiem leci, wynieś ten obrok na wóz, kiedy ci godom.

Maciek (próbując worek).

Pewnieście samego owsa nasuli, a siecki nic, taki ciężki jak sto bisów, ani rus podnieść. (mocuje się z workiem, stękając) Nie, nie dźwignę.

Regina.

Cyś nie jodł dzisiok, cy co? — a nuze!

Maciek.

Kiedy to taki ciężor! jescebym sie oberwoł abo co.

Regina (przedrzeźniając).

O! cie go, delikacik! boi się nadąć, żeby mu zyła. nie pękła. A cóz tyz to teroz za chłopy takie słabiącki!.., No, podźwignijze. (bierze worek za wierzch ze złością, Maciek bierze za spód — Regina idzie tyłem do drzwi, potrącając plecami wchodzącego Filipa)

SCENA II.

Regina — Maciek — Filip — Wściubara — Klóska — potem Wojciech — Cecylja — Katarzyna — Salka — Marysia — Małgosia i kilku parobków — wreszcie Grześ.

Filip (zataczając się).

Rejna, nie trącoj, bo jo, z przeproseniem, urzędowy! (Regina puszcza worek, Maciek przewraca się z nim)

Maciek (upadając).

O jej! jej! jej! (chwyta się za plecy) O! rany! coś mi trzasło! o jej! ę! (stęka).

Regina (zła).

A to siłoc, jak mucha na Ś-ty Morcin. (chwyta za worek, bierze na ramię i wychodzi)

Wściubara (z podziwem).

Mocno baba.

Filip.

Ho! ho! moja Rejna, to, z przeproseniem, jak jako Samsunowo.

(wchodzą wszyscy wymienieni prócz Grzesia)

Wojciech i Katarzyna (wchodząc).

Niech bedzie pochwalony!

Filip.

Na wieki!...

Maciek (leżąc, stęka).

O jej!... oj! ę! ę...

Katarzyna.

A ty cego tak stękos, jak zeby cie kolki żgały?

Filip.

Jak go posmaruję logą po grzbiecie, to mu zaroz wyjdą. (do Maćka) No, cego jojcys leniwie?.. idź, powiedz Pychale, zeby zwołoł rekrutów... trzeba zaroz nad wiecorkiem wyjechać, bo to spory kawoł do miasta.

Maciek (wstając leniwie).

Nawet w świętą niedzielę człowiek casu nimo, ino charuj, a charuj! (wychodzi)

(Starzy na ławach i stołkach, młodzi stoją w grupach, rozmawiając. Filip bierze z półki rejestra, papiery, pióro, kałamarz, pieczątkę i dzwonek, i to wszystko kładzie na stole, zawdziewa pas z blachą i siada za stołem w środku wprost publiczności. Po bokach stołu siedzą Wściubara i Klóska.)

Wojtek.

Filip sobie akurat kancelaryją zrobili jak jaki notereus, abo miernik.

Wszyscy.

Prowda, ze galanto!

Filip (z zadowoleniem).

Ha no, jak się jest, z przeproseniem, urzędowym, to trzeba honornie wszyćko robić!

Grześ (wbiega wesoło z gazetami i śpiewa).

Dolinecką posła, dolinecką przysła,
Chodziła do skoły, ucyła się pisma.

Wszyscy.

Aha! Grześ! Grześ z gazetami!

Grześ.

Są gazety, są!... bedzie cytacka, jak się patrzy... Idąc z kościoła, zabrołem wszyćkie z pocty... O, patrzcie co tu tego... Rolnik, Zagroda, Włościanin, Zorza, Gazeta Górnośląsko... he! he! całe odwiecerze bedzie co cytać!

Wszyscy (z ciekawością).

Oj, to! to! bośma juz dawno nic nie słyseli z gazyt.

Filip (dzwoni).

Z przeproseniem!... do porządku dziennego!

Grześ.

A jakie ślicne rzecy tu pisą i o gospodarstwie i o skołach, i o wszyćkiem... jo juz bez drogę cytołem!

Wszyscy.

No, dalej, cytaj nom... bośmy okrutecnie ciekawi.

Filip (dzwoni)

Z przeproseniem!... do porządku dziennego! nie teroz... ale potem!

Grześ.

A jakie ładne historyjki tu pisą. (wskazuje Gazetę Górnośląską) Tu jest, ze w jakiś Altonie sześciu zydów musi pościć 40 dni za to, bo widzieli, ze jakiś pięcioksiąg Mojzesa upod na ziemię.

Wszyscy.

Co? co takigo upadło?

Grześ.

No, jużci cielec zydowski... pięcioksiąg.

Wojtek.

A od cegóz bedą pościć, kiedy spyrki nie jodają... cheba od cebuli. (śmieją się)

Katarzyna.

A kaz to się stało?... w mieście?

Grześ.

W Altonie!

Katarzyna.

W jakiej altanie?

Grześ.

Cy jo wiem? pewnie na kucki, bo oni kucki w altanach obchodzą!

Wściubara.

Przecytoj no, przecytoj, a prędzej...

Grześ (rozwijając gazetę).

Zaroz!...

Filip (dzwoni).

Z przeproseniem, (wołając) po kolei! po kolei! (siada z powagą i dzwoni) Do porządku dziennego, to jest: cicho być. (cisza) Tak się nolezy. Najpierw rada! no, jako wójt otwirom (wskazuje ręką naokoło) posiedzenie.

Walek.

A to ci dopiro paradnie wójtuje... kaj on się tak naucył?

Wojtek.

Ha no, bywoł w mieście po róznych urzędach, i sędzią przysięgłym i radcą powiatowym, to ta widzioł...!

Grześ.

Jakto, nie bedziemy cytali?

Filip (dzwoni).

Z przeproseniem, do porządku dziennego.

Wszyscy.

E... co tam! nojpierw cytanie!

Katarzyna.

Tak, cytoj, Grzesiu.. ino od pocątku!
(Filip dzwoni)

Grześ (czyta).

Co słychać w świecie?

Wszyscy.

Słuchojcie! słuchojcie!

Filip (dzwoni gwałtownie, krzycząc).

Cicho! do porządku dziennego! a cóz tyz to za rada! wrzescą jak na jarmaku.

Regina (wchodzi szybko).

Stary, nie widziołeś zwonka, co go ciele miało na syi? (spostrzega dzwonek w ręku Filipa) Aha, jest! (wyrywa mu z rąk).

Filip.

A niechojze, Rejna, bo mi potrzebny do urzędowanio.

Regina.

E! dej mi pokój z twoim urzędowaniem, jo musę ciele wypuścić na ścierniska... Wlezie mi potem ka w krzoki i któz go znojdzie, jak nie bedzie zwoniło?
(wychodzi, śmiech ogólny)

Filip (zmartwiony).

Z przeproseniem... i cóz jo teroz zrobię?...

Grześ.

Cekojcie, jo wom doradzę! (bierze z półki nie wielki garnek, dobywa z kieszeni szpagatu i wiąże za ucho) O! mocie, dyndojcie we środku piecątką, to bedzie akurat dzwonek.

Filip (uderzając pieczątką wewnątrz garnka).

Paradny, z przeproseniem!

Wszyscy.

Ha! ha! ha!

Grześ (śmiejąc się).

Wyglądocie, jak baba wedle nolepy, kiej nimo co gotować! (śpiewa)

Jak kapusty nima w toni,
Baba w pusty gornek dzwoni!

Filip (dzwoniąc).

Do porządku dziennego! (cisza) Z przeproseniem, sanowna rado! Nojpierw momy zatwierdzić obiór Melchjorka Warchołka, pisarza, na opiekuna pozostałych dzieci po ś p. Marku Luboniu, jako tyz pozwoleństwo, azeby wyz rzecony Melchjor Warchołek zarządzoł w zupełności ich majątkiem.

Wojciech.

Pisorz bedzie opiekunem?

Grześ.

A przeciez jest Kaźmierz!

Filip.

Cóz z tego, kiedy, z przeproseniem, niepełnoletni!

Grześ.

E, takigo ta obierać opiekunem, co zyje jak zwierzok... ani w Boga nie wierzy, ani nic.

Wszyscy.

Prowda! prowda!

Wojciech.

Lepiej było obrać Symona.

Filip (dzwoni).

Do porządku dziennego! jo mom głos. Nikogo innego obrać ni mozno, boby nikt nie poradził... tu trzeba, z przeproseniem, uconego... ano jest i cegielnia i kamieniołomy i piece na wopno i las.

Wściubara.

Dyć to przecie gromadzkie.

Wojciech i Klóska (razem).

Tak, gromadzkie fabryki ..

Filip (dzwoni).

Do porządku dziennego! (cisza) Juzcić gromadzkie, ale nieboscyk Marek tem zawiadowali.

Wszyscy.

Prowda! prowda!

Filip.

Więc pisorz, jako, z przeproseniem, ucony, musi się tem zajmować.

Wojciech.

Ha no, pewnie!

Wściubara i Klóska (razem).

No, to podpisujmy.

Filip (dzwoni).

Do porządku dziennego, podpisujcie, kiedy jo kozę. (do Klóski, wskazując miejsce na papierze) Tutok! ..,

(Klóska podpisuje, idzie do kominka na piec i zapala drzazgę)

Wściubara (podpisuje).

Bartek Wściubara, radny m. p.

Filip (podpisując, mówi machinalnie).

Z przeproseniem, Filip Okrąglok jako wójt!... A teroz piecęć! (bierze pieczęć i papier ogląda, coby podłożyć pod papier) Na cemby tu?

Grześ.

Cekojcie, podłożę trok sukmany, to się lepiej odbije. (podkłada koniec sukmany pod papier, Filip przybija pieczątkę)

SCENA III.

Regina — Maciek — Filip — Wściubara — Klóska — Wojciech — Cecylja — Katarzyna — Salka — Marysia — Małgosia — Grześ — kilku parobków — Szymon.

Szymon (wchodząc).

Niech bedzie pochwolony Jezus Chrystus.

Wszyscy.

Na wieki wieków!

Filip.

Witojcie, Symonie.

Cecylja (na stronie).

Potrzebny tu jak dziura w moście.

Grześ (szuka stołka).

Dejciez stołka lo nasego starego dziadunia. (podaje stołek) Siadojcie, Symonie.

Szymon.

Bóg zapłać! (siada na stołku)

Grześ.

Ale co wom to, Symonku? cyście nie chorzy, ze tak biedniutko wyglądocie?

Szymon.

To i lepiej. Moze się tyz Pon Jezus zmiłuje i zabierze mnie z tego świata.

Wszyscy.

Dziaduniu! co wy godocie!

Cecylja (z przekąsem).

Drugich to umiecie kurować, a siebie to nie?

Szymon.

A kaz się znojdą leki na złość niedobrego cłowieka?

Grześ.

Pewnie wom Dominek znowu dokuco?

Szymon.

A on ci, on! ten zbójca, com go na włosnych rękach wypiastowoł, wychuchoł, teroz kąso, gadzina. O, mój Boze! co jo pocnę niescęśliwy!

Cecylja.

A to mu trzeba oddać, co mu się patrzy, wyganiocie go z chałupy jak obcego, to cóz mo robić?

Filip.

Ha no! insej rady nima, ino mu juz dejcie to gospodarstwo.

Szymon.

Nigdy w zyciu! a wololbym umrzeć! dyć jobym tam na drugim swiecie nie śmioł stanąć przed moją nieboscką, którą on do grobu wpędził, jakbym to ucynił.

Cecylja (na stronie).

Faryzeus!

Filip.

I cóz tu robić?

Grześ.

A od cegóz Pyrchała, policyjant wsiowy? Posłać go z kilku chłopami, związać takigo wisieloka i odesłać do kryminołu.

Parobcy.

Chodź, Grzesiu! my się wnetki z nim uwiniema.

Szymon.

Nie! nie! jo nie chce.

Filip.

Dejciez pokój, chłopoki, tak ni mozna, pierwej trzeba skarzyć do sądu.

Wściubara.

E! ktoby ta skarzył, kiej to moc pieniędzy kostuje... a potem się zawdy tak

końcy, ze sąd obu tych, co się skarzą, pakuje do kozy.

Szymon.

Oj, brakło nom Marka! brakło!.. Nimo mnie juz kto bronić od tego zbójcy.

Filip.

Oho! z przeproseniem, to prowda!... on zawse umioł tak jakoś wszyćko pogodzić, ze nigdy w nasej wsi nie było ani procesów, ani bijatyk, ani nic.

Szymon.

To był nas janiół! nas dobrocyńca!... kuzdego poratowoł, pociesył, doradził... pozałowoł!

Katarzyna.

I tak marnie robocek zginął.

Wszyscy (smutnie).

Ale! ale!

Wściubara.

Kto ta wie, cy zginął, cy nie!

Filip.

A no juzci zginął, kiedy nie zyje... Juz wcora tydzień minął, jak posed wiecorkiem do Osikowa, a przechodząc bez „Cartowską Ławę“ spod ze skały i zabił się.

Wściubara.

No, a kaz się podzioł, kiedy go nie znaleziono?

Filip.

Bóg ze ta wie! moze go woda zabrała, bo na drugi dzień pod skałami koło rzeki ino książki i gazety znaleziono, co je odnosił do dwora, a onego ani śladu... Pewnie popłynął z wodą do piecary pod górę...

Katarzyna.

Lotego tyz jest upiorem, ze nie lezy w poświęconej ziemi.

Wszyscy.

Raju, upiór!...

Szymon (zgorszony).

Miejze rozum, kobieto, nie obrozoj Pana Boga takiem godaniem.

Katarzyna.

Co prowda, to nie grzych, a jo go sama widziała jako upiora.

Wszyscy.

Matko święta!

Grześ.

A jakze wyglądoł?

Katarzyna.

Otóz słuchojcie... onej nocy, jak wiecie, rwałyśmy z dziewuchami konopie u Tekli Wojciechowej koło Łopatówki... Juz dobrze było po północku, zanim my skończyły, lotegom tyz ostała hań wedle jamnikowej skały... niedaleko „Cartowskiej Ławy.“

Wszyscy.

O! rany! koło Cartowskiej!

Wojciech.

Jobym ta za nic w świecie nie posed.

Katarzyna.

Jaz tu naroz słysę, ze ktoś leci od nasej wsi, jak zeby uciekoł, przykucnęłam w krzokach i patrzę, a to Marek pędzi jak wicher z gołą głową... włosy pomierzwione...

Wszyscy (ciekawie).

I co? i co?

Katarzyna.

Juz miałam zawołać na niego, ale mię taki jakiś strach porwoł, ze mi oddech w dołku zaparło... a on ino załomoł ręce nad głową i zniknął między skałami.

Filip.

Pewnie pokutuje tam, kaj zginął.

Cecylja.

Abo pilnuje swoich pieniędzy, bo je kaś tam schowoł, ze ich teroz nijak znaleźć ni mozna.

Szymon.

To nie prowda, tobie się chyba zdawało. Siedziałaś nocą w pustem miejscu, nabiłaś sobie głowę strachami, a teroz godos nie do rzecy... Marek! ten święty cłowiek, to nie prowda...

Katarzyna.

A jo wom zaś powiadom, ze jest upiorem. Nojpierw, zem go sama widziała, a potem bez cózby Kaźmierz tak wyglądoł, jak zeby z tamtego świata powrócił... jeno ze go ociec nocami męcy...

Wściubara.

Co? nieboscyk pokazuje się Kaźmierzowi?

Katarzyna.

A pewnie! chocioz on o tem nie wie, bo go ino bez sen widuje. Przecie sie podobno po nocach zrywo, krzyczy, płace,

a jak go się pytać, co mu jest, to nic nie godo, bo nic nie wie.

Szymon.

Turbuje się sirotka za ojcem! i lotego płace.

Katarzyna.

Juz mnie wierzcie, jak jo wom powiadom, ze Marek pokutuje, to pokutuje.

Filip.

Ha! wszyćko to być moze... zesed nogle z tego świata, i pewnie z jakim ciężkim grzychem.

Cecylja.

A kto wie, cy to nie on zabroł mi wtedy pieniądze z komory i bez to pokutuje.

Wszyscy (oburzeni).

Co wy tyz wygadujecie!

Szymon.

Kobieto bez serca! mos ze ty sumienie tego cłowieka tak krzywdzić?

Cecylja.

O, kuzdy święty mo swoje wykręty... Uchodził za dobrego, bo mu nikt nic nie

dowiódł; przecie były kradzieze we wsi, a nigdy ich nie wykryto... Sam ziandar powiado... ze to jakiś mądry złodziej kradnie!... a któż był mądrzejsy od Marka? i kto się we wszyćko wrozoł, jak nie on?...

Kilku (ponuro).

Ha no! Bóg to wie...

Szymon (składając ręce z oczami w niebo).

Boze miłosierny, przeboc, bo nie wiedzą, co cynią. (do gromady uroczyście tonem kaznodziei, ale bardzo wzruszony) Pomiarkujciez się, ludzie!... jakzez wy śmiecie posądzać umarłego? nie boiciez się kary Pana Boga?... Religijo ucy, ze za umarłych ino modlić się trzeba, a nie zniewozać prochów, bo one ino do Boga nolezą.

Cecylja (na stronie).

Brakło jednego — jest drugi z kozaniami.

Szymon (uderzając się ręką w piersi, drżącym głosem uroczyście, jakby głosił słowa przysięgi).

Znołem Marka od dziecka, jak moją włosną dusę, i wiem, co to był za cłowiek. (rozczulony — z pewnym wyrzutem do obecnych) On, który lo nos poświęcił wszyćko... całą swoją młodość i naukę... wyrzekł się pań-

skiego stanu na to ino, aby nos prostocków jako swoich braci oświecoł, pociesoł, bronił od złego i wyrwoł z ciemnoty, (z płaczem) a wy go za to zniewozocie... O! (ze zgrozą) jezdeście cartu zaprzedani!

(mała przerwa — wszyscy rozczuleni ze spuszczonemi głowami obcierają oczy)

SCENA IV.

Ciż — Kazimierz — Pisarz.

(Kazimierz, blady, zmieniony, postać cała nerwowa, niespokojna, ale sympatyczna. Pisarz całą uwagę ma zwróconą na Kazimierza, aby się z czem nie wyrwał przed obcymi.)

Szymon (wyciągając ręce ku wchodzącemu Kazimierzowi).

Kazimirku, dziecię moje! biedny siroto, chodź, broń pamięci swojego ojca.

Kazimierz (jakby z letargu obudzony).

Mojego ojca!

Szymon (biorąc go w objęcia).

Broń go, broń! bo moje ręce juz za stare, azeby wyrwać język bluźniercy.

Pisarz (na stronie).

Zostaje mi jeszcze ten pniak spróchniały.

Kazimierz (całując Szymona).

Co? co takiego?

Szymon (uspakajając się).

Ale prowda, i ty nic nie potrafis... tyś som biedny i niescęśliwy!

Kazimierz (kryjąc twarz w dłoniach — z boleścią).

O! bardzo! bardzo!

Pisarz (na stronie).

Jak się rozmazgai... gotów wszystko powiedzieć.

Szymon.

I ty nie przekonos tych ludzi z kamienia, ze twój ojciec nie był złodziejem.

Kazimierz (jakby prądem elektrycznym uderzony gwałtownie).

Mój ojciec? Kto to powiedzioł?... kto?...

Wszyscy (zawstydzeni).

No! przecie my nie!... tylko... (spoglądają na Cecylję)

Cecylja (do Kazimierza i Szymona nie bardzo zuchwale, aby nie wpaść w przesadę).

I cóz myślicie? ze wos się boje?...

Kazimierz (płacząc).

O, mój tatulu! drogi mój tatulu!... (groźnie) To nieprowda! słysycie... to nieprowda!

Cecylja.

A kto dowiedzie, ze wtedy wiecór...

Kazimierz.

Jo! jo som!

Wszyscy (zdumieni).

Ty?

Cecylja.

Cekom! cekom! bardzom ciekawo.

Pisarz (cicho do Cecylji).

Cicho bądźcie! ani słowa więcej!

Cecylja (zdumiona),

Co?...

Filip (do Kazimierza),

Więc ty wies, co się z ojcem zrobiło?

Kazimierz (z postanowieniem).

A niech się stanie, co chce!...

Pisarz (cicho).

Szalony! czy chcesz koniecznie wisieć?

Kazimierz.

(który się silił na odwagę do wyznania, nagle w największym strachu opuszcza głowę na piersi, cicho z rozpaczą).

O, Boze mój! Boze!

Wszyscy.

No, więc powiedz, powiedz co wies...

Pisarz (szybko).

A cóż ma więcej wiedzieć od was?... Przecież wtenczas był zamknięty na strychu... dopiero na drugi dzień dowiedział się tak, jak i wy wszyscy, że ojciec jego spadł ze skały i zabił się...

Filip.

Ale bo Wojciechowo...

Pisarz.

Wojciechowa sama nie wie, co gada.

Cecylja (nie pojmując pisarza, zdumiona, nie wie co powiedzieć).

No... juzci... a skądzebym mogła... cy jo tyz to wiem...

Katarzyna (cicho do całej gromady, wskazując Kazimierza, który stoi zrozpaczony).

A... widzicie, nie prowdem godała?... O! przypatrzcie się Kazimierzowi, wygląda jak osalały, a to bez to, ze nieboscyk jest upiorem...(wszyscy kiwają głowami w zdumieniu)

Szymon (widząc boleść Kazimierza — do gromady z uczuciem).

Dajmy pokój tym rozmowom, nie przywodźma na pamięć sierocie jego nieszczęścia... jak zapomni, to przestanie cierpieć...

Kazimierz (na stronie).

Zapomnieć! zapomnieć!... zeby to mozno zapomnieć!...

SCENA V.

Ciż — Regina.

Regina (wchodzi szybko).

Bójcie się Boga, Symonie, — a idźciez prędko, bo wos tam sukają... Franek od Chręsca spodł z konia i nogę se połomoł.

Wszyscy.

A to niescęście!

Szymon (zrywając się).

Biegnę, biegnę! — w tej chwili. (bierze kapelusz z westchnieniem) Widocnie Pan Bóg nos zacyno doświadcać, bo coroz więcej przybywo niescęśliwych... (wychodzi szybko)

Grześ (patrząc za nim).

Pocciwy starusek... jak ino kto zachoruje, to leci nieroz nawet i porę mil ode wsi, zeby go kurować!... (do parobków) Ale chodźma, chłopcy, ku karcmie, bo tam są rekruci. Hulają nieboroki na ostatek, zanim powandrują het!... daleko!... za światy

Wszyscy.

Chodźma! chodźma!

Filip.

Ano, pudę i jo z wami, bo jakby się to, z przeproseniem, biedastwo zabałamuciło, to i rady nie dać, zeby dziś odjechali. (wszyscy odchodzą, Filip na ostatku)

Pisarz (zastępując mu drogę).

Filipie, a cóż z tem podaniem o dekret?

Filip.

Niby o to opiekuństwo?

Pisarz.

Tak jest! czy gotowe?

Filip.

A ino... (pokazuje papier) Oddom go jutro. z przeproseniem, do sądu!

Pisarz (bierze papier).

Już ja to sam załatwię.

Filip.

A no, dobrze, z przeproseniem.

Pisarz.

Wy patrzcie swoich rekrutów.

Filip (urażony).

E! co mi ta bedzies godoł, cego jo mom patrzyć, kiej jezdem, z przeproseniem, urzędowy, to musę nojlepiej wiedzieć. (wychodzi)

SCENA VI.

Pisarz — Kazimierz.

Pisarz (z radością potrząsając papierem).

Ha! nareszcie! teraz wszystko jest w mojem ręku! (zatrzymuje się na widok Kazimierza, który stoi odrętwiały) Żeby tylko ten mazgaj nie wypaplał całej prawdy. (podchodząc do Kazimierza, uderza go po ramieniu, surowo) Słuchaj no! co ty wyrabiasz? czyś zwarjował?

Kazimierz (budząc się z odrętwienia).

Co takiego?

Pisarz (zły).

On się jeszcze pyta! Powtarzam ci po raz ostatni, że jeżeli się nie uspokoisz i nie przestaniesz raz z temi głupstwami, to rób sobie potem, co ci się podoba, gnij w kryminale, kiedy tak chcesz koniecznie, bo ja do niczego więcej mieszać się nie będę.

Kazimierz (bezsilny).

Cłowieku! cegóż ty chces odemnie?

Pisarz.

Żebyś miał rozum, głupcze, i nie gadał czego nie potrzeba. (zły) Łazi po wsi jak mara, płacze, stęka, zawodzi, jakby to co pomogło. Co się stało, to się już nie odstanie. Już zapóźno, mój kochany! nie trzeba było rzucać się na ojca, a teraz...

Kazimierz.

O, to nie naumyślnie! nie naumyślnie! jo nie chciołem!

Pisarz (szyderczo, strasząc go).

Ha! ha! idź powiedz to sędziom! idź! myślisz, że ci uwierzą? Idź... idź... powiedz wszystko, a zobaczysz, dokąd cię to zaprowadzi! (udając obojętnego) Kiedy chcesz koniecznie kryminału, szubienicy, to gadaj, gadaj przed wszystkimi.

Kazimierz.

O, jo niescęśliwy, jo niescęśliwy!

Pisarz (oglądając się niespokojnie, do siebie).

A niech cię szatan porwie, przeklęty chamie! ani rusz z nim trafić do ładu... trzebaby z innej beczki. (głośno, łagodnie pod-

chodząc do niego) No, no, uspokój się, przecież nikt o tem nie wie, bo wszyscy myślą, że spadł z Czartowskiej Ławy i zabił się.

Kazimierz.

Ale gdzie się podzioł? gdzie się podzioł? Wyście mi go z Dominem porwali, zabraliście mojego tatula! (z rozpaczą chwyta go za piersi) Powiedz! powiedz! gdzieście go podzieli?

Pisarz (przestraszony).

Ciszej! do pioruna, nie krzycz tak. Mówię ci przecież, że położyliśmy go na brzegu rzeki pod urwiskiem skały tak, jakeśmy się umówili.

Kazimierz.

To nieprowda! nieprowda! wyście co innego musieli z nim zrobić, bo go tam nie znaleziono! O mój Boze! mój Boze!

Pisarz.

Ja sam tego nie rozumiem, gdzie on się podział, ale nic innego być nie może, tylko zsunął się po spadzistym brzegu i z wodą popłynął.

Kazimierz.

I jo nawet nie wiem, gdzie jest grób mojego tatula.

Pisarz.

No, no, miej rozum! uspokój się! (chytrze) Ja wiem, że to nie twoja wina, ale przed sędziami bez dowodów niewinności nikt się nie usprawiedliwi. A cóżby się potem stało z twoim małym braciszkiem, jakby sam pozostał na świecie?

Kazimierz.

Prowda! prowda! biedny Józio! oprócz mnie, nikt mu nie pozostaje.

Pisarz.

A widzisz! Tylko pamiętaj, żebyś się nie zdradził, żebyś nie pisnął ani jednego słówka. Wystrzegaj się wszystkich a najbardziej tego starego Szymona. W ten tylko sposób można naprawić to złe, co się stało! (z udaną pobożnością) A i Pan Bóg i nieboszczyk ojciec przebaczą ci tam w górze, bo wiedzą, że jesteś niewinny.

Kazimierz (z radością składając ręce jak do modlitwy).

Przebocą! przebocą! o, mój Boze! Jo juz tak będę kochoł mojego braciska, wszyćkich ludzi tak będę sanowoł, a moze się tyz Pon Jezus zmiłuje i przebocy.

Pisarz.

Ale naturalnie, naturalnie! No, a teraz idź do domu, bo tu niedługo cała gromada przyjdzie z rekrutami. Lepiej schodzić im z oczu, żeby cię próżno nie pytano, boś gotów zmalować głupstwo.

Kazimierz.

O, Bóg ci zapłać! Bóg zapłać! za twoje rady. Zeby nie ty, to juz nie wiem, cobym som pocął na tym świecie. (wychodzi)

SCENA VII.

Pisarz — potem *Domin.*

Pisarz (odprowadziwszy go, wraca).

A niech cię djabli porwą! ty bekso przeklęty! (ociera chustką czoło) Ażem się spocił! (kiwając głową) Otóż to mieć do czynienia z chamami! taka to jeszcze ciemnota, że ani rusz zrozumieć jakie rozsądne słowo, tylko zaraz kazanie gadaj! (z pogardą) Ach! bydło! (po chwili) — śmiejąc się) Małom się sam nie rozbeczał, prawiąc mu te brednie o miłosierdziu, o przebaczeniu! nie wiem nawet, skąd mi to do głowy przyszło, ale to jedyny sposób, ażeby zyskać zaufanie tej hołoty, a potem robić, co mi się podoba.

(po chwili) Świetny interes! znakomity! obszerne gospodarstwo, cegielnia, kamieniołomy, wyrąb lasu, to wszystko ja obejmę. ja! w przeciągu roku! majątek! a potem... Ha! czekajcie wy wszyscy, coście mną popychali, gardzili mojem pochodzeniem! poznacie wy mnie! (przechadza się) Moja szczęśliwa gwiazda zajaśniała właśnie w tej chwili, gdym się uważał za straconego. Chciałeś mnie zgubić, przeklęty mędrku, a tymczasem ty sam przepadłeś, jak kamień w wodzie. (po chwili) Jednak to dziwne, gdzie on się mógł podziać? Przez tak długi czas, nim zdołałem namówić tego mazgaja, ażeby się zgodził zanieść trupa pod urwisko skały, nie dał ani jednego znaku życia, a więc nie był zemdlony. (żywo do Domina, który wchodzi) No i cóż? co?

Domin (trzęsąc się i dzwoniąc zębami).

A niech to siarcyste! zmorzłem jak niebozo stwora! brrr! trzęsę się, jak osika.

Pisarz.

I nigdzie żadnego śladu?

Domin.

Ani dudu, calusieńką rzekę splądrowołem, nima nic. (pokazując kilka raków w chustce kolo-

rowej) Dobrze, zem chocioz porę raków w korzeniach dopod.

Pisarz.

Raków! a to na co?

Domin.

A no, jakześ ty chcioł? Przeciez ludziom nie mogłem pedzieć, ze Marka sukom, ino udołem, zem posed na raki.

Pisarz (zachwycony).

Bardzo sprytnie!

Domin.

Ehę, sprytnie! w taką zimnicę po usy w wodzie, brrr... małom ze skóry nie wyskocył.

Pisarz.

Ale czyś tylko dobrze przepatrzył?

Domin.

I jak jesce! Zrzuciłem chaderę ze siebie i buch do wody, a chocioz zimno było, jak zeby mnie kto krajoł, nie pytom nic, ino hulom po rzece od kamienia do kamienia, od dziury do dziury, macom to nogami, to rękami, a ludzie się śmieją, bo myśleli, zem zwarjowoł.

Pisarz (niespokojnie).

Czy się tylko czego nie domyślą?

Domin.

Ale skąd? Abo jo taki głupi? Pytają mi się: a cegoz ty sukos? a jo im powiadom: a no raków lo jednego pana łakomego na takie specyjoły, który mi dał piątkę, zebym mu ich nałapoł, bo się chce dowiedzieć, ka raki zimują.

Pisarz (do publiczności).

Takich mi więcej dajcie! a zobaczycie, co potrafię! to jest prawdziwa oświata! (uderza go po ramieniu) Zuch z ciebie!

Domin (z dumą).

A widzis! a zawse godos, ze ino kaś tam, za jakąś granicą, są ludzie jak się patrzy, a u nos to głupie bydło.

Pisarz.

No, no, przyjdzie czas i na was (filozoficznie) Rozum musi być górą, a ciemnota na dół. Więc nigdzie najmniejszego śladu?

Domin.

No, przecie ci godom. Przesedem rzekę az do jamy, ka woda wpodo pod górę i dobrze, zem się uchwycił korzenia od

olsynki, boby mię było porwało. Tak tam woda drze, jak zeby masyną, a hucy jak w piekle. No, kiej tam nieboscyka wzieno, to się i na sąd Boski stamtąd nie wydobędzie.

Pisarz.

Mniejsza o niego! to tylko dobrze, że gazety i książki przy nim znaleziono, któreśmy podrzucili. One właśnie stanowią pozór, że spadł, idąc do dworu, a że ciała niema, to i lepiej, bo się unikło śledztwa.

Domin.

No tak, ale jak mioł przy sobie pieniądze, to skoda.

Pisarz.

Wątpię, żeby je przy sobie nosił; chyba je gdzieś schował.

Domin.

A niechby go siarcyste! chować tak, ze ich teroz ni mozna znaleźć. A podobno kupę mioł grosiwa.

Pisarz.

O gotówce nie wiem, ale listów zastawnych i obligacji miał mieć za kilka tysięcy.

Domin.

Kilka tysięcy? a bodaj go siarcyste! oj! dopaść, dopaść tyla pieniędzy, ale jak?

Pisarz.

Żeby nawet pod ziemią były, to je wynajdę! bądź spokojny, w tem już moja głowa.

Domin.

O! ze głowę mos siarcystą, to siarcystą.

Pisarz (z chlubą).

Nieprawdaż? W kilku dniach potrafiłem sobie skaptować całą wieś tak, że dziś w ogień, w wodę za mnąby skoczyli wszyscy.

Domin.

Ehę! wszyscy! ale nie mój stary.

Pisarz (zły).

Ach! prawda! ten grzyb zbutwiały!

Domin.

Bodaj go siarcyste! jak się rozgniwom, to go tak samo urządzę, jak Kaźmierz swojego.

Pisarz.

Ha! żeby to można! Ale cierpliwości! i na niego znajdziemy sposób. Tymczasem

nie drażnij go, przestań mu dokuczać i zgadzaj się na wszystko, a to dlatego, żeby go uśpić, uspokoić; inaczej będzie mi przeszkadzał.

Domin.

No tak! ale jo musę juz roz koniec zrobić temu wszyćkiemu i ozenić się z Teklą; jak Stacha zbraknie, to za mnie pudzie.

Pisarz.

Wszystko można zrobić, tylko nie nagle.

Domin.

Nie nogle, nie nogle, a kaz bede siedzioł, kiej mie stary z chałupy wygonił?

Pisarz.

Wypuszczę ci młyn w dzierżawę.

Domin.

Jaki młyn?

Pisarz.

No, ten po Wicku!

Domin.

Po Wicku? a zeby cie siarcyste! jakze ty to zrobis?

Pisarz.

Przeciez jestem administratorem majątku Marka, a młyn i całe gospodarstwo do niego należy. Ja zaś nie będę taki głupi jak nieboszczyk, który im to wszystko zostawił, jakby ich własne było. Nauczę ja to żebractwo, jak się ma ze mną obchodzić. Stacha już się pozbyłem; ani się spodziewał, jak mu łeb ogolili.

Domin.

Nikomu to w głowie pomieścić się nie moze, locego go capnęli do wojska, on som myśli, ze to ino pomyłka i ze go przy siuperrewizie wypuscą.

Pisarz.

Ho! ho! dużo wody upłynie, nim się napowrót do wsi dostanie.

Domin (śmiejąc się).

Nie bedzie cię juz mioł kto kijem okładać, jak wtedy, coś się to zakrod nocą do młyna, a Zośka narobiła krzyku.

Pisarz (zły).

Pokażę ja teraz tej dumnej dziewce co znaczę!

Domin.

Ciekawy jezdem, co ona zrobi, jak ją razem z matką ze młyna wyrzucis.

Pisarz.

Starą niech czart porywa! a dziewka... (ze znaczącym uśmiechem) przyjdzie do mnie na służbę.

Domin.

Ha! ha! ha! rozumiem! (patrzy w okno) Oho! rekruty nadchodzą (zrywa się i biegnie ku drzwiom) A bodaj cię siarcyste! cekoj, dom jo tobie!

Pisarz.

Co takiego? co się stało?

Domin.

A no, Stach Teklę za rękę prowadzi.

Pisarz.

Więc cóż z tego?

Domin.

Jakto, co? idę go wyłomotać, dom jo mu bałamucić dziewkę, z którą się bedę zenił.

Pisarz.

Wielkie rzeczy, niech się tam wybeczą jedno nad drugiem, co to komu szkodzi?

Domin.

Jakto, co skodzi?

Pisarz.

No, chodź! chodź; nie trzeba, żeby nas tu widziano razem.

Domin.

Ale...

Pisarz.

No, rusz że się, chamie!

Domin.

E! do stu djobłów! nie wyciroj se mną zębów, bo.. (idzie ku drzwiom)

Pisarz (bierze go za ramię i pociąga ku bocznym drzwiom).

Nie tędy, bałwanie! przez moją izbę, bydlaku!

Domin.

No, tak to co innego, w zartach wszyćko przyjmę, ale...

(wychodzą na prawo, — głos niknie za kulisami)

SCENA VIII.

Staś — Tekla.

(Staś wchodzi z zawiniątkiem na plecach, które kładzie w głębi sceny, za nim Tekla z zapaską przy oczach, płacząc.)

Staś.

Nima jesce nikogo?

Tekla (z wyrzutem).

Widzis, a tak prędziutko zegnałeś się z nami, jak zeby ci spiesno było porzucić nos jak nojprędzej.

Staś.

Bo mi sie okrutecnie serce ścisko patrzeć, jak matula płace i zawodzi, lotego, kiedy juz inacej być ni moze, chciołbym jak nojprędzej wyrwać się stąd i odjechać, a moze mi się ulzy, jak nie będę widzioł tego wszyćkiego.

Tekla.

Chces uciekać i zapomnieć o nos!

Staś.

O nie, Tekluniu, nie zapomnieć... ale widzis, to tak ciężko porzucać to wszyćko, co się całą dusą kocho. Matkę staruskę, siostrzyckę sirotę, te skały i lasy, nawet

ten turkot mojego młyna, co tak zawse ze mną rozmowioł swojem klekotaniem. O! porzucić to wszyćko i pójść prec za światy między obcych ludzi. O Boze! mój Boze!

Tekla (z żalem).

Wszyćkiego ci zol, o nicem nie zapominos, ino o mnie, o mnie, niebodze.

Staś.

O tobie miołbym zapomnieć! o tobie!

(bierze ją w objęcia, całuje, tuląc do siebie przez chwilę; Tekla wybucha płaczem, on prowadzi ją do ławki, sadza i siada obok niej) No, nie płac, nie płac, Tekluniu, nie odbieroj mi reśty rozumu, bom sobie gotów co złego zrobić.

Tekla (żywo).

O, nie mów tego, Stasiu, bo to grzych śmiertelny.

Staś.

Bo juz do krzty nie wiem, co się w mojej biednej głowie dzieje, tyle nieszczęścia naroz! Ślicny mój Jezu, dodej mi siły wytrzymać to wszyćko.

Tekla.

No, nie rozpocoj, Stasiecku kochany. Bądź wola Twoja, ucy nos paciorek; widać, ze to juz taki dopust Bozy.

Staś.

Znikąd pociechy! znikąd zmiłowania, Jedynego opiekuna i dobrocyńcę, nasego chrzestnego ojca Bóg zabroł do siebie i teroz nima juz komu ująć się za sirotami... bronić ich od niescęścia.

Tekla.

O, gdyby on zył, byłby nie pozwolił tym złym ludziom zabrać cię od starej matuli.

Staś.

Jo nawet nie wiem, kto temu jest winien i jak się to stało. Przyśli kiedyś ziandarmi, porwali mię, okuli i odstawili do miasta jako zbiega, a chociozem tam prosiół, płakoł, nic nie pomogło... kazali mi przysiądz i zostać zołnierzem. Tyle ino wyprosić mogłem, ze mnie puścili na porę dni pozegnać się z wami. Bóg widzi, ze chociaz mi ciężko opuścić nasą chatkę, to nase gniazdecko kochane, alebym chętnie posed słuzyć, boć i we wojsku ludzi potrzeba; lec tak zostawić siostrę i matkę, tę biedną staruskę bez opieki, bez podpory!... o Boze! tego zodno moc człowieco nie wytrzymo!

Tekla

Bez opieki? bez podpory? a jo, mój Stasiu?

Staś.

Ty, mój robocku! i cóz ty poradzis słabo, biedno dziewcyna? ty sama potrzebujes opieki i obrony przed złą macochą i przed Dominem, który się gwołtem chce z tobą zenić. Jesce, jak mnie braknie, gotowi cię zmusić, zebyś za niego posła.

Tekla.

Nigdy w zyciu! bo ino ciebie jednego kochom. Kiedy cię widzę przy sobie, to mi tak raźno, wesoło, tak mi się piękny ten świat wydaje, wszyscy ludzie zdają mi się tacy dobrzy, ze mię nawet zol do macochy odchodzi, chocioz mnie i tatusiowi tyle złego zawdy robi.

Staś.

I jo tyz w mym zyciu nigdy do nikogo załości nie cułem. Dopiero, jakem zobocył, ze Domin do ciebie dziewosłębuje, to nie wiem, co się ze mną stało, ale tu w piersiach tak jakoś okrutnie mnie zabolało, tak dziwnie i straśnie, jak zeby co pękło, i dzisiaj cuję, zebym potrafił zabić takiego, coby mi śmioł odebrać twoje kochanie.

Tekla (kładzie mu ręce na ramionach).

Jakiś ty niedobry! godzi się tez to myśleć o takich rzecach, kiedy moje serdusko tak stałe dla ciebie, jak to słonecko, co świeci wysoko i nigdy nie gaśnie. Ale ty pójdzies w świat między tyla ludzi i zapomnis o twojej Tekluni, jak jej nie bedzies tak długi cas widzioł.

Staś (obejmuje ją za szyję i wpatruje się w jej twarz pieszczotliwie).

Jo miołbym zapomnieć o tobie, o twoich ocętach niebieskich, twoich ślicnych, jasnych włoskach i tem serdusku, tak dobrem jak u janioła? O, nigdy! nigdy! póki zycia mojego! Caluśki twój obraz w sercu swojem nosę, a chociaz nie patrzę na ciebie, to cię widzę moją dusą i kuzdy bławotek, kazdziuśka gwiozdecka, kuzda odrobina nieba, przypomina mi twoje modre ocy i zdaje mi się, ze cię zawdy widzę przed sobą.

Tekla.

O, Stasiu! mój drogi! jo rano i wiecór mówić będę pocierz do Pana Jezusa o scęśliwy powrót, a on mnie wysłucho.

Staś.

Kiedy to bedzie! kiedy... o, mój Boze!

Tekla (z nadzieją).

Prędziutko przeleci te pore lotek, a tymcasem tylko o tobie bedę myślała. (zawiesza się na jego szyi miłośnie) Z ptoskami razem bedę rozmowiała o moim Stasiu, a one polecą daleko.., daleko... tam, gdzie ty bedzies, by ci opowiadać swojem świergotaniem, jak jo ciebie kochom.

Staś.

O, ty moja najdrozsa ptasyno! (chwila uścisku w zachwycie) Jakiz jo scęśliwy! Chciołbym, azeby teroz zycie się skończyło, a dusycki nase tak ze sobą były do nieskończości...

Tekla.

Luby gołąbecku, jakze pięknie bujos! (jeszcze jeden uścisk) Pamiętos, Stasiu, tę historyjkę, cośmy to cytali o jednym zołnierzu, który był na wojnie, a kule nic mu zrobić nie mogły, bo nosił medalik z Matką Boską (zdejmuje ze szyi medalik i zawiesza mu na piersiach) Oto mos ostatnią pamiątkę po mojej matuli; tobie oddaje, noś ją, mój Stasiu, ciągle na piersiach, a ta Matka Boska z Jasnej Góry uchroni cię od wszystkiego złego.

Staś.

Niech ci Bóg nagrodzi, złotko ty moje!

SCENA IX.

Staś — Tekla — Filip — Wściubara — Klóska — Katarzyna — Grześ — Parobcy — Dziewczęta — Rekruci — Muzykanci — potem *Regina.*

Filip (wchodząc).

Oho, z przeproseniem, Stach juz ceko, bedzie z niego dobry zołnierz, bo jest... jakze się to nazywo... aha, z przeproseniem, punktualny!

(wszyscy weszli, Grześ ostatni z muzykantami)

Grześ (bardzo wesoły — śpiewa).

Ojcowie z matkami
Pozostaną sami,
A my powandrujem
Pod karabinami, hu! ha!

Filip.

A Grześ zawse, z przeproseniem, wesoły.

Grześ.

To sie wie, jak to powiadają: Goły ale wesoły, głupi ale zdrów. A cegóz mom się smucić? Jezdem sobie cysarski zołnierz,

a do tego ułon. Jak się ubierę w taki ślicny kabot z kutosami na plecach, w cerwoną copkę, a na konia siędę, to bedę wyglądoł kieby malowanie, wszyćkie dziewuchy bedą za mną saleć i niejedna zaśpiwo (śpiewa):

Jedzie ułon, jedzie, jedzie,
Cemuz do mnie nie przyjedzie?
U mnie owies, u mnie siano,
Gorzolina przepolano!

Regina (wchodząc).

Stary, cy juz zaprzągać? bo konie gotowe.

Filip.

Zaprzągoj! zaprzągoj! ino się ubierę, to zaroz jedziema. (wychodzi na lewo — Regina głębią)

Grześ.

No, chłopoki, cegozeście tak nosy pospuscali, jak zeby wom kto na rzepie nać spolił? Co mi to za zołnierze, co wyglądają jak kury zmocone!

Michał.

Dobrze ci godać, ześ som na świecie i wszyćko ci jedno, ka się obrócis.

Grześ.

Aha! a ty musis zostawić swoją Hanusię! no, to nie bądź głupi i nie kochoj się, bo to djobła worte. Kuzdy zakochany to wygląda jak baran, kiedy się od trzody oderwie i na skałach zabłąko, becy i becy, patrząc w jedno miejsce, a do obory ani rus trafić!

Katarzyna.

No, a ty jezdeś jak kozieł, co ino do cudzej skody włazi i paskuduje.

Grześ (śmiejąc się).

No, no, bądź spokojno, nie bój się... juz jo ta twojej kapusty objodać nie bedę.

Katarzyna (z dobrocią).

Oj, ty zbereźniku! chocioześ taki dokucliwy, ale zawdy skoda, ze cię wzieni do wojska, bo nos nie bedzie mioł kto rozweselać swojemi śpiewkami.

Grześ.

Śpiewać darmo, boli gardło. Śpiewołem nieroz jak słowik, wszyćko naprózno, com się ino chcioł do której pozalecać, to fyrt, ucieko. Zebym tak był potrząsnął śrebnistemi pieniądzmi, to ha!... zarozby

była niejedno, ale na śpiewkę zadno się nie do wziąć. (śpiewa)

Zebym jo mioł śtyry ceskie,
Kupiłbym se dziewce łebskie,
Ale nimom ni seląga,
(zerkając złośliwie na Katarzynę)
Musę pojąć lada drąga!

SCENA X.

Ciż — Zosia — Szymon — później *Pisarz — Filip* i *Regina.*

Szymon (wchodząc).

Pochwolony Jezus Chrystus!

Wszyscy.

Na wieki! witojcie, dziaduniu!

Zosia (biegnie do Stasia).

O, mój bracisku kochany!

Staś.

Zosiu, jakześ ty mogła odejść chorej matuli?

Zosia (z płaczem).

Matula ci przezemnie przysyła ostatnie pozdrowienie. (rzuca mu się na szyję) Biedny! biedny Stasiecku!

Staś.

Siostrzycko najdrozsa!

Szymon.

Przywlokłem i jo moje stare kości, zeby się z wami pozegnać, moi chłopcy, kiedy wom tak koniecnie w świat iść wypodo.

Rekruci (cisną się do niego i całują go po rękach).

Dziękujemy wom, dziaduniu! dziękujemy!

Grześ.

O, jacyście wy pocciwi, mój Symonku, kiej przychodzicie, zeby nos, swoje wnucęta, na drogę pobłogosławić!

Rekruci.

Błogosławcie nom! błogosławcie, dziaduniu!

(Pisarz wychodzi ze swej izby, ubrany do podróży, w burce z kapiszonem, czapce na głowie, staje przy drzwiach i patrzy szyderczo na obecnych.)

MELODRAM *(pianissimo)* nr. 10.

Szymon (rozczulony).

Pocciwe dzieci, niech wos Bóg prowadzi. Kto wie, cy się juz kiedy zobocymy na tej ziemi, bo mnie lada chwila, ino do mogiły się położyć, lotego weźcie se do serca te słowa starego, który się ciesył, kiedyście na świat przychodzili, nie załowoł rady i przestrogi, gdyście podrostali, a teroz z bólem w sercu zegno na długo, a moze i na wieki! Miejcie zawse Boga na pamięci, a ucciwość w sumieniu. Porzucocie wase role i chatki, bo musicie iść w świat... więc jak wom tyz Pan Jezus pozwoli powrócić, przynieście ze sobą te serca same pocciwe, kochające bliźniego i te same ręce ochotne do roboty, a nie wrocojcie tak, jak wielu, którzy miasto się cegoś naucyć, wychodzą z wojska rozprózniaceni, zepsuci, ni mający Boga za nic, nie sanujący ani ludzi, ani ich dobytku! (ściska wszystkich) Bądźcie zdrowi! bądźcie zdrowi! niech wos Bóg prowadzi i błogosławi!

Wszyscy (rozczuleni).

Amen!

Pisarz (na stronie).

Ciemnota! Nie do pojęcia, jak ten nieboszczyk poprzewracał tym chamom w głowach.

Rekruci (z czapkami w górę).

Bywojcie zdrowi!

Wszyscy.

Niech wos Bóg prowadzi!

OBRAZ.

(Filip wychodzi z lewej w płaszczu z peleryną, czapka z zawiasami w rękach. Regina wchodzi głębią i podaje mu bicz, oboje zostają przy drzwiach z lewej. Pisarz szyderczo uśmiechnięty przy drzwiach z prawej. Na przodzie sceny ku prawej Staś, okok niego z jednej strony Tekla, z drugiej Zosia, obie wieszają się na jego szyi, tuląc twarze na piersi. Za niemi Szymon. W środku dziewczęta żegnają się z rekrutami. — Muzyka przechodzi z melodramu lirycznego w marsz.)

Śpiew nr. 11.

MARSZ.

Chór męski.

Mars! mars! chłopcy, cas nom w drogę!
Kto mo, niech zegno niebogę!
bis { Z jasnem cołem, dziarską miną,
bis { Tacy nigdy nie poginą!

W boju staniem kiej wyręby!
Kiej barcyste, silne dęby.
bis { Wrócim zdrowo i bez sromu
bis { Do swej lubej, swego domu!

(Zasłona spada)

KONIEC AKTU II.

Akt III.

Dekoracja aktu pierwszego.

SCENA I.

Hanka — Marysia — Salka — Zosia — Małgosia — Katarzyna — Dziewczęta — i Wojtek.

(Za podniesieniem kurtyny dziewczęta, ubrane jako druchny, z podarkami ślubnemi stoją przed chatą Wojciecha. Hanka ma ogromny kołacz, inne duże chleby, sery, miseczki z miodem, butelki z trunkiem i t. p. Zosia, biednie ubrana, trzyma się na uboczu, mając w ręku wianek z niezapominajek. Katarzyna w odświętnem ubraniu jako druchna z ogromnym wieńcem z pozłotek na głowie, zamiata scenę. Wojtek w kapeluszu z bukietem, butlą i chustką kolorową w ręku, uwija się między dziewuchami.)

Śpiew nr. 12.

Chór.

Tęskni dziewce długie noce,
Na kochanka ceka.
Na niebie gwiozdka migoce,
I przyjście przyrzeka.
Odezwoł się głosik zwonka
W pogodny poranek,
Dostarcyła kwiotków łąka
Na jej ślubny wianek.
O północku cepiec świezy
Teklusia przymiezy,
Wsak kuzdej z nos obiecano
Wnieść lubemu wiano.
A teroz, jak zwycoj stary,
Przyjm weselne dary,

Kuzdo niesie, co dać moze,
Błogosław ci, Boze!

Salusia (występując z miseczką miodu).
Bądź, Tekluniu, nom wesoła,
Wsak i pscółecka się ciesy,
Kiedy na kwiatki i zioła
Po słodziutki miodek spiesy.

Chór { Pscółek plony ci przynosę
Na dobytek i rozkose!

Hanka (z kołaczem).
W polu psenicka i zboze
Niech się rodzi w kłosy złote,
A przy zniwach odwróć, Boze,
Od twych zbiorów wselką psotę.

Chór { Przynosę ci z dusy całej
Na pocątek kołoc biały.

Marysia (z chlebem i serem).
W chałupecce, w kwiaty strojnej,
Zyj scęśliwo, gdyby w raju,
I od krówki siwej, dojnej
Śmietaneckę zbieroj w maju!

Chór { Chleb ze serem idą w parze;
Na pocątek przyjmij w darze.

Zosia z wiankiem).
Srebrny strumyk cicho płynie,
A u brzegu rosną kwiatki,
On zodnego nie pominie,
Tulą się doń jak do matki.

Chór { Nie zol się na mnie niebogę,
Bo nic więcej dać ni mogę.

Chór.
Dana! dana! dana! dana!
Będziem tańcyć az do rana,
Będziem hulać az do zorzy,
Póki sen oców nie zmorzy.

(po śpiewie dziewczęta składają podarki na stole pod ścianą chaty)

Wojtek.
Jakoś się długo panna młodo nie pokazuje, moze jesce nie ubrano. (do zamiatającej Katarzyny) Hej! słysys, staro!

Katarzyna (urażona).
Staro! staro! jezdem sobie jesce dziewucha, rozumies! i do tego druchna.

Wojtek (śmiejąc się).
A ładno mi druchna z miotłą w ręce... zeby to carownica z kusym ślub brała, toby ci akurat przystało być pierwsą druchną.

(śmiechy)

Katarzyna (zamierzając się miotłą).
Dom jo ci tu carownice... kłapacu!

Wojtek.
No, no, dej pokój!... bo skoda sukmany.

Hanka.
Dejciez pokój, nie róbcie breweryi... (do Katarzyny) Słuchoj no, Kaśka, co się to

z Teklunią robi? Druchny cekają z prezentami przed sienią, a panna młodo nie wychodzi?

Katarzyna.

E! tako ta panna młodo, co idzie za chłopa jak przez zekucyją... siedzi tam biedocka w komorze i płace.

Dziewczęta.

Płace?... a to bez co?

Katarzyna.

Bo Dominek tu był i cegoś okrutnie wydziwioł... Zatracone chłopisko juz się do bicio bierze, chocioz jesce nie po ślubie.

Hanka.

Oj, bedzie ona miała za swoje z takim mężem...

Małgosia.

To moze go nie chcieć... i kwita!

Katarzyna.

Kiedy ją macocha niewoli.

Salusia.

Ciekawo rzec, bez co ona się tak upiero przy tym Dominku?

Hanka.

Chce się pozbyć dziewuchy z chałupy i bez to...

Katarzyna (znacząco).

A moze i bez co innego!?

Wojtek (filuternie).

He! he! i mnie się tak zdaje...

Dziewczęta (ciekawie).

No, no? co takiego?

Wojtek.

Ha no! cózby... ino...

Katarzyna.

Cicho bądź!... co ta bedzies godoł takie rzecy, Boze odpuść!... bo nawet pomyślić, to grzych.

Wojciech (drapiąc się w głowę).

Juzci to prowda, ze lepiej stulić gębę, jak godać o cudzych jamorach.

Dziewczęta.

Słysycie wy, ludzie!?

Katarzyna.

Godojze tu do głupigo.

Hanka (do Wojtka).

Co tyz ty plecies, zeby Wojciechowo i Domin...

Wojtek.

Jo... jo przeciez nic nie powiedzioł.

Katarzyna (na stronie).

A to osieł!... wypaploł som nie wie kiedy. (spostrzega Teklę, wychodzącą z chaty) Aha, otóz i panna młoda!

SCENA II.

Ciż — Tekla — później *Kazimierz.*

(Tekla wchodzi ubrana do ślubu blada i zapłakana.)

Wszyscy.

Niech zyje panna młodo! wiwat!

Tekla.

Bóg zapłać wom, kochane dziewecki.

Katarzyna.

No cóz, przyryktowałaś się juz ze wsyćkiem? bo niedługo muzyka pudzie po pana młodego... a jak się ino zaproseni zejdą, to zarozicek jedziema do ślubu....

Tekla (z westchnieniem).

Do ślubu z tym cłowiekiem! o Boze! nadchodzi chwila ofiary, ale trudno, jak trzeba.

Katarzyna.

A teroz musą pownosić te prezenta do izby. (idzie do stołu) Ho! ho! co tu tego! a jaki ślicny kołoc weselny... bez mała jak młyńskie koło...

Tekla (do drużek).

Na co se tyz to było tyla skody robić!

Katarzyna.

Albo to skoda? ino zwycoj!...

Tekla.

Bóg zapłać wom, Bóg zapłać! (spostrzega Zosię, która się wysuwa z za dziewcząt z wiankiem) A, Zosia!... (wita się z nią)

Zosia (nieśmiało).

I jo tyz, biedno sierota, ni mom ci co innego ofiarować, ino ten wianusek z niezapominajek, com go uwiła przy rzyce. Przyjmies go? prowda? (kładzie jej wianek na głowę)

Tekla.

Z całej dusy, Zosiu kochano!

Zosia.

O! jo wiedziała, ze mu bedzies rada... bo i mój biedny bracisek lubił bardzo te kwiotecki...

Hanka.

To prowda, co dzień robił z nich ślicny bukiecik i przynosił Teklusi.

Tekla.

Staś mój kochany musioł pójść do obcej ziemi.... a moze jesce zginąć na wojnie... (bierze wianek z głowy i całuje z płaczem) O! i jo niedługo uschnę za nim ze zolu, jak kwiotki tego wianuska.

Wojtek.

Oho! Kaźmierz, jak się mos?

Kazimierz (wchodzi z prawej przez płot, niosąc kilka łupek drzewa i piłkę).

Bóg zapłać!

Zosia (na stronie).

Kaźmierz!

Hanka.

Co ci to, Zosiu, ześ tak pobladła?

Zosia (zmieszana).

Nic!... nic!...

Wojtek (do Kazimierza w głębi).

Sukołem cię z zaprosinami na wesele, ale cię nie było w chałupie.

Kazimierz.

Chodziłem po drzewo... chciołem ano trochę łyzek narobić... moze przy kiermasu na Matkę Boską Zielną do się co utargować.

Wojtek (przypijając).

Twoje zdrowie!

Kazimierz.

Nojlepsego! ale jo nie piję.

Wojtek.

Locego?

Kazimierz.

Bo nie pijom gorzołki.

Wojtek.

Bez to tyz jezdeś taki niewydarzony i ogłupiały... bo przecie, jak chłop gorzołki nie pije, to mu się krew we wodę obroco... (podaje mu butelkę) No, golnijze choć kapkę... zreśtą od druzby kuzdy powinien przyjąć, bo on cęstuje na znak polskiej gościnności.

Kazimierz.

Kiedy ci godom, ze nie, to nie... więc mie tyz nie zmusoj. (spostrzega Zosię) Ach, Zosia! (idzie przed swój dom, siada na ławce i zaczyna strugać)

Wojtek (wróciwszy do dziewcząt, macha ręką).

E! z niego juz nic nie bedzie, kiedy trunku nie uzywo... bo to powiadają ludzie, ze jak prosty chłop stroni od gorzołki, a nie przymierzający pies od wody, to juz źle z nim być musi...

Tekla.

Dej mu tam pokój, chudok sturbowany, bo mu pisorz sprzedaje grunt i chałupę i cały dobytek...

Wojtek.

A prowda, bo się podobno pokozały jakieś długi po nieboscyku.

Tekla.

E, kaj ta, kaj!... to ino pisorz tak godo, a wszyscy w to wierzą...

Hanka.

Jakieby ta długi miały być, kiedy tyla bogactwa ostało po Marku?

Wojtek.

No cóz, ze zostało, kiedy nie znaleźli, bo nieboscyk kajś schowoł, cy zakopoł, ze nie sposób było wysukać.

Katarzyna.

I nie znojdą nigdy, bo Marek jako upiór pilnuje swoich pieniędzy, bez to tyz

i całe gospodarstwo posło na marne... to juz rzec dowiedziono... tam, kaj jest upiór, wszyćko musi skapieć z kretesem.

Hanka.

Ktoby się to był downiej spodziewoł, ze Kaźmierz, co wychowany był jak panicyk, bedzie musioł struganiem łyzek zarabiać na zycie?

Zosia.

Biedny Kaźmierz!

Salusia.

Ty się litujes nad nim, a on to nie mioł sumienia, ino wom zabroł młyn i całą chudobę, zeby dać takiemu zbójowi, jak Domin.

Zosia.

Zabroł, bo mioł prawo jako do swojego, zreśtą to pisarza sprawka, bo on jest opiekunem.

(W orkiestrze słychać piano krakowiaka — Melodram nr. 14.)

Hanka.

O raju! słysycie wy, dziewuchy... Muzyka juz gro panu młodemu na wiwant, a my jesce tutok. Chodźma pręciutko, zeby się nie spóźnić.

Małgosia.

Wielgie rzecy!... momy się ta lo kogo spiesyć, jak lo takiego Domina.

Hanka.

Nie o niego tu chodzi, ale o Teklę, bo ona jest panną młodą i jejbyśmy wstyd zrobiły.

Marysia.

A prowda! wszyscyby się z niej wyśmiewali, ze druchny spóźniły się po narzeconego...

Dziewczęta.

A więc chodźma! chodźma!

Wojtek.

Dalej za mną, jako za druzbą!... a śpiewojcie wesoło, az zeby się po skałach rozlegało!...

(śpiewa)

A jak ci jo będę na wesele prosił,
Cisawy koniku, ty mnie będzies nosił.

(wychodzi na czele, śpiewając z dziewczętami; Tekla wchodzi do chaty)

SCENA III.

Kazimierz — Zosia.

(Kazimierz kładzie robotę na ławkę, wstaje, wołając z cicha na Zosię, która idzie ostatnia za dziewczętami.)

Kazimierz.

Zosiu! Zosiu!

Zosia (odwraca się).

Cy na mnie wołos?

Kazimierz (nieśmiało).

Tak jest... bo widzis... chciołbym...

Zosia.

Co takiego?

Kazimierz (na stronie).

Boze! jak mi serce bije.

Zosia (na stronie).

Co mu się stało, ze do mnie zagodoł!

(głośno) Cy potrzebujes cego odemnie?

Kazimierz (nie wiedząc, jak zacząć).

Oto... oto... chciołbym z tobą pomówić... ale mnie moze nie zechces słuchać.

Zosia.

Dlocego? z chęcią, mój Kazimierku.

Kazimierz (z radością).

Doprowdy?! O, jakaś ty dobra, ze nie uciekos odemnie.

Zosia.

A bez cózbym miała uciekać?

Kazimierz (z goryczą).

Bo się zawdy uniko człowieka, którym się gardzi.

Zosia.

Co tyz ty wygadujes! jo miałabym łobą gardzić?

Kazimierz (jak wyżej).

I słuśnie, bo zasługuje na to.

Zosia.

O, nie myśl tak o mnie. Prowda, ze mnie i matulę bardzo boli to, ze nigdy nawet słowa do nos nie przemówis, ale ni momy do ciebie zolu, bo wiemy dobrze, ze kuzdy niescęśliwy woli być som, jak z ludźmi.

Kazimierz (półgłośno).

Moje niescęście ani w samotności, ani nawet we śnie końca nie ma.

Zosia.

Ale widzis, jakbyś się mioł przed kim pozolić, wywnętrzyć, toby ci ulzyło, bo jak

się widzi, ze ktoś drugi rozumie nasą boleść, to tak, jak zeby połowę odebroł cierpienia. Ty zaś od śmierci chrzestnego odsunąłeś się od nos, jakby od obcych, a przecie ześmy się razem wychowali, i jo dlo ciebie prawie jak siostra, więc mógłbyś się ze mną podzielić swojem cierpieniem.

Kazimierz.

Tobie powiedzieć? tobie? nigdy! wolołbym umrzeć.

Zosia (z wyrzutem).

Widzis, jakiś ty niedobry!

Kazimierz.

A choćbym ci nawet powiedzioł, nie umiałabyś tego zrozumieć.

Zosia (z smutnym uśmiechem).

Kto wie!

Kazimierz.

Jakto? (z przerażeniem — do siebie) Cyzby się domyślała?

Zosia.

Przecie to nietrudno zrozumieć, jak boleśnie, jak ciężko zyć na świecie, kiedy kto inny zabroł nase serce, a swojego nie zostawił ani odrobiny... O! to wtedy

w dusy tak tęskno! tak ciemno, jak zeby słonecko zagasło na niebie.

Kazimierz (zdumiony).

O cem ty mówis, dziewcyno?

Zosia.

O tem, ze ci zol za Magdą...

Kazimierz (rozdrażnlony).

Za Magdą?

Zosia.

Bo ty ją jesce kochos, a ona posła kajś w świat i zapomniała o tobie, chocioz ty ciągle o niej myślis.

Kazimierz.

O! łocego mi przypominos tę kobietę?

Zosia (smutnie).

A widzis! widzis, ze to prowda, co mówię, ale daruj mi, nie wiedziałam, ze cię to tak zaboli. (na stronie — z boleścią) Jak on ją jesce kocho.

Kazimierz (rozgorączkowany).

To ona była moim złym duchem kusicielem, zeby mię przyprowadzić do nieszczęścia.

Zosia.

A przecie salałeś za nią.

Kazimierz.

To ino przez mamidło. Musiały chyba cary być w tem, ze mi się podobała, bo jo jej przecie nie kochom i nigdy nie kochołem.

Zosia (z radością).

Nie kochos jej! nie kochos!? i to prowda? O! Boze! jakoz jo scęśliwo!

Kazimierz (z radością).

Co! .. ty scęśliwo!?... ty się ciesys z tego?... a więc... (z uniesieniem) O! Zosiu droga! (chce ją uściskać)

Zosia (tak samo).

O! mój najdrozsy! (wstrzymuje się i poprawia zawstydzona) Najdrozsy bracisku!

Kazimierz (smutnie).

Ach!

Zosia (szybko).

Prowda, ze się nie gniewos o to i nie zabronis mi cię tak nazywać? prowda? Bedzie mi to przypominać nasego drogiego Stasia.

Kazimierz (na stronie).

Nie kocho mnie! i słusnie, bo jo nie dlo niej, bo jo jej niegodny.

Z o s i a.

Ale bywoj zdrów, musę się spiesyć do matuli, bo moze się juz przecknęła, całą noc oka nie zmruzyli z bólów; dopiero nad ranem trochę ich sen zmorzył.

K a z i m i e r z.

I to jo tęmu winien, zem pozwolił zabrać wom ostatnie schronienie... ale zebyś wiedziała przycynę.

Z o s i a.

Co ci tez w głowie! Matula zaniemogli ze zmortwienia o Stasia, jak nom go zabrali do wojska. Dotąd ta jesce kawęcyli jak mogli, ale od casu, kiej się dowiedzieli, ze posed na wojnę i moze zginąć, tak ich zmogło, ze się juz z łózka nie dźwigają.

K a z i m i e r z.

Trzeba coś zaradzić! mozeby doktora z miasta?

Z o s i a.

A cemze go zapłacić, kiej ani centusia przy dusy? Posłabym na robotę do zniwa, ale jakze odejść matuli, kiedy ich trzeba ciągle doglądać. Tyla ino, co jagód rankiem uzbierom lo przekupnia za kilka cen-

tów, i za to kupię kapkę mleka i porę ziornek kukurydzy.

K a z i m i e r z (nieśmiało).

Widzis, Zosiu... jo wcora kupiłem na jarmarku dwa bochenki biołego chlebusia. Niedługo bedzie kiermas, to znowu kupię, a do tego casu jeden lo Józia wystarcy. Zebyś przyjęła drugi bochenek...

Z o s i a (zawstydzona).

Biedno jezdem, to prowda, ale...

K a z i m i e r z (z prośbą).

To dlo matuli! dlo chorej matuli!

Z o s i a (cichym głosem).

Dlo niej! o, dlo niej! wszyćkobym zrobiła! (podaje mu rękę) Niech ci Bóg zapłaci!

K a z i m i e r z.

Otóz tak, to dobrze! pocekoj tu chwilkę, zaroz ci przyniesę, (odchodzi do domu) a doktora jo som sprowadzę.

SCENA IV.

Zosia — Domin — później *Kazimierz.*

Z o s i a (sama).

Jaki on pocciwy! a ludzie go tak krzywdzą niesłuśnie. (z westchnieniem) Ha! nima

dziwoty, tako to dola sierot na świecie! (po chwili) Więc on o mnie myśli? a Magdy zapomnioł, nie kocho jej. O Boze! mało mi serce z radości nie pęknie. Nie wiem, moze to i źle, alem rada, ze on teroz prawie tak biedny jak jo! bo moze... moze. Ach! coby to było za scęście! Jezu mój cudowny! (jakby marzyła) Postawilibyśmy sobie maleńką chatkę, tam w skałach pod górą. Onby strugoł razem z małym braciskiem łyzecki na sprzedaz, a jo zbierała grzyby, jagody! zimą zaś przędły, zeby zarobić na kawołek chleba, i tak we cworo z nimi i moją matulą zylibyśmy zdaleka od ludzi, scęśliwi... bardzo scęśliwi!... (kryje twarz w dłoniach przez chwilę, marząc — przerwa)

Domin (wchodząc głębią z lewej podpity).

A bodaj je siarcyste! mnie taki despekt, mnie! młodemu panu! ha! ha!

Zosia (przestraszona).

O! jej! Domin! jakby zobocył, ze Kazimierz...

Domin (zbliżając się ku przodowi).

Zatracone druchny mnie kazują cekać na siebie! mnie, Dominowi Mydłek! ale im za to wyprawię wesele, no!... (spostrzega Zosię) A ty tu co robis, dumno zebrocko?

hę? przysłaś znowu beceć razem z tą kochliwą dziewką? No! niechze się wybecy dzisiok po roz ostatni, bo jo ją naucę innego kochanio! nie braknie jej powodu do płacu, kiedy go tak lubi. (grozi pięścią) Dom jo jej Stacha, tego włócęgę!

Zosia (oburzona).

Cłowieku! cegoz ty chces jesce?!

Domin.

Tego, co mi się spodobo, rozumies! zrobimy wszyćko, co się podobo mnie i pisarzowi, kochanemu Warchołkowi... nie... wielmoznemu panu Warcholskiemu! tak, wielmoznemu, bo on teroz pon całą gębą! a nom jakby się spodobało, zeby nawet kto umarł... to umiero tak, jak Marek! ha! ha!

Zosia (na stronie).

Jezu mój drogi! a dy on pijany.

Domin.

Ho! ho! tęgo śluka ten pon Warcholski, ino na jedno głupi, oto, ze mu się podobo taki oberwaniec, jak ty.

Zosia (na stronie).

Znowu! Matko jedyno, broń biednej sieroty!

Domin.

Ale grubi panowie zawdy takie głupie grymasy miewają, a więc i on tyz. (do Zosi) No, nic nie godos? pocóześ przysła, hę? Aha! pewnieś się namyśliła i przystajes na tę słuzbę? co? a no to dobrze! to bardzo dobrze! no cóz? zgodzos się?

Zosia (drżąc).

Cego ty chces ode mnie?

Domin.

No, nie udawoj głupiej, niby to nie wies... he! he! he! abo ci to źle bedzie u niego? jesce jaką kapelusową pannę z ciebie zrobi. (Zosia chce odejść, on ją zatrzymuje) Cekoj mi tu zaroz! kiedy jo do ciebie godom, to słuchoj i ani mru mru!

Zosia (z płaczem).

Puscoj mnie! o, Boze! Boze!

Domin.

No, cegoz się krzywis? przecie ci nic złego nie robię.

Zosia.

Nic złego? cłowieku bez dusy, kuzde twoje słowo poli mi coło i rozrywo serce, ale przebocom ci, bo widzę, ześ...

Domin (z uśmiechem).

Pijany? co? a no widzis, to tak na odwogę, bo dzisioj moje wesele i mom iść do księdza, a jak sobie cłowiek trochy podchmieli, to mu łotwiej powiedzieć, co mo na sumieniu, lotego tyz i ty korzystoj teroz z tego, ze jezdem usposobiony dobrze radzić i ze chcę ci pomódz.

Zosia.

Niech ci Bóg tego nie pamięto. (z płaczem) Oj! dola! dola sieroco! nic próc złości od ludzi, a jak juz ni mają co, to sumienie chcą pokrzywdzić.

Domin.

A bodaj cię siarcyste! słuzyć u takiego pana jak pisorz, krzywdą nazywo. Podziękuj Bogu, ze ci się trefio tako kondycyjo, bo on teroz bogaty kieby dziedzic, a jesce bedzie bogatsy, jak to wszyćko sprzedo. I cóz ci za krzywda? nic do roboty, a wszyćkiego po usy. Bedzies opływać w dostatkach, jak pącek w maśle, mozes się stroić i frykować, a jodać same przysmaki.

Zosia (z oburzeniem).

Wolałabym z głodu umrzeć, jak połykać przysmaki, kupione za mój wstyd i hańbę.

Domin.

Ha! ha! ha! komu się tu pysnić, a zeby cię siarczyste! do garła nimo co włożyć, zyje trową i pokrzywami, a mo się za cejco. Głupio, niejedno miejsko panna by ci pozazdrościła, a ty się drozys, ale przyjdzie cas, ze się jesce prosić bedzies.

Zosia.

O! prędzej śmierć!

Domin.

Ho! ho! i dziką gołąbkę mozna złapać, chocioz na wysokiej skale mo gniozdo. Niechces po dobroci, to przystanies po złości, a zobocymy, cy się jesce znajdzie jaki drugi brat, coby cię tak obronił, jak Stach łońskiego roku.

Zosia (płacząc).

O Boze, dodej mi siły i bądź moją obroną!

Kazimierz (wracając z chlebem).

Co to jest? co się stało? Zosiu, ty płaces!?

Domin (do publiczności).

Aha, jest drugi akurat taki som, jak i ona. (do Kazimierza) Przychodzis w som

roz, moze ty łatwiej potrafis wybić jej z głowy te głupie skropuły, bo mnie się jakoś nie udaje.

Kazimierz.

A tobie co do niej?

Domin.

Mnie nic! ale twój opiekun chce ją do siebie zwerbować na służącą, a ta siarcysta nie daje się namówić.

Kazimierz (wściekły).

Ha! carty z piekła! mało wom jesce mojej dusy!

Domin.

Fiu! jak widzę, i ty się zacynos indycyć; widno ten gorąc robi wom taką kanikułę w głowach... Ha no! jak nie chces, to się obejdzie; ale zeby nawet siarcyste biły, to pisorz sobie i tak z dziewką poradzi.

Kazimierz.

O! niech spróbuje napastować ją jesce...

Domin.

No, to i cóz mu zrobis? hę?

Z o s i a.

Dej pokój, Kaźmierz, widzis przecie, ze nie trzeźwy.

D o m i n (zły).

Nie trzeźwy! nie trzeźwy! a tobie co do tego? ty świętosko!... widzicie ją, ona mnie bedzie dogadowała, ta! ta! (zamierza się) Jo cię tu wytrzeźwię, ze cię siarcyste porwą.

K a z i m i e r z (zasłaniając ją).

Wara od niej! bo trupem położę.

D o m i n.

Co? ty mnie trupem! (szyderczo) Ho! ho! dy jo wiem, ze ty to dobrze potrafis... ale ci się ze mną tak łatwo nie udo, jak ze swoim...

K a z i m i e r z (przerażony).

Domin! (słabym głosem) cicho! nie kończ, na Boga cię prosę.

D o m i n.

Ha! ha! a widzis!

Z o s i a (na stronie zdumiona).

Co się to znacy?

D o m i n (szyderczo).

No, cegóześ tak zmiękł, jak zeby ci kto wody za kark naloł? hę? Przyszły ci na myśl ziandary? co? prowda? (z groźbą) Ho! ho! a są dzisiok we wsi! są! jakbym im ino słówecko pisnął... toby cię nawet siarcyste nie obroniły.

K a z i m i e r z (bezsilny — łamiąc ręce).

Jezu miłosierny! cy się nigdy nade mną nie zlitujes?

Z o s i a.

Kaźmierku! co tobie? cemu on tobie tak grozi?

K a z i m i e r z (uspakajając się).

Nic!... nic... o Boze! mój Boze!

Z o s i a.

Biedny ty, musis bardzo cierpieć?

K a z i m i e r z.

O bardzo! ale dosyć juz tego! niech się co chce stanie, musę to roz skońcyć.

D o m i n (na stronie).

Co on godo? cyby teroz naprowdę osaloł...

Kazimierz (na stronie).

Biedny mój bracisku, co się potem z tobą stanie, jak mnie zabraknie! (głośno do Zosi) Idź, Zosiu, idź... bo cię tam pewnie matula wygląd o, a moze głodno.

Domin (na stronie).

Odkąd oni się ze sobą zwąchali?

Kazimierz.

Mos tu tę bułeckę.

Domin (przerywając).

Bułeckę! aha! toś ty tu poto przysła, dziadówko!

Zosia (zawstydzona cofa się, nie biorąc chleba).

O, Boze!

Kazimierz (oburzony).

Domin!

Domin.

Widzicie ją! tę siarcystą! zebrać to się nie wstydzi, a pracować i słuzyć u porządnego pana to dlo niej hańba.

Kazimierz.

Ach! człeku bez litości!

Domin.

A bodaj cię siarcyste! mos się nad kim litować... tako młodo zdrowo dziewka, zamiost roboty, po dziadówie łazi! Ho! ho! będą o tem wszyscy wiedzieli.

Zosia.

Och! zebym się mogła pod ziemię skryć przed temi ludzmi! (nie biorąc chleba, ucieka szybko na prawo głębią)

Kazimierz.

Zosiu! Zosiu!

Domin.

Ha! ha! ha! widzis ją, jak zmiato, kieby nie pysno! (idzie do drzwi chaty na lewo, patrząc za uciekającą) Dawoj psa na dziada! dawoj psa. (szczując) A huzie! huzie! to dziadowskie zebrace plemię! ha! ha! ha! (wchodzi do chaty na lewo)

Kazimierz (sam).

O! Boze sprawiedliwy! cemuz przezemnie tylu niewinnych cierpi! Ale dosyć juz tego! niech robią ze mną, co im się podobo, ale ja jej nie opuscę i bronić będę. (wybiega za nią z chlebem) Zosiu moja! Zosiu jedyna!

SCENA V.

Marek (sam).

Przez małą chwilę scena pusta — melodram nr, 15. zapowiada wejście — za sceną słychać po małej przerwie wołanie)

Marek (za sceną).

Smoły! smoły! smoły! kupujcie smoły! (wchodzi przebrany za smolarza, twarz zarosła i poczerniona, włosy prawie białe, płótnianka zaczerniona, kapelusz stary okrągły z szerokiem rondem, wjeżdża z taczkami, na których jest beczułka ze smołą) Smoły! Smoły! smoły! (Melodram ustaje, on ogląda się wokoło, puszcza taczki i ociera twarz z potu) Ach! jakiż upał!... pragnienie nieznośne pali mi język, głowa się zawraca! siły mnie opuszczają, tak że ledwie na nogach utrzymać się mogę. (siada na cembrowinie studni, zaczerpuje wody z wiadra małym garnuszkiem i pije) — Ach!... ale to nic! nic... to przejdzie! to tylko wskutek wzruszenia, jakiegom doznał na widok tych miejsc ukochanych... O, jakże radośnie serce mi zabiło, gdym zdala zobaczył te skały i lasy! te szczyty chat mych braci! te wierzchołki rodzinnych lip i modrzewiów. Wtedy niepomny, że siły stargane długą chorobą, spieszyłem dotąd, jak spieszy dziecię po długiej rozłące w objęcia matki! (wstaje, rozgiądając się) Droga ma wiosko! ileż za tobą tęskniłem! złożony ciężką chorobą,

walcząc między życiem a śmiercią, jedynie myślą biegłem w te strony... a dziś cieszę się znowu twoim widokiem, poję twem powietrzem... dziś oglądam znowu chatkę ukochaną, w której tyle lat przeżyłem, z radością i nadzieją w sercu, że moja praca przyniesie zdrowy owoc, że zdołam zawiązać choć jednę nitkę połączenia pracy z rozumem, pługa i kosy z nauką, że znajdę choć jednę ścieżynę do wydobycia tych skarbów, ukrytych w głębi niw naszych. (po chwili smutnie) I dziś, po tylu trudach, widzę ten gmach podkopany... (z boleścią) a przyczyną tego mój syn! moje własne dziecko, którem zawsze karmił bojaźnią Bożą, poił miłością bliźniego, któremum nawet w tej chwili gotów przebaczyć za jedno słowo żalu, za jednę łzę pokuty... (po chwili groźnie) Ale! nie! nie! precz słabości! precz miłości ojcowska! tobie nie wolno się uginać pod ciężarem boleści, boś powinien, bo musisz dopełnić nie zemsty, lecz sprawiedliwości! (ogląda się niespokojnie) Ach! ktoś nadchodzi, nie chcę, ażeby mnie zawcześnie poznano. (wdziewa kapelusz, nasuwając go na oczy i chwyta taczki, wołając) Smoły! smoły!

SCENA VI.

Marek — Filip — Wściubara — Klóska — potem *Pisarz.*

Filip (do radnych).

No, z przeproseniem, a kadyz pisorz?

Wściubara.

Zarozicek przyjdzie, ino skońcy układać ten kontrakt z miemcem. Spisują go hań u Jabramka.

(postępują na przód sceny)

Marek.

Smoły! smoły! kupujcie smoły!

Klóska.

Cie, jakiś smolorz!

Marek (nie zdejmując kapelusza, a nachylając głowy, ludowem narzeczem).

Niech bedzie pochwolony!

Wszyscy.

Na wieki!...

Marek.

Scęść Boze do roboty!

Filip.

Dej, Panie Boze! chocioz to do nasej roboty scęścia nie, ale, z przeproseniem,

rozumu potrza. A skądeście wy z tą smołą, hę?...

Marek.

Ot... tam het, z zo jaru, od Lipowca. (do Filipa) Moze kupicie, gospodorzu?

Filip (z dumą wskazując pas na piersiach).

Nie, gospodorzu, ino, z przeproseniem, wójcie, bo to jo jezdem wójt!

Marek.

Tak? darujcie, alem nie zauwazył.

Filip (protekcjonalnie),

Nic nie skodzi, z przeproseniem.

Marek.

A więc kupujcie, panie wójcie. (zachwalając) Smoła dobro, sośniano, cyściutko, ani jednej grudki ziemi, kupujcie, gospodorze.

Klóska.

Ano, jobym wzion z gorniec, zeby nie drogo.

Filip.

Jo bo nie wiem, cy ta moja Rejna mo jesce co, z przeproseniem, w swojej maźnicy, cy tyz!...

Wściubara.

E! co się ta bedziecie teroz ze smołą bawili, kiej momy co innego do roboty.

Filip.

Prowda, z to teroz nima casu, bo bedzie narada, a przytem mnie, jako, z przeproseniem, wójtowi nie wypodo handlować, bo mom na sobie pas. Jak Rejna przyjdzie, to sobie kupi, jeśli jej bedzie potrza. Oto zacekojcie tu, dopóki wszyscy się nie zbierą na wesele, a moze wom się udo co utargować.

Wściubara.

Tak i pocesne wom się jesce okroi.

Marek.

A!... mocie wesele we wsi?

Filip.

A ino. (wskazuje na lewo) Dziewka z tej chałupy idzie za chłopa ze młyna.

Marek (na stronie).

Więc to Staś żeni się z Teklą. Dzięki Ci, Boże! bom i o to był niespokojny. (głośno) Bóg zapłać za dobrą radę. Odpocnę sobie hań w chłodzie pod sopą, bo słonko dopieko i kościska juz starę, a zro-

biłem dzisiok porządny kawoł drogi. (stawia taczki pod szopą i siada na snopku słomy, tak, że przedzielony jest beczułką od aktorów)

Wściubara.

To dziwne, ale jakiś taki znajomy ten smolorz.

Filip.

A no musioł tu juz kiedy sprzedować po wsi i bez... to... (niecierpliwie) Ale co to jest, ze tego Symona tyle casy nie widać?

Wściubara.

Moze nie przyjdzie?!

Filip.

Coby ta nimioł przyjść, kiedy mo nakoz.

Wściubara.

A no to nadejdzie, tymcasem przyryktujmy wszyćko, zeby było gotowe, ino podpisać.

Filip.

Kiedy pisorza nima, a kancelaryjo u niego zamknięto!

Klóska.

Przecie mozemy i tutok na polu.

Wściubara.

Tak, pod drzewami, bo w izbie okrutny gorąc.

Filip.

A jakze, z przeproseniem, kancelaryją na polu zrobić?

Wsciubara.

A no polową, tak, jak się robi we wojsku lo śtabu. Przecie słuzyłem, to wiem, jak się urządzo. Stawio się stolik kaj niebądź i kwita.

Klóska (patrzy na lewo).

Pisorz idzie, pisorz!

(wchodzi pisarz, elegancko, ale niegustownie ubrany)

Wszyscy (kłaniają się nisko).

Kłaniomy się wielmoznemu panu!

Pisarz (szorstko).

Ach! jesteście! (spostrzega Marka) A to co za człowiek?

Marek (na stronie).

Pisarz!

Filip.

Handlorz z pod Lipowca, niby ze smołą. Odpocywo a no, bo gorąco.

Pisarz.

A cóż to tu, karczma, żeby się rozlegał?

Filip.

A niech se ta lezy, przecie ziemi nie odgniecie.

Marek (na stronie).

Jeżeli mnie pozna, wszystko stracone.

Pisarz.

No, mniejsza o niego. (do Filipa ostro) I cóż? długo mam jeszcze czekać, aż wam się spodoba wydać mi to pełnomocnictwo?

Filip.

A no, kiedy jesce nie gotowe.

Pisarz (groźnie).

Dlaczego nie gotowe?

Filip.

Bo rada nadzorco nie jest w zupełności; brak nom starego Symona.

Pisarz (na stronie).

Wiecznie to stare próchno na mej drodze. (głośno) To posłać po niego!

Filip.

Posłołem Pyrchałę, zeby mu zapowiedzioł, ale moze go nie zastoł w chałupie.

Klóska.

Pewnie posed ziele zbierać na skały, bo to dzisiok święty Zuzanny.

Filip.

A rychtyk prowda! dzisiok jest zbieranie ziela, co go mają święcić na Matkę Boską.

Pisarz (do publiczności).

I kiedyż ta ciemnota otrząśnie się z tych przesądów barbarzyńskich!?

Filip.

A Symon takze w tym dniu zbiero ziele, zeby z nich lekarstwa narobić.

Pisarz (szyderczo).

Lekarstwa! głupie chamy! trucizny! trucizny! nie lekarstwa! ale dam ja mu doktora; zgnije w więzieniu razem ze swojemi lekami.

Wściubara.

Rany Boskie! co tyz to wielmozny pon godo! przecie jego kuracyjo zawdy skutecno!

Filip i Klóska (razem).

Zawdy! zawdy! nima co godać!

Pisarz (do publiczności).

Otóż to jest ten lud, o którym tak dużo rozprawiacie, który chcecie wykształcić, nauczyć rozumu! No, i cóż tu poradzić?... gadaj jak chcesz, męcz się, pracuj,

marnuj wiedzę, krwawym potem zdobytą, poświęcaj się dla tego bydła! on zawsze swoje! (zjadliwie) Kija! bata! jarzma! powroza na szyję! to będzie prawdziwa oświata, ale nie szkoły! Chłop chamem zostanie, dopóki świat stać będzie, żebyście mu nawet łopatą do głowy kładli rozum.

Filip (do Wściubary).

Trzebaby posłać, z przeproseniem, na skały po tego Symona; niech przychodzi i zeby to się roz skończyło.

Wściubara.

Ale jego tam nima, bo on dopiro przed samym zachodem słońca chodzi na ziela, a nie teroz, bo ino takie skutecne, co się wiecorkiem zbiero, a jakby rwoł o innej porze, to wszyćko na nic.

Pisarz.

Sprowadzić mi tu ten stary czerep, tę spleśniałą zawadę... Cóż to? ja mam czekać, aż się pierwszemu z brzega chamowi spodoba przyjść, kiedy zechce? W tej chwili ruszać po niego, bo kupiec nie ma czasu zwłóczyć z podpisaniem kontraktu.

Marek (na stronie).

Przeczuwam, że jakąś zbrodnię knuje ten szatan...

Filip.

Skoknijcie no, Klóska, zobocyć, locego nie przychodzi.

Wściubara (do Klóski).

Polećcie sami i powiedzcie, zeby w tej chwili przychodził, bo pisorz kozoł.

Pisarz.

Kto taki? kto? cóż to, kpie jeden, nie wiesz, jak mnie masz nazywać?

Wściubara (zdejmując kapelusz).

Przeprosom wielmoznego pana, ale jo ino tak godoł, jak to się zwycajnie godo, a nie tak, jak to się godo, kiedy się do wielmoznego pana godo.

Pisarz.

Milczeć! (chodzi zły)

Filip (do radnych).

I ktoby to pomyśloł, ze to, z przeproseniem, chłopa syn... wypis, wymaluj, jak rodzony dziedzic.

Klóska.

Ha! rózne talenta Bóg ludziom daje.

Pisarz (do Klóski).

No¡ jeszcześ tu?

Klóska.

Lecę juz, lecę! (wybiega na lewo)

Pisarz.

Ja was nauczę obchodzić się ze mną. Widzisz ich! za pan brat trzoda z pastuchem! Ja nie ten glupi Marek! odemnie wara! respekt! uszanowanie dla takiego, jak ja, człowieka.

SCENA VII.

Marek — Filip — Wściubara — Pisarz — Domin — potem *Cecylja* — później *Wojciech* — w końcu *Szymon i Klóska.*

Domin (wychodząc z lewej, uderza pisarza po ramieniu).

Jak się mos, Majcher?

Pisarz (jakby oparzony).

Och! bydlę!

Domin.

Co? co takiego?

Pisarz (ostro).

Do kogoż to w ten sposób mówisz?

Domin (niedbale).

A no do ciebie.

Pisarz.

Bardzo proszę, inaczej się do mnie wyrażać!

Domin.

Jakto, u djobła?

Pisarz.

I oddawać mi przynależne względy i uszanowanie!

Domin.

Ale nie bądź-ze głupi z takiem godaniem... cóz to znowu za śpasy? (śmieje się) Ha! ha! ha! a bodaj cie siarcyste! ha! ha! ha! Kochany Warchołek musioł się strąbić z tym miemcem, kiedy mnie nie poznaje!... (chce go objąć za szyję) A dy to jo.., Domin Mydłek!

Pisarz (wściekły — do siebie).

Ach! żebyś przepadł do czarta!

Domin.

No, dej gęby, kochany przyjocielu!... nie bój się... domy wszyćkim radę!... bo my we dwóch tobyśmy i djobła zmogli, nieprowdaz? co?... uwinęliśmy się z takim mądralą, jak Marek, to i...

Pisarz.

Milcz-że, do pioruna!

Marek (na stronie).

Co to wszystko znaczy?

Pisarz (na stronie).

Ach! żeby jak najprędzej sprzedać to wszystko, zabrać pieniądze od niemca i uwolnić się od tej hołoty.

Cecylja (wchodzi).

Domin, bój się Boga! co ty wyrobios? a idź-ze juz roz po te druchny i końc z tym weselem, bo przecie ksiądz na wos nie bedzie cekoł.

Domin.

To niech nie ceko... cy jo go prosę, cy co? A toby mi się spodobało, zebym jo jesce za druchnami łaził... niech je tam siarcyste!... nie znają drogi do wasej chałupy — zatracone baby!

Cecylja (na stronie).

I co jo tu teroz zrobię, kiedy on pijany, a Tekla do nicego się nie mieso, ino siedzi jakby niezywo... Tyla uzeranio było, zanim przystała, a teroz gotowo się znowu co zrobić i to wszyćko rozchwioć. (woła do chaty) Stary! hej! stary! słysys!...

Wojciech (wychodząc niechętnie z chaty).

Cego chces?

Cecylja.

Poleć no do młyna i powiedz druchnom, niech przychodzą z muzyką, bo Dominek tu juz ceko i wszyćko gotowe.

Wojciech.

Zaroz idę.... (odchodząc do siebie) Oj! takie wesele! takie wesele! biedne moje dziecko! ona się zatropi z tym pijanicą. (odchodzi na lewo głębią)

Marek (na stronie).

A więc Dominik żeni się z Teklą!... nieszczęśliwa!

Filip (który ze Wściubarą ustawili pod lipą stół, jaki był pod ścianą).

No! kancylaryjo gotowo!... (wyjmuje z kieszeni potrzeby do pisania i papiery, kładąc na stole) Papiery!... atrament... piecątka... (szuka po kieszeniach) A kadyz podziołem zwonek? aha! jest!... (wyjmuje dzwonek z kieszeni, stawiając go na stole)

Domin.

Jakto? chcecie odbywać radę bez gorzołki? a!... tego jesce nigdy nie bywało. Cekojcie, jo wom się tu zaroz postarom... (wchodzi do chaty na lewo)

Szymon (wchodząc z Klóską).

Niech bedzie pochwolony!

Wszyscy.

Na wieki!...

Filip.

A, Symon! no przecie roz! Tak downo juz cekomy i cekomy, a wos nie widno...

Szymon.

Byłem w wasej chałupie, myśląc, ze rada odbędzie się jak zazwycoj u wójta.

Filip.

Ano, juzci prowda,... ze to u mnie powinna być rada, ale cóz, kiedy wielmozny pon tutok kozali, to trzeba słuchać!...

Szymon (kiwając głową).

A więc to tak?...

Cecylja (cicho do pisarza).

Coś mu niedobrze z ocu patrzy; gotów nie przystać...

Pisarz (na stronie).

Niech spróbuje!...

Domin (wracając z chaty z butelką i kieliszkiem, spostrzega Szymona).

Aha! i ten... tutok... (głośno) No, mocie atrament, co się zowie, lepsy do podpisanio, anizeli to cernidło... (wskazuje atrament)

Dalej, Filipie, jako wójt zacnijcie posiedzenie.

Filip (biorąc nalany kieliszek).

W to mi groj!... do porządku dziennego... Wase zdrowie, Symonie. (pije)

Szymon.

Bóg zapłać!...

Domin.

No, dalejze!... do porządku dziennego... to jest nalewojcie, kiedyście wypili...

Filip.

A tak, do porządku dziennego... (nalawszy, podaje Szymonowi) Trzymojciez.

Szymon.

O! mnie mozecie pominąć.

Filip.

Jakto? nie uzywocie?

Szymon (sucho).

Nie... Zreštą nie potom tu przysed, zeby pić...

Filip.

No tak, ale kielisecek nie zawadzi.
(kieliszek krąży dalej między radnymi)

Szymon.

Jak kiedy i jak komu. Pocóż tedy kozaliście się nom tutoj zebrać?

Filip.

Ano, pocózby? ino względem tej sprzedazy cegielni i kamieniołomów gromadzkich.

Wściubara.

Co to ten miemiec kupuje razem z gruntem i chałupą po Marku.

Marek (na stronie).

Boże, co słyszę!...

Filip.

Przeciezem wom juz o tem godoł... aleście nie chcieli słuchać.

Szymon.

Ha, jezelim wtedy nie chcioł słuchać, to pocóz mię teroz wzywocie, zeby mi to samo powiedzieć?

Cecylja (cicho do pisarza).

O! słysy pon, jak to kręci ten stary sknera!... akurat jak pies nad przełazem, co to przeleźć ni moze... a przeskocyć się boi ..

Pisarz (cicho).

Już ja mu pomogę do przeskoczenia!...

Filip.

E, kiedy to z wami nigdy do ładu trafić nie mozna.

Domin (do Filipa).

Ciekawym, poco te wszyćkie ceregiele... a od cegóżeście wójtem? wziąść, podpisać, przybić piecątką i koniec.

Filip.

No tak... ale przódzki rada nadzorca musi się na to zgodzić, a Symon nie chcą przystać.

Domin.

Oho! znom jo go dobrze! lotego, ze mu się udało ze mną, to wszyćkim na przekór staje... Ale co sie ta bedziecie prosić... od tego jest radnym, zeby podpisowoł, co potrza!... a nie,... to niech go tam siarcyste!... zwaliłbym z rady, obroł innego i basta!

Szymon (z boleścią).

I jo tę gadzinę na włosnych rękach wypiastowołem.

Filip.

No, skońcmy juz roz to wszyćko, bo skoda casu, wesele przyjdzie niezadługo, a zdałoby się trochę zabawić i rozerwać po tych kłopotach urzędowych.

Wściubara.

Dyć tu niewiele do roboty, ino podpisać i koniec.

Szymon.

A tak, to niewiele!... to prawie nic. I cóż to skodzi zmarnować cudzą własność, obedrzeć sieroty... to przecie dzisioj zwycajna rzec.... (stanowczo) Róbcie, co chcecie, ale jo się na to nie zgodzę i nie podpisę.

Razem
Pisarz.
Ach! poczekaj!...
Cecylja.
Mos ta tobie!...
Domin.
A niechby go siarcyste!...

Filip.

Ale nie bądźciez uparci!... widzicie sami, ze na gwołt pieniędzy potrza... ano i podotki nie popłacone, 20-tu zołnierzy stoi na zekucyi, a tu znikąd grosa wyrwać...

Przecie nom te fabryki zodnego dochodu nie niosą, bo nimo kto koło tego robić...

Domin.

A cóz to my miemcy, zebyśmy prowadzili jakieś tam cegielnie, albo fabryki? a djobli nom po tem!

Wściubara.

Pewnie... chłop na to, aby oroł, sioł, sadził, a nie śpekulowoł.

Domin.

Ze się Markowi podobało robić jakieś głupie wymysły, to my momy na to zwozać... a niechby go siarcyste!

Klóska.

Zreśtą, my się ta na tem nie rozumiemy, a miemiec się zawdy przydo we wsi, jesce u nos, co nima dziedzica.

Szymon.

Ludzie!... ludzie!... upamiętojcie sie, na Boga wos prosę... Niedość wom na tem, zeście pozwolili zmarnować skarby, zdobyte tyloletnią procą i poświęceniem zacnego człowieka.... jesce chcecie dzisiok do reśty wszyćko zniscyć i zaprzepaścić... Po pi-

janemu z kieliskiem w gorści chcecie podpisać zagładę sierotom... zgubę dzieciom wasego brata i dobrocyńcy!...

Pisarz.

A któż temu winien? jeżeli nie on sam?

Szymon.

On sam!... o mój Boze!...

Pisarz.

Tak jest, on sam! schował gdzieś tak swoje pieniądze, że ich znaleźć nie było można... więc...

Szymon.

I dobrze się stało, bobyś był i to przemarnotrawił...

Pisarz (wściekły).

Do kogóż to w ten sposób przemawiasz, ty zeschła skorupo!?

Szymon (w uniesieniu).

Do ciebie, wyrodku! zły duchu! przybłędo, przyjęty z litości pod strzechę ućciwych ludzi.

Pisarz (przyskakując).

A! nędzny starcze.

Marek (na stronie).

Boże!

Filip, Wściubara, Klóska (zasłaniając Szymona — razem).

Ani kroku!...

Pisarz (cofając się).

Co?

Szymon.

Uderz! uderz! bo moze ci jesce tego brakuje do swoich występków?

Filip.

Symonie! upamiętojcie się!

Pisarz (na stronie).

Tegom się nie spodziewał.

Domin.

A niechby go siarcyste!

Szymon.

I lo takiego człowieka chcecie pokrzywdzić siebie samego... Chcecie mu oddać dobytek sierot!

Filip.

I cóz my winni, ześmy zaufali?... a dy to on ucony.

Szymon.

A tak, ucony! i cóz z tej nauki? Włosnego ojca do zebroctwa przyprowadził, a zamiost być chlubą swojego stanu, z którego pochodzi... być przewodnikiem, doradcą, naucycielem swych prostacych braci... stoł się ich wrogiem!... ich znisceniem!

Filip, Klóska (razem).

Oj! prowda! prowda!

Wściubara.

Ponoć my źle robimy, ze słuchomy takiego człowieka.

Cecylja (cicho do pisarza).

A co? nie godołam panu, ze tak bedzie?

Pisarz (na stronie).

Co tu robić?

Filip.

Oj! źle! źle! ale cóz pocniema? radźciez, Symonie.

Szymon.

Trzeba donieść sądowi, zeby zjechała konwisyja, a moze potrafią i to wyśledzić, jakich sposobów uzył na biednego Kaźmie-

rza, zeby go omotać jak pająk, bo w tem wszyćkiem musi się kryć jakoś tajemnica, mająca stycność ze zniknięciem Marka...

Pisarz (na stronie).

Przeklęcie!...

Marek (na stronie).

Próżno się silę zrozumieć, co to wszystko znaczy.

Filip.

Ha no, róbcie jak uwozocie, ze bedzie nojlepiej. (radni rozmawiają z Szymonem)

Domin.

I cóz to?... nie znojdziemy juz na niego zodnego sposobu?

Pisarz (na stronie).

Trzeba, trzeba! koniecznie trzeba! ale co?... (jakby uderzony myślą) Ha!

Domin.

Co?

Pisarz (namyśla się).

Tak! tak! nie można inaczej! (z tłumioną wściekłością) Ha! poczekaj!

Domin.

Co takiego?

Pisarz (żywo).

Słuchaj, dziś wieczór o zachodzie słońca pójdzie na skały zbierać ziele. (ze znaczeniem) Rozumiesz!

Domin.

No, jo wiem, ze pudzie, — ale cóz z tego?

Pisarz.

I ty się pytasz?,.. nie pojmujesz?... (dobitnie) Tam pełno parowów, przepaści... żywa dusza nie będzie wiedziała, jak się to stało.

Domin (pojąwszy).

A! bodaj cie siarcyste! ze mi to od razu do głowy nie przysło.

Pisarz.

A więc rozumiesz?

Domin.

Doskonale!

Pisarz.

Tylko milczenie!

Domin.

No, to się rozumie!

Pisarz.

A teraz zabierz ze sobą wójta i radnych, częstuj, ile tylko zechcą, żeby do

wieczora na nogach utrzymać się nie mogli, sam zaś bądź ostrożny... a o zachodzie słońca wymkniesz się cichaczem i przyjdziesz na Czartowską Ławę! pamiętaj! Bądź zdrów! (odchodzi do domu Marka)

Domin.

Do zobocenio!

Marek (na stronie).

Co te złe duchy szeptali do siebie?

Domin (do radnych).

No! kiedy juz po radzie, to chodźma do komory pokrzepić się trochę przed weselem. (cicho do Cecylji) Zabierzcie ich do izby.

Cecylja (do radnych).

Chodźcie na przekąskę, zanim się druchny zejdą.

Filip.

Ej, kiedy bo...

Domin.

Jakto? odmówilibyście mnie? młodemu panu?

Wściubara.

Juzci to przecie nie wypodo wzgardzić, kiedy prosą.

Filip.

A no! to chodźma! pódźcie i wy, Symonie!

Szymon.

Bóg zapłać! jo nie pudę. Cyzbym się mógł weselić łzami biednej dziewcyny?

Cecylja.

E! co ta bedziecie na niego zwozali?... Kiedy nie chce, to się obejdzie bez niego... chodźcie! chodźcie! (Cecylja i radni wchodzą do chaty na lewo)

Domin (idąc za niemi i grożąc Szymonowi, do siebie).

Pocekoj, stary dziadu! rozmówimy my się ze sobą... (wychodzi)

SCENA VIII.

Szymon — Marek.

Szymon.

Biedno! biedno Teklunia! jakiez ją zycie ceko z tym cłowiekiem! O! niech Bóg miłosierny ulituje się jej doli. (zwraca się do odejścia)

(Melodram nr. 16)

Marek (powstał, ogląda się wokoło i woła stłumionym głosem).

Szymonie! (Szymon zatrzymuje się) Szymonie!

Szymon (zdumiony).

Kto to? smolorz!...

Marek (zbliżając się).

Szymonie! to ja!

Szymon (z krzykiem).

Jezus! Maryjo! Marek! Marek!

Marek.

Cicho! na Boga, cicho!

Szymon (z radością).

Marek! więc ty zyjes! zyjes! (ze łzami) Boze przedwiecny! to cud! to łaska Twoja, Panie nad Pany. (wyciąga ręce) Bracie mój! przyjocielu kochany!

Marek.

Druhu serdeczny! (rzucają się w objęcia)

Szymon (z rękami wspartemi na ramionach wpatruje się w jego twarz).

Więc to ty? ty, nas dobrocyńco! nas zbawco! A, Matko cudowna! jo jesce ocom moim nie wierzę! (z dziecięcą radością) Ale! nie! to prowda! prowda! o, serce, nie pęknij z radości!

Marek.

No! no! uspokój się, mój stary, bo nas mogą zobaczyć, a nie trzeba... rozumiesz, nie trzeba jeszcze, ażeby mnie poznano.

Szymon.

A!. tak! tak! ale cóz się z tobą zrobiło? gdzieś przebywoł? myśmy cię tu juz downo opłakali.

Marek (z goryczą).

Opłakali!... płakałeś ty, poczciwy Szymonie.. płakał pewnie Staś, Zosia, Teklusia... wszyscy, ale nie on, nie!

Szymon,

A Kaźmierz? a twój syn?

Marek (z boleścią).

Mój syn!...

Szymon.

On! co tyle wycierpioł. O, Jezu drogi, co to za radość bedzie dlo niego, kiedy cię ujrzy!

Marek (z rozpaczą).

O, dosyć! dosyć! miej litość nademną!

Szymon (chwytając go za rękę).

Co to? ty się chwiejes?... drzys na całem ciele?... co ci to?

Marek (starając się panować nad sobą).

Nic! nic! słaby jestem i zmęczony... wczoraj dopiero z łóżka się podniosłem po długiej chorobie.

Szymon.

Więc słabowałeś? a my nic o tem nie wiedzieli... mieliśmy cię za umarłego, sądząc, żeś wpodł w przepaść z Cartowskiej Ławy i zabił się...

Marek (z goryczą).

A tak!... po mistrzowsku było obmyślane!... Nie brakło jednego pozoru, żeby was utwierdzić w tem przypuszczeniu... Powinienem się cieszyć, ze mi Bóg dał takiego syna... nieprawdaż, mój Szymonie, powinienem być szczęśliwy z takiej pociechy mojej starości?...

Szymon (zdumiony).

Co to jest? na Boga!... co znacy ta mowa?... tyś w obłędzie...

Marek (z boleścią).

Ha! i cóżby w tem było dziwnego?... czułbym się nawet stokroć szczęśliwszy, gdybym zatracił pamięć na zawsze...

Szymon.

Bracie mój drogi! przyjocielu!... ty cierpis?...

Marek.

O! nad wszelkie siły człowieka!

Szymon (otwierając ramiona).

A więc pójdź tu, moje drogie dziecię, wesprzyj swą głowę na tych starych piersiach... podziel się cierpieniem i ulzyj boleści...

Marek (z boleścią).

Mamże ci powiedzieć, co mi dolega?... chcesz, bym ci wyjawił swój wstyd, swoją hańbę?... chcesz, bym rwał moje serce, jak nędzny szmat i kalał je w oczach całego świata?!...

Szymon.

Boze mój, Boze, co to wszyćko znacy?...

Marek (po chwili walki wewnętrznej).

A więc dobrze... powiem ci!... ty jeden dowiesz się o wszystkiem, ale pod świętem słowem przysięgi, że nikomu o tem nie wspomnisz.

Szymon.

Przysięgom!

Marek.

Słuchaj więc... opowiem ci rzeczy, na które oburzy się całe twoje istnienie... włos biały dębem powstanie, krew w żyłach zetnie... i zapłaczesz, starcze, żeś usłyszał wyrok potępienia, rzucony przez ojca na głowę swojego syna... na swoje własne dziecko...

Szymon (zdumiony).

Jezu cudowny!... twój syn Kaźmierz?...

Marek.

Jest przyczyną mojego zniknięcia, mojej pozornej śmierci...

Szymon.

Na Boga, to być nie moze!...

Marek.

A jednak tak jest. Posłuchaj tylko. W okropny ów wieczór, gdym miał iść do Osikowa, zamknąłem Kazimierza na strychu mojej chaty, chcąc mu tem przeszkodzić, by się nie widział z tą nędznicą Magdą, przy rwaniu konopi.

Szymon.

Tak, tak, przypominom sobie.

Marek.

W chwili odejścia spostrzegłem go wykradającego się przez dymnik w strzesze. Schwycony na gorącym uczynku, zamiast się upokorzyć, przeprosić i wrócić do izby, oparł się stanowczo mojej woli. Rozgniewany schwyciłem go za ręce, by wepchnąć do izby... lecz on wyrwał się gwałtownie, pociągając mnie za sobą tak silnie, żem upadł na ziemię, uderzając skronią o cembrowinę tej studni... przez co straciłem przytomność.

Szymon.

Boze! co za niescęście!... ale to tylko wypodek, tylko wypodek!

Marek.

Pozwól mi mówić. Gdym przyszedł do siebie, leżałem u spodu Czartowskiej Ławy!

Szymon (z krzykiem).

Ach!...

Marek.

Ach!... pojmujesz nareszcie... Sądząc mnie zabitym, zaniósł ciało na dno parowu, ażeby uniknąć odpowiedzialności... (z bólem) Nieprawdaż, że powinienem być dumnym z takiego syna?...

Szymon.

Boze przedwiecny! byłozby to prowdą?

Marek.

Gdym zebrał zmysły, oniemiały z boleści przybiegłem do wsi... dokoła panowała zupełna cisza... w chatce mojej było spokojnie, jak gdyby nigdy nieszczęście do niej nie zawitało, jak gdyby anioł dobroci czuwał nad snem wyrodnego dziecięcia. Na widok ten brakło mi odwagi wstąpić do wnętrza,.. lękałem się spojrzeć w twarz syna, by nie znaleźć w niej szatana... Wtem zdala doszły mnie śpiewy dziatek naszej wioski, powracających od konopi... (z bólem) naszych dziatek, mój Szymonie, któreśmy wypieścili, nosili na rękach, otulali ich piersi... a to tylko na to, żeby, gdy podrosną, miały siłę tarzać i poniewierać po ziemi siwe nasze włosy!... Prawda, mój Szymonie! Bóg nam dał dobre dzieci. (zakrywa twarz rękami z głośnym płaczem) Ha! ha!...

Szymon.

Matko jedyna! jo rozum tracę!

Marek.

Te wesołe śpiewy i promienie rannej jutrzenki paliły mi głowę, wstydziłem się jasnego nieba za moje dziecko... Zerwałem

się i biegłem jak szalony, jak dziki zwierz do skał, do lasu... do ciemnych parowów, by ukryć swoją hańbę, żal i wstyd... by nie widzieć wesołych twarzy, któreby urągały mojej nędzy!... mojej sromocie!.. Pędząc tak bez celu, nie wiedząc kiedy, dobiegłem do wrót leśniczówki w głębi jaru i padłem na pół nieżywy.

Szymon.

W Mokrzyskach?..

Marek.

Tak jest... Poczciwy leśniczy przyjął mnie gościnnie pod swoją strzechę, nie dociekając przyczyny, dlaczego opuściłem swój dom, pielęgnował troskliwie w długiej chorobie, aż do dnia wczorajszego...

Szymon.

I cemuz nie doniosłeś nom, ze zyjes? ześ chory?

Marek.

Miałżem oskarżyć syna? wyjawić światu jego zbrodnię?.., potępić wobec wszystkich dziecię, które ukochałem?...

Szymon.

Prowda! prowda!...

Marek (chwytając go za rękę).

Wśród bezsennych nocy, trawiony straszną gorączką, żyłem jedynie myślą o was... a jedno wspomnienie mego dziecięcia przywodziło mnie do zmysłów i dawało nadzieję odzyskania zdrowia.

Szymon.

O! Bóg jest wielki i cudowny, ze nom ciebie powrócił... Ty jeden tylko zdołos położyć koniec tym niescęściom... ty jeden potrafis zwalcyć tego pisorza, co jak zły duch niscy i pustosy całą nasą wioskę.

Marek.

Pisarz?

Szymon.

Ten saton owładnął tu wszyćkiemi, zagarnął cały twój majątek i gromadzką włosność... Kto wie, co to wszyćko znacy... moze syn twój nie jest tak winnym, jak myślis...

Marek.

Jakto?

Szymon.

Moze to sprowka pisorza, ta Cartowsko Ława?

Marek.

Stwórco przedwieczny! gdyby to było prawdą! gdyby mój syn był niewinny! O, Szymonie! mój Szymonie! jakażby to radość i szczęście było dla mnie! (po chwili myślenia) Ależ tak, tak, ha! teraz pojmuję to wszystko, co się tu przed chwilą działo... teraz rozumiem, co znaczyła ta mowa Dominika o mojem zniknięciu. Ale co począć? jakim sposobem dowiedzieć się prawdy, nie budząc ich podejrzeń?

(w orkiestrze odzywa się piano melodram nr. 17.)

Szymon.

O! to przebiegłe lisy! scególnie pisorz! ale musimy dojść wszyćkiego. (słysząc muzykę) Ale co to jest? jakieś gwary. (patrząc w głąb na lewo, przestraszony) Ha! to druchny i całe wesele idzie tutoj... ty ni mozes tu pozostać. (żywo) Uciekoj, uciekoj, bo mogą cię poznać i wszyćko przepadnie.

Marek.

Lecz w takim razie jakżeż zdołam?... gdzież się zobaczymy, ażeby...

Szymon.

Azeby się naradzić, nie będąc widziani? (myśli) Słuchoj, o zachodzie słońca bądź

na Cartowskiej Ławie... jo tam pudę na zbieranie ziela... tam pomyślimy, co dalej robić, a moze nos tez Pon Jezus oświeci i natchnie myślą scęśliwą, jak momy postąpić. A teroz oddol się, bo juz nadchodzą.

M a r e k (podając mu rękę, wdziewa kapelusz i chwyta taczki).

A ona, Szymonie, a ona! pierwej jeszcze trzeba ocalić to nieszczęśliwe dziewczę.

S z y m o n.

Teklunię?

M a r e k.

Tak jest — nie możemy przecież dopuścić do ślubu z tym nędznikiem!

S z y m o n.

Prowda, trzeba koniecnie temu przeskodzić, ale jak? (gwar w głębi na lewo) Słysys? juz nadchodzą! uciekoj uciekoj co prędzej, zeby cię nie poznali!

M a r e k.

A ty ją ocal! ocal ją, Szymonie, na Boga cię proszę. (wesele wchodzi — Marek, przybierając postawę smolarza — woła) Smoły! smoły! smoły! (wyjeżdża na lewo poza wchodzącymi, muzyka gra do końca aktu)

SCENA IX.

Szymon — głębią weszli: *Wojciech — Katarzyna — Wojtek — Hanka — Salka — Marysia — Małgosia — Muzykanci — Dziewczęta — Parobcy* — z lewej: *Cecylja — Domin — Filip — Wściubara — Klóska — Tekla* — potem *Grześ i Staś.*

W o j t e k.

Cie! smolorz, a cegoz on odjezdzo? — mógłby przecie ostać na weselu.

C e c y l j a (wychodząc z chaty).

No, przecie roz przychodzicie! (do siebie zobaczywszy Szymona) A ten stary dziod cego tu jesce chce? (głośno woła do chaty) Hej! Domin! Tekla! a spiesciez się, bo juz wesele przysło; trzeba się zwijać do kościoła. (Domin, Filip, Klóska i Wściubara wychodzą z chaty)

W o j t e k.

I to jak nojprędzej, bo spotkołem hań organistę, który mi powiedzioł, ze wikary juz ceko w zakrystyi.

C e c y l j a (woła szorstko).

No... Tekla!...cy się ty wyguzdros dzisiok?... (Tekla wchodzi płacząc, Cecylja cicho do niej) A przestoń mi roz z tem beceniem, bo jaze wstyd, co sobie ludzie bedą myśleli.

Szymon (do siebie).

Co tu robić? Ni mogę jej jesce powiedzieć, ze Marek zyje, a tak...

Tekla (zobaczywszy Szymona, biegnie doń).

Dziaduniu drogi...

Szymon (tuląc ją).

Dziecię moje! (cicho i żywo) Tekluniu, posłuchoj, na wszyćkie świętości cię prosę.

Cecylja (przerywa, odciągając Teklę za rękę).

Dosyć juz tego! tu nima casu na jakieś głupstwa i cułości... (do drużbów) A nuze, druzby, róbcie, co do wos nolezy!...

Szymon (do siebie).

Boze mój, Boze! co jo tu teroz zrobię?

Wojtek (biorąc z drugim drużbą pod rękę Teklę, która jakby bezwładna, daje sobą powodować).

Dalej, ustowiojcie się w pory i hajda do ślubu!

Wszyscy.

Do ślubu, do ślubu! (druchny biorą Domina)

Wojtek.

Nuze, skrzypki, znijcie od ucha... hejze naprzód z basami. (śpiewa)

Ty, basisto, dobrze basuj,
Zarobis se babie na sól.

Wszyscy (wykrzykując).

Hu! ha! (ustawiają się w pary, zwracając do głębi)

Grześ (za sceną w głębi śpiewa).

Ty, basisto, źle basujes,
Co, zarobis, to przepijes!

(Ukazują się w głębi Grześ i Staś w mundurach ułańskich jako urlopnicy. Grześ ma zawiązane oko i czoło czarną przepaską.)

Wszyscy.

Urlopnicy! urlopnicy!

Grześ (śpiewa).

Urlopnicy, urlopnicy
Nie przychodzą po próżnicy...

Wszyscy.

Grześ! Grześ!

Grześ (idąc na przód sceny).

Ho! ho! jak się mocie? A tu, jak widzę, wesele? w to mi groj! (do Stasia, który się zatrzymał na widok wesela) Stachu, ą chodź-ze tu! cego tam stois? (muzyka przechodzi w melodram nr. 17)

Wszyscy.

Staś! Staś! (rozstępują się tak, żeby środek był wolny i Stasia było widać w głębi)

Tekla (która była jakby bezprzytomna, zrywa się, wybiegając na środek z krzykiem).

Boze! Stasiu mój, Stasiu!...

Staś (biegnie do niej).

Tekluniu moja! (uściski)

Domin.

A bodaj go siarcyste!

Staś (z trwogą).

Ale co znacy to wesele? kto się tu zeni?

Cecylja.

A tobie co do tego? kto tu śmie wtrącać się w nieswoje rzecy? Dalej, Domin! nuze, druzbowie, cego się zatrzymujecie? Do kościoła! do kościoła!

Domin (odtrącając Stasia).

Z drogi, puscoj ją, bo ona zaroz bedzie moja.

Tekla.

Nigdy w zyciu! Stasio mój powrócił! Zabijcie mnie, jeśli chcecie, ale do ślubu nie pudę. (rzuca się Stasiowi na szyję)

Domin.

A bodaj to siarcyste!

Cecylja.

Ach! udusę się ze złości!... Ale pocekoj! dom jo tobie!...

Szymon (wznosząc ręce do góry).

Dzięki ci, Boze! ześ odjął zagniewaną rękę od Twego ludu!

(Zasłona spada)

Akt IV.

Skały wysunięte naprzód blisko do proscenium. Z prawej i lewej na przedzie sceny w pierwszej kulisie wchody przez pagórki. Z lewej od przodu niższe skały, tak, żeby poza niemi przez wierzchy widać było parów. W środku sceny kręta ścieżka, prowadząca na szczyt. Ze środka szczytów, ku lewej w ostatnią kulisę na ukos, jest stroma skała, sięgająca paludamentów. Pod nią, pod parowem, widocznym przez wierzchy skał przodowych, prowadzi ścieżka, naśladująca „Czartowską Ławę". Na prawo ze szczytów także wyjście za kulisy, niby po grzbiecie gór. Nota bene wierzch skał środkowych powinien być obszerny, gdyż tam odbywają się sceny. Tylna dekoracja — las.

SCENA I.

Katarzyna — Hanka — Małgosia — Salusia — Wojtek — Marysia — Dziewczęta — Parobcy i Grześ.

(Dziewczęta — na przodzie sceny — układają w pęki ziele, parobcy siedzą, malowniczo rozrzuceni, po skałach.)

Chór nr. 18.

Dziewczęta.

Ślicne nase góry, sioła
Słyną w kraj daleki,

Wonne kwiaty, cudne zioła
Na cary i leki.

Parobcy (echo).
Wonne kwiaty, cudne zioła
Na cary i leki!

Dziewczęta.
Zerwiem kwiecia na uroki,
Uzyjem casami;
Toz to będą na wyskoki
Biedz chłopcy za nami.

Parobcy.
Toz to będą na wyskoki
Biedz chłopcy za wami!

Dziewczęta.
Kuzdej w warkocu!

Parobcy.
Kuzdej w warkocu!

Dziewczęta.
Lubcyk zawiśnie!

Parobcy.
Lubcyk zawiśnie!

Dziewczęta.
I cary z ocu
Na chłopca ciśnie.

Parobcy.
I cary z ocu
Na chłopca ciśnie!

Dziewczęta.
Hop! hop! hop! hop!

Parobcy.
Hop! hop! hop! hop!

Razem.
Kuzdej w warkocu
Lubcyk zawiśnie
I cary z ocu
Na chłopca ciśnie.
Hop! hop! hop! hop!... (proza)

Katarzyna (do dziewcząt, wskazując parobków).
No, patrzcie się, dziewuchy, te leniuchy, zamiost zbiérać ziele, to się porozlegali jak barany po skałach. (do parobków) A nuze, próżnioki, ruście się roz i poprzynoście co który zerwoł.

Dziewczęta.
Dalej, chłopoki, który pierwej na dół doleci.

Parobcy (zrywają się, zbiegając na dół).
Hejze ha!

Wojtek (na dole).
Hola! stójcie! niech zoden nie oddaje ziela, dopóki nie dostanie całuska za to, ześmy się musieli spinać po górach.

Dziewczęta.

Ho! ho! patrzojcie go jaki mądry!

Parobcy.

Tak! tak! całusa abo nic ze ziela!

Katarzyna.

Zobocymy, cy bedzie za co! (idzie do parobków, ogląda pęki ziół, które każdy z nich trzyma) Pokozcie ino, (ogląda) sejec, wnątrznik, lebiutka, trojeś, jaskier, lubcyk.

Wojtek (śmiejąc się).

He! he! lubcyk!... mnie się zdaje, ze tobie juz i takie ziele nic nie pomoze!

Katarzyna (nie zważając).

No, wszyćko jest, co potrza!... (do dziewcząt) Zasłuzyli na całusy!

Parobcy (zbliżają się każdy do swojej).

Oj! to! to!.!. no, dalej dziewuchy!

Dziewczęta (wzdragają się).

E-e-e...

Wojtek.

Śmiało, chłopcy! śmiało! bo one ino tak się drozą... ale kuzdo rada, zeby je całować.

(każdy parobek obejmuje dziewkę swoją i całuje, oddając jej zioła)

Hanka.

A to niezbyte chłopy, zaroz ino całować i całować!

Wojtek.

Kiedy się przymowios, to ci jesce poprawię, (całuje ją) mos! mos!

Walek.

Dej-ze pokój, bo Kaśce zazdrość patrzyć na to... jaze ślinkę łyko... a musi biedocka pościć.

Wszyscy (śmieją się).

Ha! ha! prowda!... lo Kaśki brakło chłopca!

Wojtek (ogląda się).

A Grześ!

Wszyscy.

A juźci, Grześ! Grześ!

Grześ (który się wspina na skały nad Czartowską Ławę, zrywając ziele).

Co takiego?

Wojtek.

Chodź ino, haw ino raźno!

Grześ.

Zaroz! zaroz!... tylko pierwej chcę zerwać jakieś zielę, co tutok rośnie... ino ze

trochę wysoko, (wspina się na stromą skałę i zrywa) Aha, mom cię nareście!... (schodzi na dół ze szczytów)

Hanka.

Ciekawom bardzo, co on tam wynaloz.

Salusia,

Pewnie wrotyc!

Małgosia.

Abo heb!

Marysia.

A moze lusopek.

Katarzyna.

Ale skąd... przecie te ziela, o których godocie, ino na mocarach rosną, i jak kogo na wnątrzu boli... to je się uwarzone pije... A Grześ znaloz pewnie suchywierzch, co go się na rany przykłado.

Grześ (przychodzi na przód sceny z pękiem ziół).

No, jezdem do befelu.. cego chcecie?

Wojtek.

Ano ciekawiśmy, lo której nazbierołeś tyla zielów.

Grześ.

Lo której?... ano, któro zechce!... (wesoło) Jako kawaler, nolezący do rezerwy, nie

zaś do cynnej słuzby mogę ofiarować kuzdej, któro chce, zebym się pod jej śtandar zaciągnął.

Katarzyna (z przymileniem).

Wszyćkie tu mają swoich... ino jo jedna...

Grześ.

Tam do bisa! pod takim jednorołem, to się powinny lata słuzby pocwórnie rachować, jak podcas wojny... ale trudno, zołmierz na to nie pyto... co na placu, to nieprzyjociel!... (oddaje jej zioła) Mos!...

Wszyscy.

Ha! ha! ha! zuch z Grzesia! zuch!

Wojtek.

No, a teroz całus!

Grześ.

Jaki całus?

Wojtek.

Musis teroz Kachnę pocałować.

Grześ.

A niechze Bóg broni! a to na — co?

Wszyscy.

Taki zwycoj, pocałuj! pocałuj!

Grześ (na stronie).

A zeby cię licho porwało... tom się dopiero załapoł, wolołbym iść na 48 godzin do profosa, anizeli taką starą redutę śturmować... (głośno) I to koniecnie?

Wojtek.

To się rozumie! zwycoj musi być zwycajem!

Grześ.

Jaz mi skóra ścierpła!... gorzej anizeli przed bitwą pod Tuzlą w Sercogoliźnie... Ej! co tam!... kuraź!... Dalej na bagnety!... (całuje Katarzynę)

Wszyscy.

Wiwat!

Grześ.

Brrr! teroz mi tak jakoś, jak zeby mi kartac pod nosem pęknął... zebym był przewidzioł ten całus, byłbym się pozwolił na wojnie tak zranić... zebym mioł obydwa ocy zawiązane.

Dziewczęta.

A cy bardzo jezdeś ranny?

Grześ.

E, głupstwo! ino tak, o!... (wskazuje palcem od wierzchu czoła po ucho) Ciachnięto mnie tam

trochę taką krzywą pałasiną jak sierpem i więcej nic!

Katarzyna.

Mój Boze! ze się tyz to jesce ludzie tak między sobą mordują... kieby jakie zwierzoki...

Wojtek (ciekawie).

I jakze to tam było na tej wojnie?

Grześ.

Ha no, jakzeby!... Mieliśmy bitwę z Sercogoljanami i Bosokami. Nasa lifanteryjo ni mogła się posuwać, bo było ogromne stajanie cebuli... i co ino który chcioł iść naprzód, to się poślizgowoł i przewrocoł na ziemię, jak snopek od wiatru... więc nasa škadrona chciała objechać na tyły nieprzyjociela... zeby go spędzić ze stanowiska, aleśmy spotkali oddział Sercogoljanów, którzy do nos śturm przypuścili!... wtarantowali ci nos do kukurydzy i bywoj zdrów!... konie ni mogły przejechać, bo im badyle nogi poplątały.

Dziewczęta.

O, rany!

Parobcy (ciekawie).

No i cóz? i cóz?

Grześ.

Ha no, cóz!... pozłaziliśmy ze siodeł i dawaj rąbać pałasami na kapustę... wtedy jeden Sercogoljon zawadził swoim sierpem o moje coło i trochę je zadrosnął... ale tyz za to jakiem go płotnął po głowie, to tak, jak zeby go na dwoje rozłupoł.

Małgosia.

Alez to dopiero musi być strach podcas bitwy?

Grześ.

E! co za strach... z pocątku ta trochę człowieka frybra trzęsie!... ale potem... he! he! jo nawet byłem kontent, bom se mógł śpiewać, siła mi się ino podobało...

Wszyscy (zdumieni).

Jakto?

Grześ.

A bo widzicie, jakiem narukowoł rekrutem, to mi się okrutnie przykzyło i miołem zawse ochotę śpiewać ze złości...

Wszyscy (śmiejąc się).

Prowda! tyś tego zwycajny.

Grześ.

A tu ani mru! mru! nie wolno gęby otworzyć. Ach! zebyście wiedzieli, co jo

się za to w kozie nasiedzioł... Roz, pamiętom, wyjechaliśmy harcować... gdym hasoł na koniu, przypomniały mi się nase pola i zacałem śpiewać, a tu przypodo kaprol i krzycy!... świajgen! jo myślołem, ze on mi godo świagier i dawoj śpiewać do niego.

(śpiewa)

Świagierku! świagierku! nie bij-ze mi siostry,
Bo jo mom na ciebie toporecek ostry.

No, i za to siedziołem seść dni krumgeślosen.

Wojtek.

Niby w kozie?

Grześ.

Tak!... ale tyz za to, jak nos zmobilowano, tom się dar bez caluśką drogę, kiedyśma jechali na tę wojnę, a nic mi nie mówili... nawet miołem belobung za to, a po skończonej wojnie puścili nos na urlop.

SCENA II.

Katarzyna — Hanka — Małgosia — Salusia — Wojtek — Marysia — Dziewczęta — Parobcy — Grześ — Tekla.

Tekla (wchodzi ubrana jak w akcie III — wesoła).

Ach! przecie wos znajduję.

Wszyscy.

Teklusia! Teklusia!

Hanka.

Ubrano jesce jakby do ślubu!

Tekla.

Ni miałam casu się przebrać, bo macocha rózne dziwy wyprowiała, nawet mię do chałupy nie chciała puścić.

Wojtek.

No, musi ona się dopiero sierdzić, ze się ślub zerwoł.

Tekla.

I to tak, ze az zachorowała ze złości...

Parobcy.

Dobrze tak babie.

Dziewczęta.

To nie baba, ale Lucyper!

Tekla.

Teroz jezdem juz spokojno... pójdę za Stasia i tatula weźniemy do siebie, jakby macocha mu dokucała.

Hanka.

A kadyz Stach, ze nie przysedł z tobą?

Tekla.

Ostoł przy matuli, zeby się nią nacieśyć, bo jej przecie prawie rok nie widzioł...

biedocka starowina az płace z radości... a tak go pieści i całuje, ze mało nie udusi z uciechy.

Wojtek.

Musiało się i tobie sporo dostać całusów, kiedy ci się tak ocka śmieją; downo nie widzieliśmy cię takiej wesołej.

Tekla.

O! bo tyz downo nie byłam tak scęśliwą jak teroz. Tyla utropień, co jo się naznosiła od macochy, a ni mioł mnie kto pociesyć i pozałować choćby słóweckiem. Całem mojem scęściem była ta chwila, gdym się wyrwała niewidziana od nikogo i przysła tu na Cartowską Ławę, zeby samiutka, zdala od ludzi, myśleć i dumać o moim Stasiu....

Wojtek.

Ho! ho! jo cię tu cęsto widywołem, tak samo, jak i Kaźmierza.

Tekla (rzewnie).

Nieroz siadywałam długo, bardzo długo hań nad przepaścią i słuchała smeru rzeki, co spodo ze skały... a to semranie tak mnie jakoś dziwnie usposobiało, zebym go była tak ciągle słuchała i słuchała... i tak mi

jakoś tęskno robiło się na sercu... tak jakoś dziwnie, ze radabym się była rzucić na dno przepaści... azeby juz więcej nie cierpić.

Katarzyna.

Bez to tyz to miejsce nazywo się Cartowska Ława, bo tutoj złe kusi.

Tekla.

To tyz cując się taką niescęśliwą, przychodziła mi na myśl ta piosnecka o Cartowskiej Ławie, a kiedym ją zaśpiewała, cułam się pociesoną i wrocałam do domu.

Dziewczęta.

Zaśpiewoj nom ją teroz, Tekluniu, zaśpiewoj!

Tekla:

Z ochotą!

Śpiew nr. 19.

BALLADA.

Stała chatecka za ciemnym borem,
Ukryta w listkach z powoi,
A przez te góry codzień wiecorem
Biegł Janek do swej dziewoi.
Bo w tym powoju
Zyła dziewcyna,
Jak rybka w zdroju,
Ślicna Halina.

Lec drzoł biedocek, bo jej macocha
Cułym go wzrokiem otaca
I sepce z cicha, ze sama kocha,
Za swego męza przeznaca.
Płace swej doli,
Ze się zaleca,
W miłość niewoli
Ta upiorzyca.
Roz posły w góry matka z dziewcyną,
By zbierać cudowne zioła,
Gdzie nad skalistą, wąską ściezyną
Tak do Haliny zawoła:
Widzis to ziele
W złotej koronie;
Scęścia ma wiele,
Kto sięgnie po nie.
Schyla się dziewcę i w przepaść sięga,
Wtem ją potrąca ta źmija,
Lec razem z chmury cerwona wstęga
Z grzmotem macochę zabija!

(z ostatnim akordem przegrywki słychać grzmot oddalony)

Hanka.

Słysycie wy, jak grzmi? — będzie zapewne burza...

Marysia.

A my jesce ze zielem nie gotowe.

Katarzyna.

Chodźma na zieloną łąckę ponad strugę... tam pełno mocarowego ziela... a jakby nos

dysc napod, to się schowomy do sopy Gruźloka i pocekomy, az burza przeleci...

Wszyscy.

Chodźma, chodźma!

Wojtek.

No, chłopcy! kuzdy do swojej... grzecznie!... pieknie... za rącki prowadzić, zeby któro na kamyku nie utkła!...

Katarzyna (ironicznie).

O!... niby to... grzecnie!... pięknie!... Ho! ho! znom jo wos!... dopóki nie po ślubie, to kuzdy (naśladując troskliwość) ostróżnie z nózką, bo kamycek... a jak ino od ołtorza wraco, to zaroz... A cyś ślepo skapa, ze nie widzis kamienia? (wszyscy się śmieją)

Wojtek.

No, no, o ciebie nima strachu!... ty się juz nie potknies, to tyz pod twoją strozą Grześ będzie bezpiecny, chocioz o jednym oku. No, dalej porami!...

Grześ.

Idźcie! idźcie przodem, a jo w aryjergardzie razem z tą zagwozdzoną harmatą!... (bierze pod rękę Katarzynę — wszyscy wychodzą parami na prawo ze śmiechem)

SCENA III.

Zosia — Kazimierz.

(Po małej chwili wchodzą z lewej. — Zosia rozpromieniona i wesoła. — Kazimierz smutny i zadumany.)

Zosia.

Juz wsyscy odeśli.

Kazimierz.

Musą być niedaleko, bo jesce słychać głosy i śpiewanie.

Zosia.

Pójdźma prędziutko, to ich dogonimy.

Kazimierz.

Poleć sama, Zosiu... jo pójdę tam w góry.

Zosia (zasmucona).

Jakto? nie chces iść ze mną?

Kazimierz (z wahaniem).

Widzis... bo... bo... jo chcę znaleźć Symona, mom mu coś bardzo woznego powiedzieć... a po drodze nazbierom ci ziela po skałach.

Zosia.

A to dobrze!... bo jo dzisioj z radości, ze nas Staś powrócił, do cna zapomniała, ze to dziś Ś-ty Zuzanny i opóźniłam się

na rwanie. Wszyćkie dziewuchy musą juz mieć skalne ziela, kiedy posły na zieloną łąckę. (błyskawica) Ach! jak się ślicnie łysko!

Kazimierz (troskliwie).

Cy się bois?...

Zosia.

O! nie! przy tobie nicego się nie boję, bo jestem scęśliwo; tak mi jakoś błogo, tak dobrze, jak jesce nigdy nie bywało... (tuląc się do niego) O, słysys jak ślicnie zdaleka hucy ten las... jakby jako muzyka dziwno i cudowno... jakby organy podcas podniesienia w nasym kościółku... ale co to?... ty płaces?... Mos jakieś strapienie, a nie chces mi powiedzieć... no, nie płac... nie płac, uspokój się, (zdaleka słychać dzwony na Anioł Pański. — Melodram nr. 20) ot, dzwonią na Anioł Pański, klęknijmy tu pod niebem, a nase gorące modły przebiją te gęste chmury i polecą do stóp Jezusa.

(klękają oboje i modlą się w milczeniu)

Kazimierz

(po krótkiej, cichej modlitwie, jakby mimowoli, zaczyna (głośno się modlić).

O, słodki Jezu! sędzio litośny!... nie odtrącaj mojej modlitwy! Tatulu drogi! przeboc mi, przeboc i wstow się za mną!

litości, tatulu! litości i przebocenia! (pogrąża się w modlitwie, schylając głowę)

Zosia (wstaje zdumiona).

Kaźmierku! co tobie? cemu ty się tak dziwnie modlis?...

Kazimier (z boleścią).

Bo w mojej dusy tak ciemno i strasno, jak w tych obłokach nad nasemi głowami.

Zosia.

A widzis! ukrywos coś przedemną? (z obawą) moze ty mnie nie kochos... moześ ino przez litość tak powiedzioł, chcąc mię pociesyć w tej doli sierocej.

Kazimierz.

O! nie, Zosiu! kochom cię bardziej niz słonko! gwiozdy! niz zycie moje! a dziś, gdym się dowiedzioł, ze i ty mnie sprzyjos... doznołem takiej radości, jakbym się obudził ze snu okrutnego i poznołem dobrze, com zrobić powinien.

Zosia.

A więc mi powiedz, co ci tak dolego.

Kazimierz.

O! nie jo, nie jo! ale Symon ci to powie; od niego dowies się o wszyćkiem,

ale mi przyrzeknij, ze nie bedzies mną pogordzać.

Z o s i a.

Ty chyba naprowdę rozum tracis... no, przyjdź do siebie... wspomnij sobie na Józia, twojego braciska, który cię tak kocho.

K a z i m i e r z.

Józio! biedny Józio! co się z nim stanie! Zosiu, tobie go oddaję; kochojcie go razem ze Stasiem i nauccie, azeby mi przebocył swoje sieroctwo.

Z o s i a.

O! Boze! mój Boze! co to wszyćko znacy?

K a z i m i e r z.

To znacy, ze wos opuscę, ze musimy się rozłącyć.

Z o s i a.

Jezu cudowny! a toz dlacego?

K a z i m i e r z.

Musę, Zosiu! musę! O! jezdem biedny! bardzo biedny!

Z o s i a (z płaczem).

Kaźmierku drogi!

K a z i m i e r z.

Chciołbym ci ostawić jakąś pamiątkę, ale ni mom nic!... nic!... uzbierom tylko kwiotków po skałach i zrobię wionecek, a ty go zawiesis w swojej izdebce nad małem okienkiem... by ci przypominoł moje kochanie... i moje niescęście. (grzmi) A teroz idź do dziewcąt, bo to juz wiecorek i burza się zblizo

Z o s i a.

O! nie! jo ciebie nie opuscę, ty pewnie co złego chces sobie zrobić.

K a z i m i e r z.

No, idź, idź! nie bój się o mnie... nic złego sobie nie zrobię, na to ci przysięgom... posukom... tylko Symona w tych skałach; bądź zdrowa! (ściska ją, odprowadzając w kulisę na prawo)

Z o s i a (z płaczem).

O! Matko Boza! cyz jesce nie koniec moim utrapieniom! (wychodzi)

K a z i m i e r z (sam).

Tak! tak! niech się to roz skońcy; wyznom wszyćko Symonowi, a on mi doradzi, co mom zrobić... (wybiega na szczyty) Symonie! Symonie!

(wybiega na góry, odchodząc na prawo)

SCENA IV.

Szymon (sam),

(Po małej chwili ukazuje się na lewo w ostatniej kulisie za Czartowską Ławą z pękiem ziół w ręce.)

Idę, mój przyjocielu! idę! (przechodzi Czartowską Ławę na szczyty) Co to? nima nikogo? zdowało mi się przecie słyseć wołanie... myślołem, ze to Marek... (rozglądając się) ale nie! do koła puściusieńko, ktoby to mógł być? (z rzewnym uśmiechem) Ha, zapewne wiatr, stary przyjociel, chcioł sobie pozartować ze mną i uderzając w te skały... woło moje imie... Zartuj, zartuj, wietrzyku! (grzmi) grzmij, burzo! bo ty swojem wyciem lepiej przemowios do mojego serca, anizeli ludzie, co tylko złością syceć umieją. (po chwili) Ale cemu Marek się spóźnio? cyzby go co spotkało?... A moze biedok suko ziela na rany swego serca? Och! nie znojdzies go... nie znojdzies nigdzie, chyba tam w górze... (grzmi) burza się wzmogo, ciężkie chmury płyną nad nasemi wioskami... Ach! płyńcie, płyńcie i zabierzcie z sobą nasą niedolę. Kroplami descu zmyjcie ten brud, co kala duse nasych dziatek... a moze przecie zabłyśnie słonecko... i rozświeci prostace umysły. (po chwili) Ale juz się mro-

cy, a Marka nie widać; zanim nadejdzie, posukom jesce ziółek... (patrzy na skały) Ot, tam pełno ich rośnie... wyciągają do mnie swoje listecki, chyląc się od wiatru... pójdźcie, pójdźcie, kwiotecki, skryję wos przed burzą, a za to zagoicie niejeden ból i ranę.

(wspina się na stromą skałę nad Czartowska Ławę, — melodram nr. 21 — burza trwa na dobre)

SCENA V.

Szymon — Domin — Pisarz.

Domin.

(wbiegając szybko z lewej — spostrzega Szymona).

Jest!...

Pisarz (wbiega za nim, do siebie z radością).

Sam! ha! nie ujdziesz mi teraz.

(wbiegają szybko na szczyty)

Szymon (spostrzegłszy ich).

Domin! Pisorz! ha! kruki! znajdują nareście swoją strawę. (schodzi ze skały)

Domin.

Ha! ha! jak się mos, stary? zacekoj no troseckę.

Szymon (spokojnie).

Cego chcecie?...

Domin.

Chcielibyśmy z tobą pogodać.

Pisarz.

Króciutko!.. nie znudzisz się.

Szymon (wznosząc oczy).

Bądź wola Twoja, Ojce niebieski!

Pisarz (ironicznie).

Przychodzę z prośbą, abyś raczył przystać na to, coś tam wobec wszystkich zerwał.

Szymon.

Ha! wyrodki! cy myślicie, ze nie wiem pocoście tu przyśli?...

Pisarz.

Wiesz? to tem lepiej!... (triumfująco) Ha! ha! krecie! ryłeś podemną ziemię i wyryłeś rozpadlinę,.. w której sam przepadniesz tak samo, jak ten przemądry Marek... który się ani nie spodziewał, jaki mu pogrzeb mojemi własnemi rękami wyprawię.

Szymon (głośno).

A więc prowdziwe były moje domysły.

Pisarz.

Domysły! (z szatańskim uśmiechem) Ha! ha! ha! niedługo będziesz miał pewność, gdy się z nim połączysz.

Szymon (spokojnie).

A więc dalej!... dalej! cegoz cekocie? jam przecie gotowy!

Domin.

A bodaj go siarcyste! on myśli, ze i teroz prosić go będziemy.

Szymon.

Dalej, Dominie! przystąp i rzuć starego w przepaść, a oscędzis mu wstydu przed temi skałami, ze cię przygarnął sierotą, kormił swym chlebem... przytuloł do łona jak dziecię, taką gadzinę! źmiję!

Domin (wściekły).

Ach! przepadnij do carta!... (rzuca się ku niemu, rozlega się silny grzmot, on się wstrzymuje)

Szymon.

I cegóz się lękos? ty, coś mnie ojcem nazywoł!

Domin.

Ciebie mym ojcem! a! siarcyste! I coześ mi doł za to, zem był uwiązany jak

pies na łańcuchu przy twoim domu! pracowoł kieby wół przy pługu... i za to wyrzuciłeś mię z chałupy jak obcego, jak zebroka! Ha! ha! to tyz odwdzięcę ci się za to...

Szymon.

Cekom! cekom spokojnie.

Pisarz (niecierpliwie).

Ach! dosyć już tego! nuże z tym próchnem na dół.

Szymon.

O, jo się śmierci nie lękom... umrę z Bogiem w sercu, (do pisarza) ale ty drżyj przed sądem Sprawiedliwego; tam ujrzys swoje zbrodnie i struchlejes, nędzniku!

Domin (na stronie ponuro).

Przed sądem Sprawiedliwego.

Pisarz.

Schowaj swe brednie, głupi chamie! bo ja się nie zlęknę twego przekleństwa.

Melodram nr. 22.

Szymon.

Jo wos nie przeklinom, (wyciąga ręce) umierom z błogosławieństwem na ustach i modlitwą w sercu... zeby śmierć moja stała

się okupem wasych zbrodni i wyjednała przebocenie na sądzie ostatecnym...

Domin (na stronie z rozpaczą, chwytając się za głowę).

Jo osaleję!

Pisarz (do Domina).

I czegóż stoisz? A pchnij-że raz tę skorupę, niechaj tam czeka na swój sąd ostateczny!

Domin (do pisarza z rozpaczą.)

A bodaj cię siarcyste! do cegoś ty mnie doprowadził!

(Marek ukazuje się na górach z prawej, twarz czysta, głowa odkryta, kapelusz w ręku.)

SCENA VI.

Szymon — Domin — Pisarz — Marek.

Melodram nr. 23.

Szymon (spostrzegłszy Marka).

Spojrzyjcie poza siebie, a zobocycie wase dzieło.

Razem.

Domin (spostrzegłszy Marka z krzykiem).
Jezus! Maryjo! upiór!
(ucieka, biegnąc na Czartowską Ławę)

Pisarz (przerażony).
Marek!!

Szymon i Marek (widząc, że Domin wbiega na Czartowską Ławę, z krzykiem).

Wstrzymoj się, niesczęśliwy!

(Domin spada w przepaść)

Wszyscy (przerażeni).

Och!

(grzmot i silne błyskawice)

Szymon (klękając).

Boze! bądź miłościw!

Marek (silnie z namaszczeniem).

O! Bóg jest sprawiedliwy!

(chwila milczenia, melodram, Szymon klęczy zatopiony w modlitwie, pisarz osłupiały stoi jak przybity wzrokiem Marka)

Marek (do pisarza).

Nie spodziewałeś się mnie zobaczyć, panie Warchołek?

Pisarz (na stronie — przychodząc do siebie).

Marek!... mój wróg!... żyje! żyje!... A, wolałbym raczej, żeby piorun uderzył w moją głowę!...

Marek (przystępując do niego).

Spotykamy się jeszcze! i to gdzie? na Czartowskiej Ławie!... tutaj, gdzieś mnie sądził być prochem tylko... w miejscu... któreś sobie obrał za schronienie zbrodni,

aby ujść bezkarnie sprawiedliwości. (grzmi) Słyszysz! nędzniku, ten głos zagniewanego nieba, które się oburza na twoje występne zamiary! Ale prawda! ty nie lękasz się sądu Boga... to też wprzód, nim Bóg, ludzie cię osądzą.

Pisarz (z wściekłością).

A! czemuż nie zmiażdżyłem mu wtenczas łba o te skały, ażeby już nie powstał! Teraz wszystko stracone! Wszystko przepadło! (zrywa się, wybiegając ze szczytów na lewo)

Szymon (z płaczem rzuca się Markowi w objęcia).

Marku! mój Marku!

Marek.

Starcze, ty płaczesz? wszakże dziki zwierz był ci przychylniejszy niż ten... ten nieszczęśliwy...

Szymon.

Niech mu Bóg przebocy!... (nie widząc pisarza) A tamten? a drugi?... pozwoliłeś mu tak odejść?

Marek.

Bądź spokojny... nie ujdzie rąk władzy... uprzedziłem żandarmów, ażeby go z oka nie spuszczali, i w tej chwili zapewne już

w ich rękach się znajduje... A teraz spieszmy do mego dziecięcia... drogi mój Kaźmierz niewinny! niewinny! O! Szymonie, ileż radości Bóg zsyła mi dzisiaj!

Szymon.

A więc juz wies?

Marek.

Słyszałem i rozumiem wszystko.

Szymon.

O tak, to oni chcieli cię zgubić, to oni omotali zdradliwie to biedne dziecię, azeby je zgnębić i wyzuć ze wsystkiego.

Marek.

Niewdzięczni! za to, żem ich chciał wszystkich do piersi przytulić, ukochał jak braci i sercem się podzielił. Ale chodźmy już, chodźmy, mnie pilno zobaczyć moje dziecię, głos jego usłyszeć.

Szymon.

O nie! nie! toby go mogło zabić. On cię przeciez mo za umarłego. Jo naprzód z nim się obocę... przygotuję. (zwraca się na prawo) Ale cicho...

Melodram nr. 24.

Kazimierz (za sceną z prawej).

Symonie! Symonie!

Marek.

Słyszysz, to on, to on! (chce biedz naprzeciw)

Szymon.

Wstzymoj się, pamiętoj na swe dziecko.

Kazimierz (jak wyżej).

Symonie!

Szymon (do Marka).

Prędzej! prędzej! niech cię nogle nie obocy. (Marek zbiega ze szczytów na dół i staje przy skale — Szymon mówi dalej z radością) Za chwilę niebo się rozpogodzi.

Kazimierz (za sceną blisko).

Symonie! dziaduniu!...

Szymon.

Tutoj, moje dziecię! tutoj...

SCENA VII.

Szymon — Marek — Kazimierz.

Kazimierz (wbiegając).

Ach! znajduję wos nareście, dziaduniu nojlepsy, calusieńkie skały za wami zbiegołem.

Szymon (schodząc z nim na dół).
Jo tutoj ziela zbierołem.

Kazimierz.
A jo wos nie widzioł, chocioz tutoj byłem.

Szymon.
Byłeś tu? i downo?

Kazimierz.
Jak grzmieć pocęło...

Szymon (z dobrocią).
A! to wtedy byłem z twoim tatulem tam wysoko na Cartowskiej Ławie.

Kazimierz (zdumiony i przestraszony).
Z tatulem?... Co wy mówicie?

Szymon (biorąc go za rękę).
Wiem wszyćko, mój drogi.

Kazimierz.
Kto wom to powiedzioł? Ci dwaj!...

Szymon (przerywając).
Bóg, mój Kaźmierku, który ci przebocył i próśb wysłuchoł... (Melodram nr. 25) Powrócił ci ojca a z nim i jego serce... Tatulo twój zyje...

Kazimierz (z krzykiem).
Zyje!...

Marek (występując).
Kazimierzu! synu mój!

Kazimierz (z krzykiem).
Ach! (wpada w stan osłupienia, Szymon i Marek go podtrzymują)

Marek (z obawą).
Dziecię moje drogie! to ja! przemów do mnie! ja, twój ojciec, który ci przebaczył... słyszysz!... odezwij się!... przemów słowo! (z rozpaczą) Boże! czyż nie dosyć jeszcze wycierpiałem?...

Szymon (widząc, że Kazimierz przychodzi do siebie, do Marka).
Uspokój się! uspokój!...

Kazimierz (upamiętując się).
Co to? co?... (wpatrując się w twarz Marka) Ach!... tatulu mój święty!... tatulu! (rzuca się do nóg Marka, wybuchając głośnym płaczem. Po małej chwilce odzywa się nucenie z 1-szej sceny z prawej na przodzie. Księżyc oświeca jasno całą scenę)

Szymon.
Otóz i dziatki nase wracają. (postępuje ku prawej kulisie)

Kazimierz (klęcząc u stóp Marka, składa ręce i wznosi głowę).
Ojce najdrozsy! przeboc!... przeboc!...

Marek (podnosząc go).

Winy maże pokuta! O, niech cię przytulę do swych piersi, biedne moje dziecię...

SCENA VIII i OSTATNIA.

Szymon — Marek — Kazimierz — Tekla — Zosia — Grześ — Katarzyna — Dziewczęta — Parobcy.

Szymon (w kulisę na prawo).

Spiescie! spiesce, dziotecki, bo wos tu ceko radość i wesele!

Wszyscy (wchodząc).

Co się stało?

Szymon.

Ojciec was i dobrocyńca, nas Marek zyje i powrócił.

Wszyscy.

Marek! Marek zyje!

Tekla i Zosia (razem).

Boze!

Razem { Tekla. O, drogi ojce chrzestny. Zosia. Opiekunie, dobrocyńco ukochany.

(przybiegają do Marka i klękając przy nim, całują go po rękach)

Wszyscy.

Zyje! zyje nas anioł — powrócił! (cisną się do niego, całując po rękach)

Marek.

Dzieci moje! wróciłem, ażeby was znowu tak kochać, jak dawniej.

(wszyscy grupują się w obraz, na przodzie w środku Marek, u nóg jego klęczą z jednej strony Tekla, z drugiej Zosia — przy Zosi stoi Kazimierz — z boku po lewej Szymon zadumany, przy nim Grześ — po prawej Katarzyna zdumiona i z pewnym rodzajem niedowierzania na twarzy — poza niemi w półkole reszta osób)

Marek (podnosząc Teklę i Zosię i biorąc je w objęcia).

Powstańcie, dzieci, i przytulcie się do tych piersi... ramiona moje dawno już tęsknią do waszych uścisków. (całując w czoło Teklę) Tekluniu miła, Bóg cię nagrodzi za poświęcenie, któreś chciała uczynić dla swego tatula.

Tekla (całując go w rękę).

O, mój krzesny! mój zbawco!

Marek (całując Zosię).

Poczciwa Zosiu, dzisiaj już koniec twej doli sierocej.

Zosia (całując go w rękę).

Opiekunie! ojce nojlepsy! (biorąc Kazimierza za rękę) To twoja modlitwa nom go wró-

ciła, drogi — kochany Kaźmierku, (zawstydzona) chciałam powiedzieć, bracisku...

Marek.

Nazwij go drogim, kochanym mężem, a spełnisz moje najgorętsze życzenia.

Kazimierz (obejmując ją).

Zosiu!

Zosia.

Kaźmierku, mój luby! jedyny! (ściskają się)

Kazimierz (dając jej wianek).

Oto wianusek, którym ci obiecoł; mioł być pamiątką smutku, niech będzie zadatkiem radości.

Grześ.

No, niechze się teroz Dominik sakumpakum ze młyna wynosi.

Szymon.

Nie potrzebuje on juz nic oprócz modlitwy.

Wszyscy.

Jakto?

Marek.

Bo już nie żyje.

Wszyscy.

Nie zyje?!...

Marek.

Znalazł karę tam, gdzie szukał zbrodni. Spoczywa u spodu Czartowskiej Ławy, z której chciał strącić starego Szymona.

Wszyscy.

Ach!

Zosia.

To okropne!

Katarzyna.

Oho! Cartowska Ława nigdy nie zawodzi; niech kuzdy omija to miejsce, kto się z Bogiem nie pojednoł...

Szymon (uroczyście).

Oby przebocył temu niescęśliwemu. A teroz, dziotecki, wznieście z ufnością serca ku Stwórcy, bo znowu nom wrócą radosne chwile.

Marek (z zapałem).

Wrócą! wrócą! aby trwać nieprzerwanie. Złączeni miłością i zgodą, pracą i nauką, wywalczymy siłę, aby się oprzeć burzom, które przelecą nad naszemi głowami jak dzisiejsza, odsłaniając jasne

i gwiaździste niebo, bo piorun, chociaż niszczy i obala drzewa, ale wstrząsa ziemię, by wydała plon obfity.

Modlitwa.

Chór i Finale nr. 26.

Jasne niebo się zasłania
Sinemi chmurami,
A za niemi sumi burza } bis
Carnemi skrzydłami.

Steruj, Ojce, w niebios scycie,
Rządź sercem jak burzą,
A twe dziatki całe zycie } bis
Na gniew nie zasłużą.

(Zasłona spada)

KONIEC AKTU CZWARTEGO i OSTATNIEGO.

BIBLJOTEKA UNIWERSYTECKA W ŁODZI

102. Czartowska Ława.

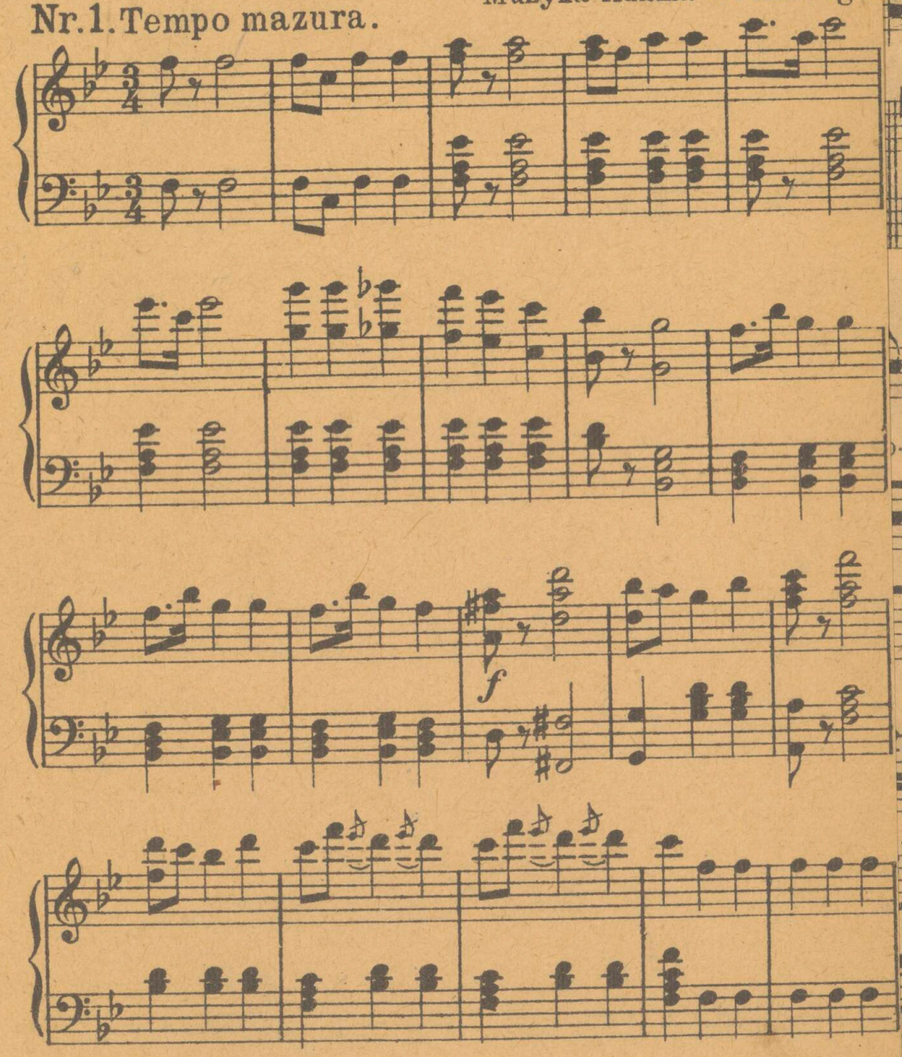
Jan Kazimierz Galasiewicz.

AKT Iszy.

Chór Dziewcząt.

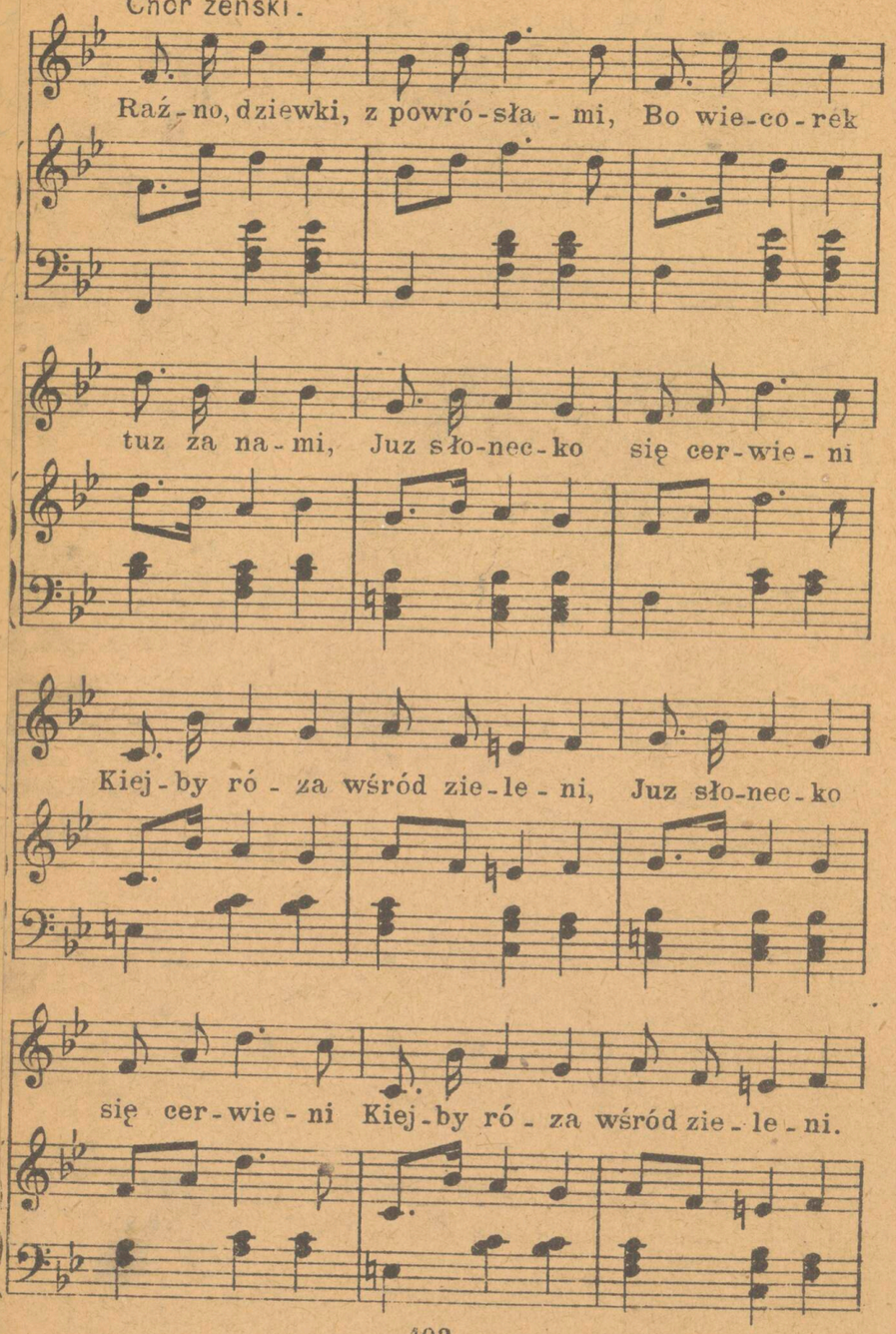
Muzyka Adama Wrońskiego.
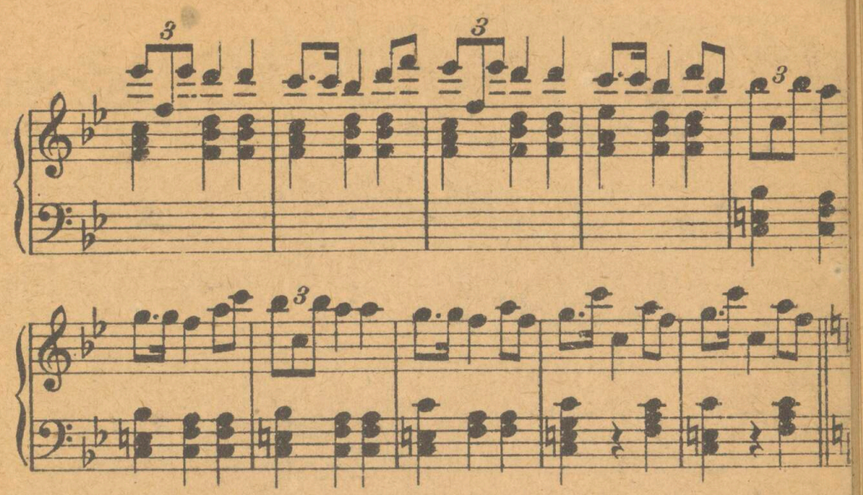
Nr. 1. Tempo mazura.
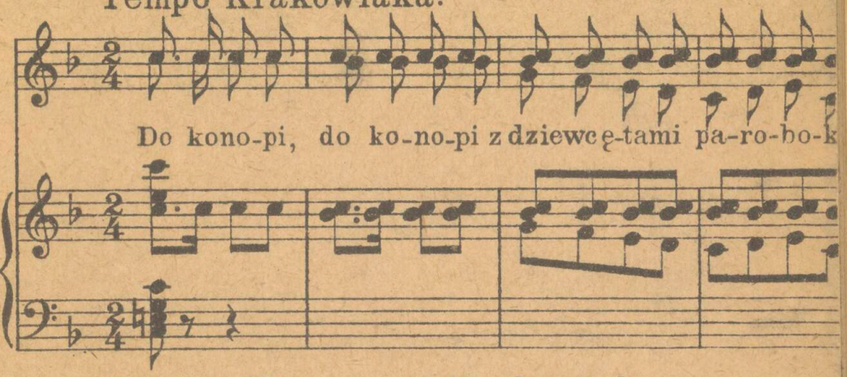


Nakładem A. Cybulskiego w Poznaniu. Drukiem C. G. Rödera w Lipsku.

Chór żeński.

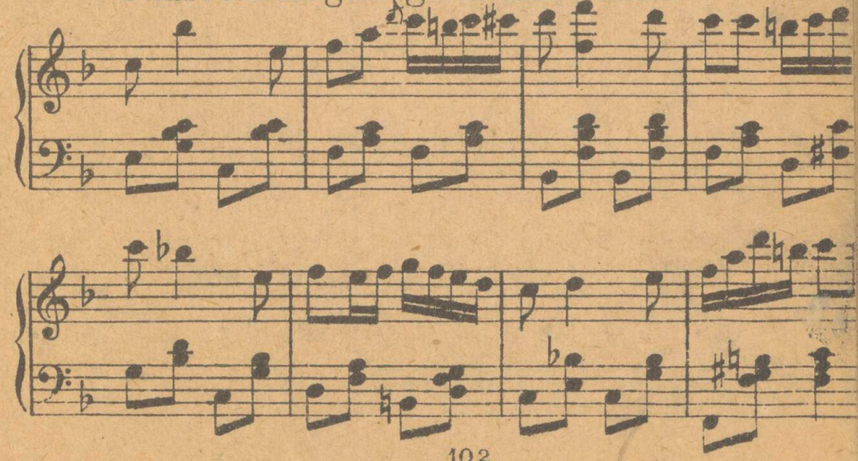




Tempo Krakowiaka.



Taniec. Obieganego Krakowiaka.



4 razy,
potem
Coda.

Coda.

ff

Chór Dziewcząt.

Nr. 2. Tempo Krakowiaka.

Hanka Solo.

Sopran.

Bro - ił ko - zieł, choć wzbra - nia - li,

I fi - gle i pso - tę, Aż mu ta - t

wy - trze - pa - li Po - rząd - nie ka - po - tę.

Te-roz siedzi kie-by trusia, Zamknię-ty w he-reście,

Na-u-cy-li ccić ta-tu-sia Pre-fe - so-ry w mieście.

Śmiech.

Ha! ha! ha! ha! ha! ha! ha! ha! ha! ha! ha! ha!

ha! ha! ha! ha! ha! Teroz przed nim prózno mis-ka,

Przy-sła krys-ka na Ma-tys-ka, Te-roz przed nim

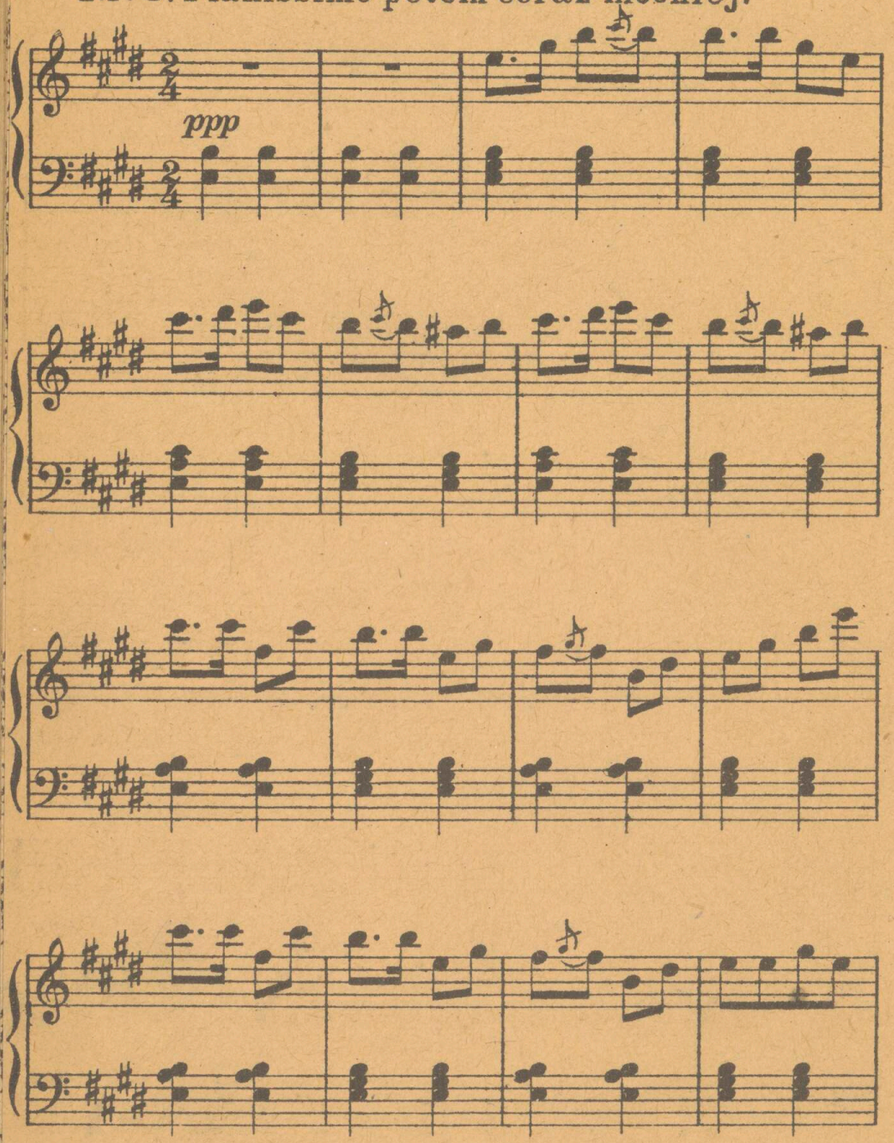
prózno mis-ka, Przy-sła krys-ka na Ma-tys-ka.

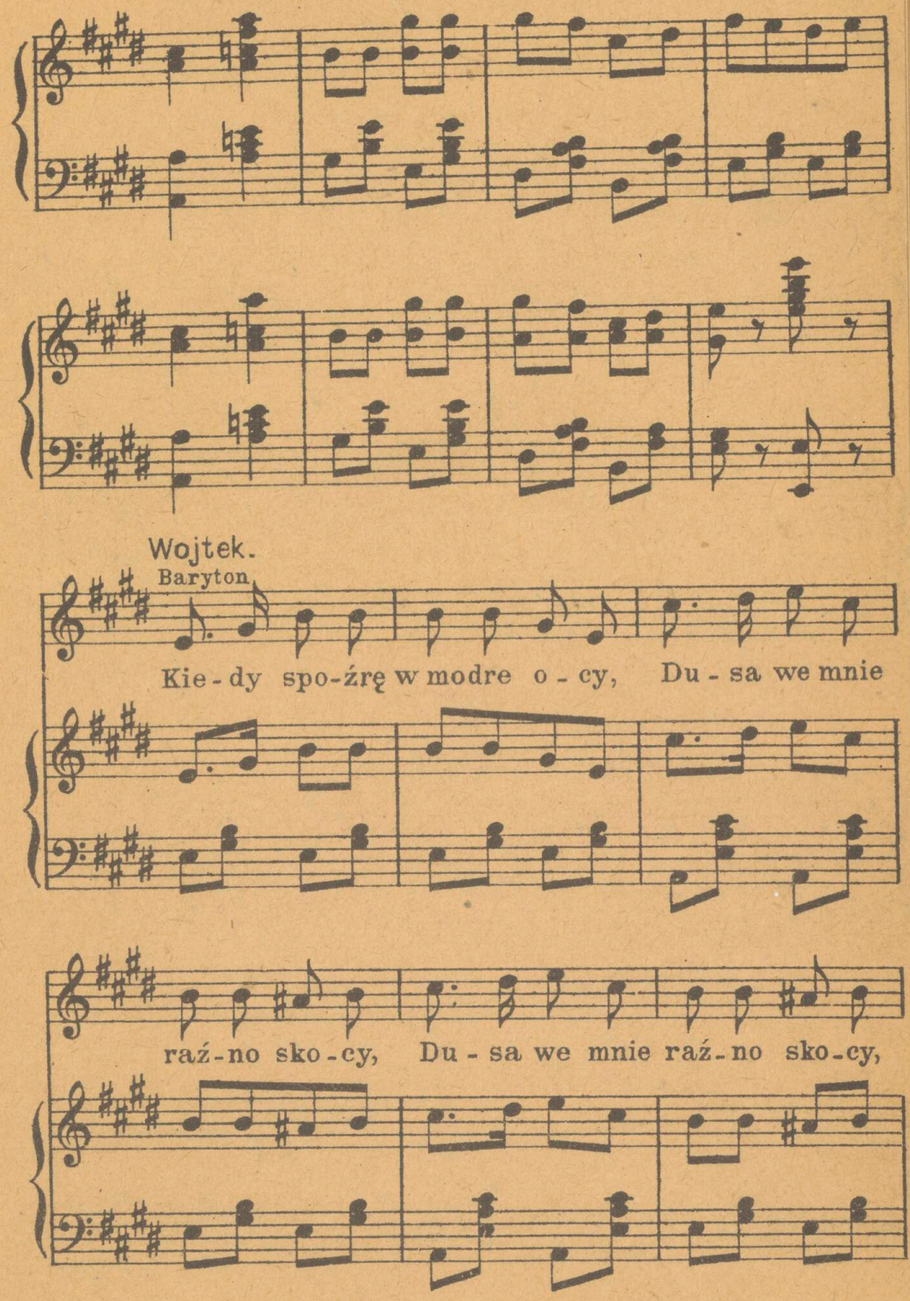
Fine.

Krakowiak.

Chór mieszany.

Nr. 3. Pianissimo potem coraz mocniej.





A z dusycką, Bo-ze drogi, Skacą równie moje nogi,

A z dusycką, Bo-ze drogi, Skacą równie moje nogi.

Hu! ha! nu-ze basy, Nie zwo-zoj-cie na ob-casy!

Hu! ha! nu-ze ba-sy, Nie zwo-zojcie Tak, tak.

Modlitwa.

Nr. 4. Adagio. Chór mieszany.

Sopran. Alt.
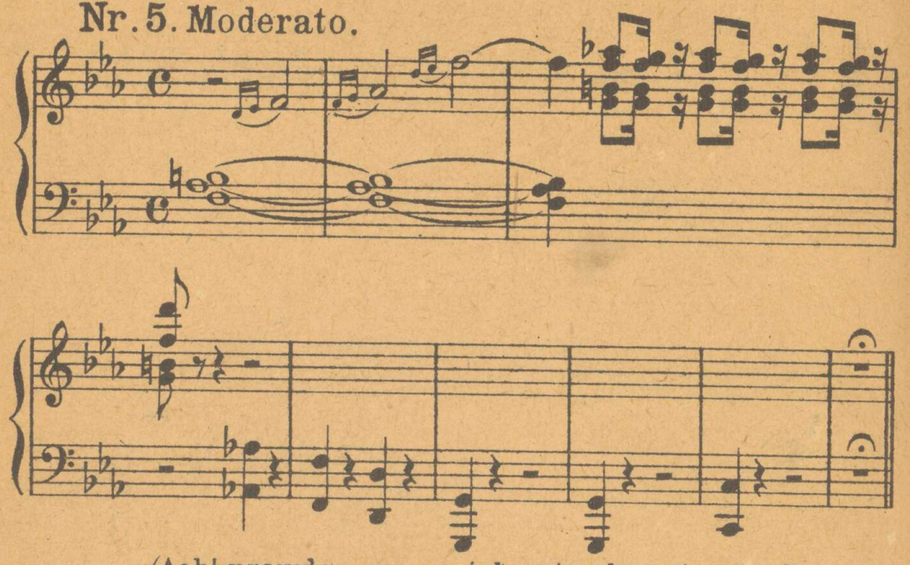
Ci-cha noc się zbli-za, Anioł snu juz bie-zy;

Tenor. Bas.

Klęknij-my u krzy-za Do świętych pa-cie-zy.

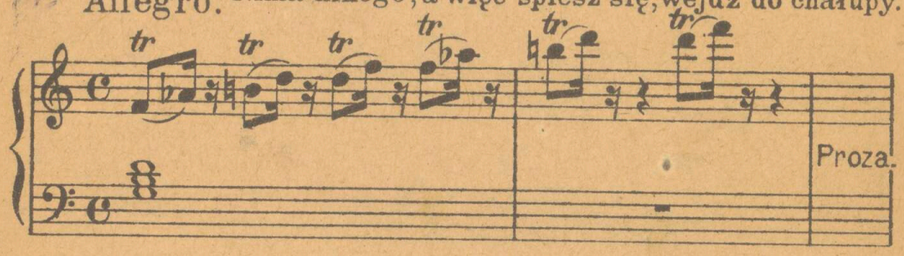
Melodram.

Nr. 5. Moderato.
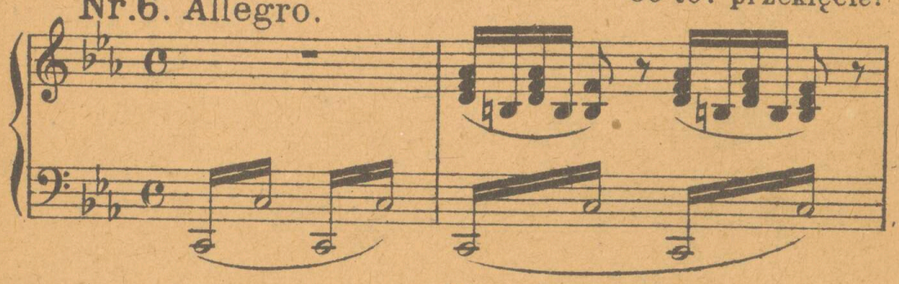


(Ach! prawda, zapomniałem, trzeba mi zabrać pożyczone ze dworu książki i gazety.)
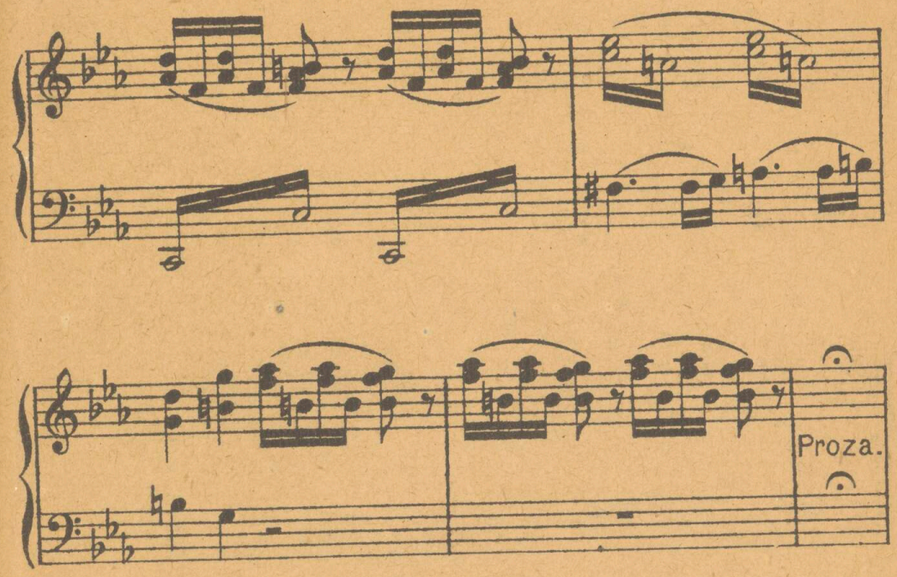
Allegro. Nima nikogo, a więc spiesz się, wejdź do chałupy.



Melodram.
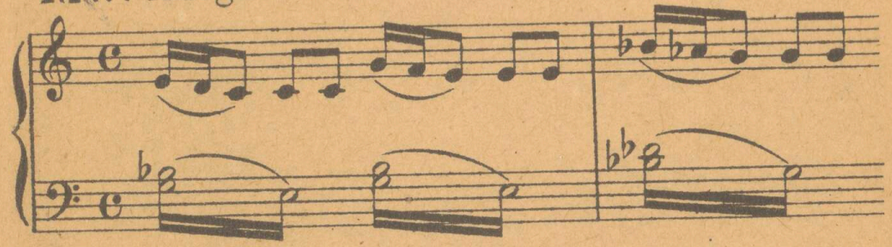
Nr. 6. Allegro. Co to? przeklęcie!
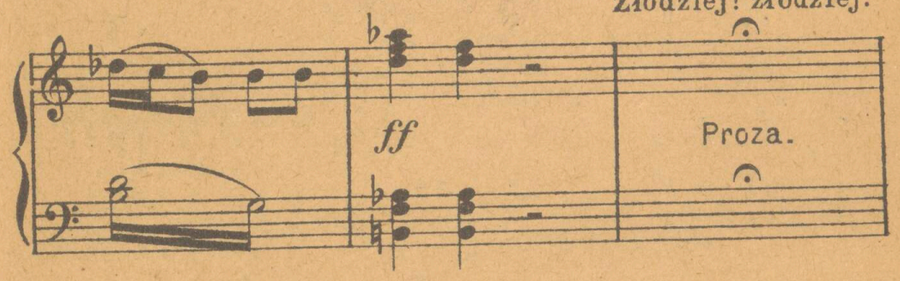




Melodram.
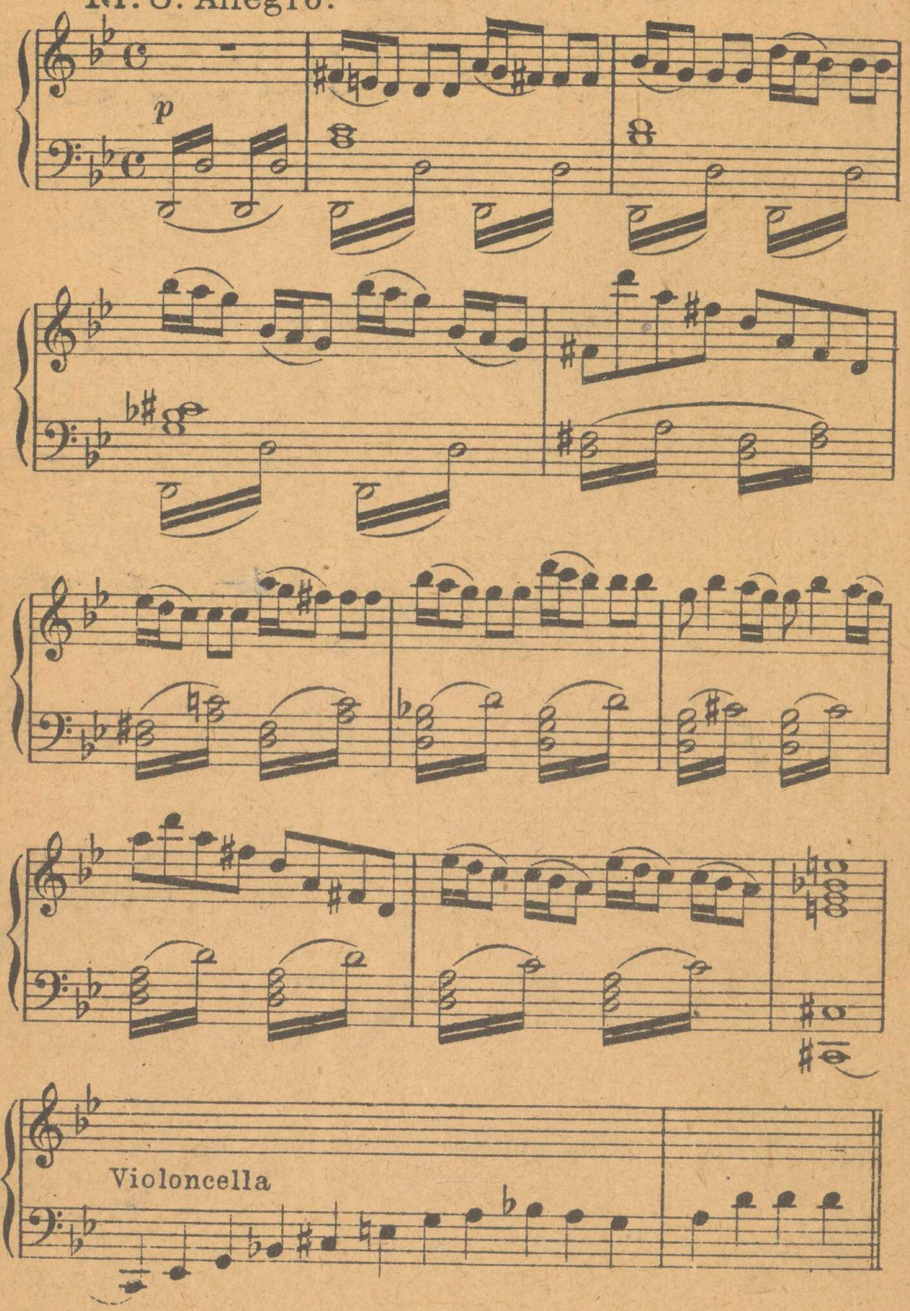
Nr. 7. Allegro.
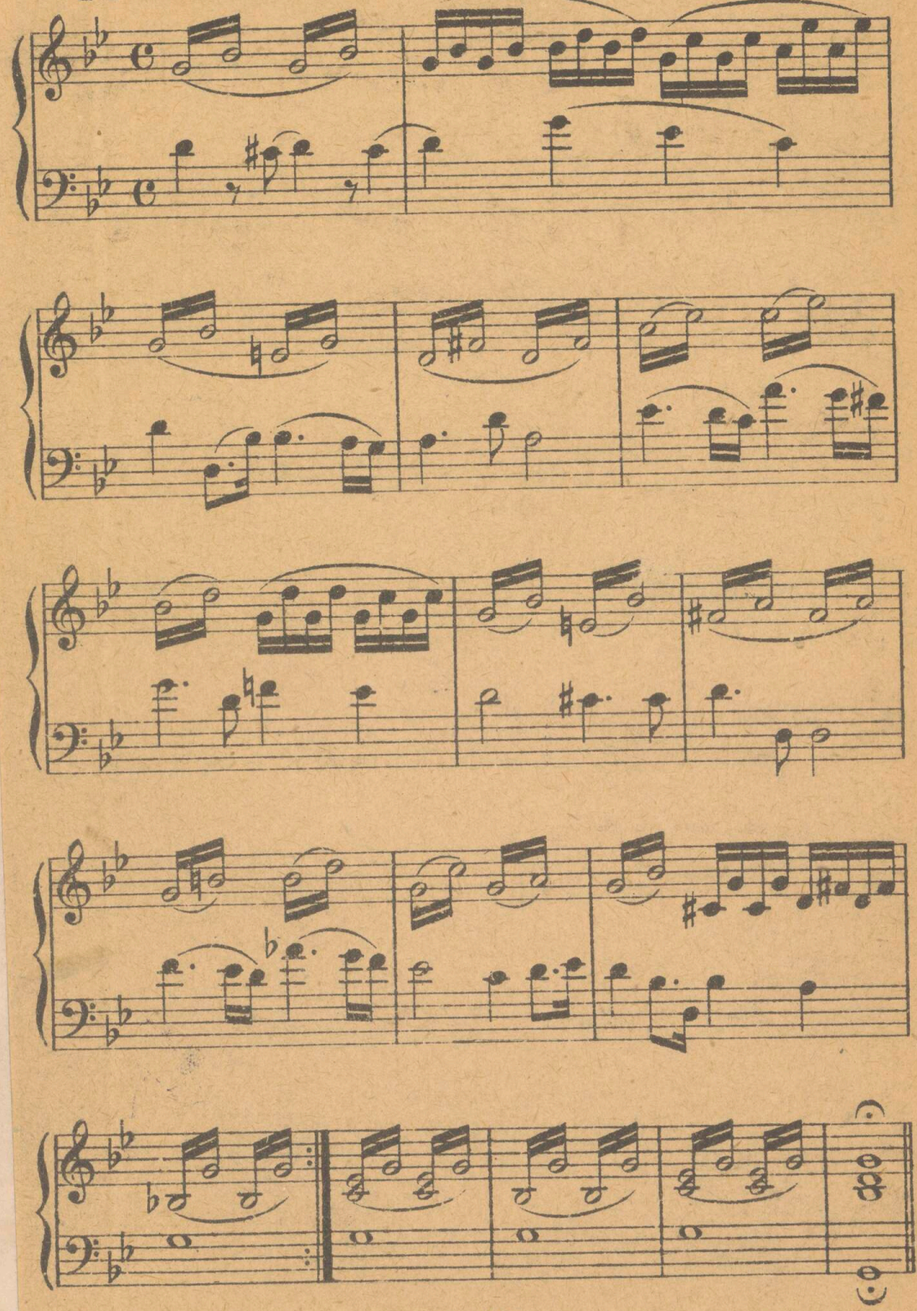


Złodziej! złodziej.



Nr. 8. Allegro.



Nr. 9. Andante.
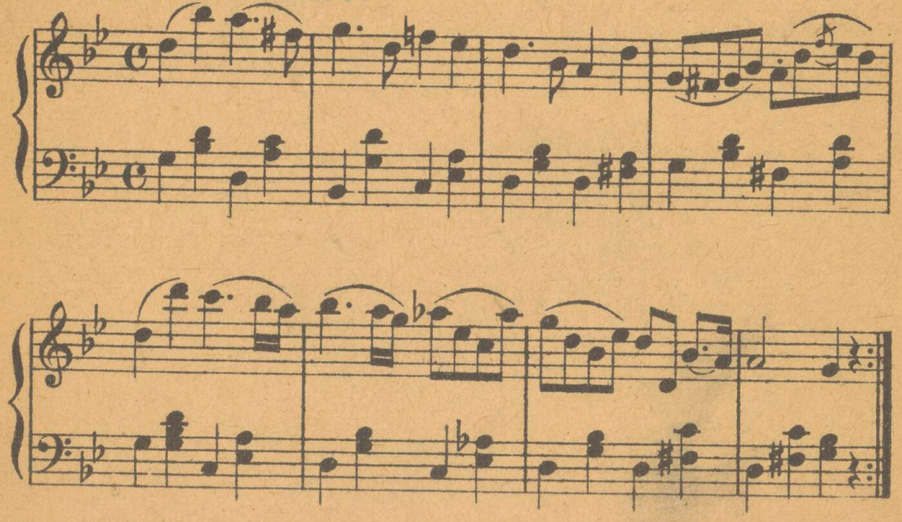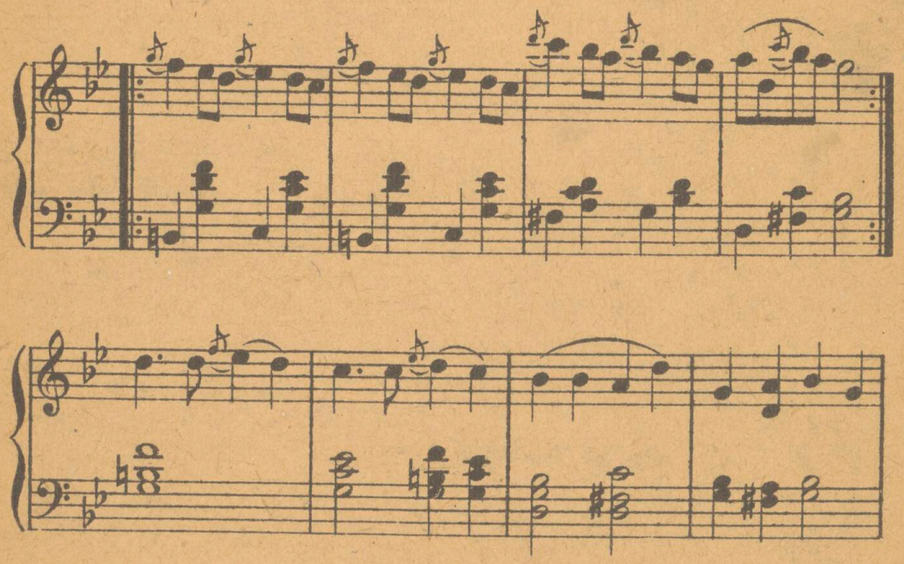


AKT II^{gi}.
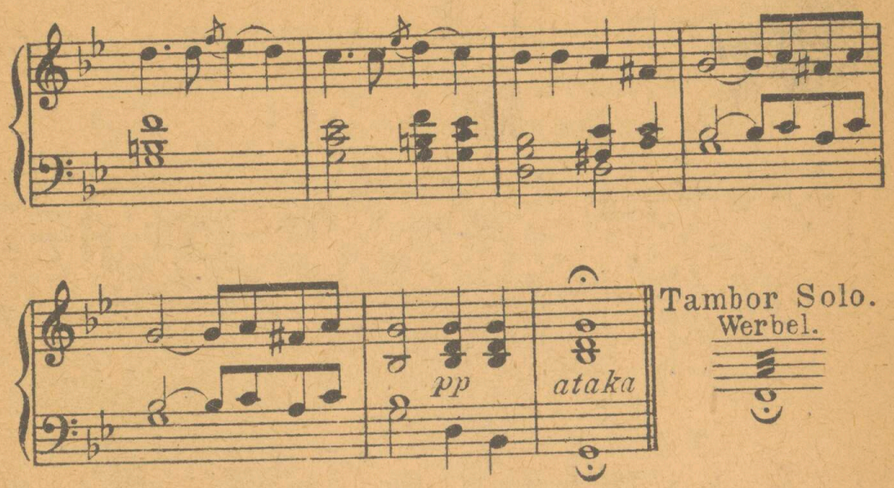
Melodram podczas Błogosławienia Rekrutów.

Solo Skrzypcowe.

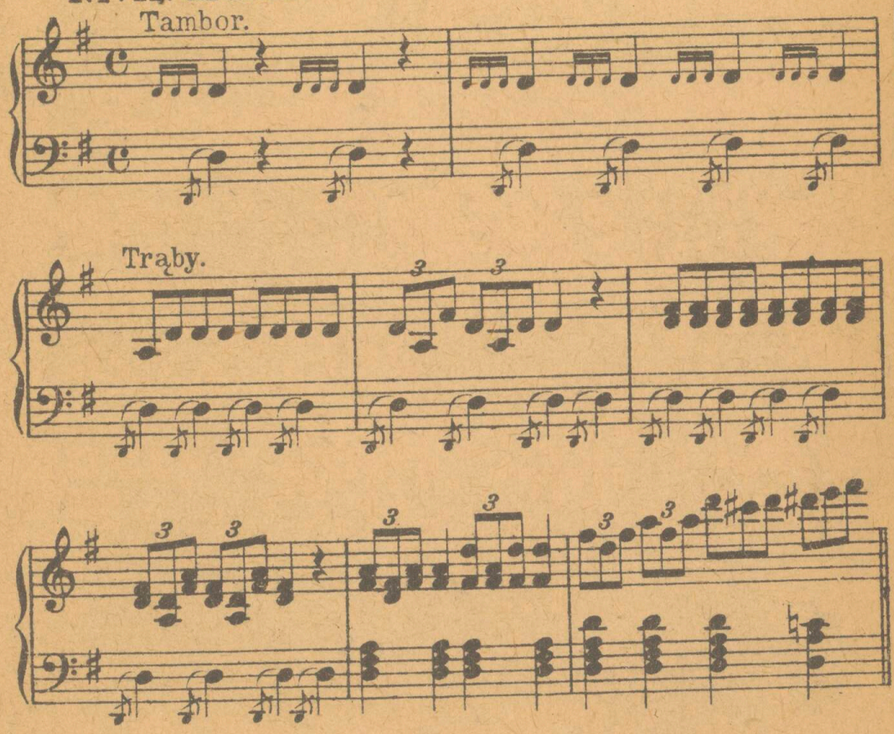
Nr. 10. Andante.







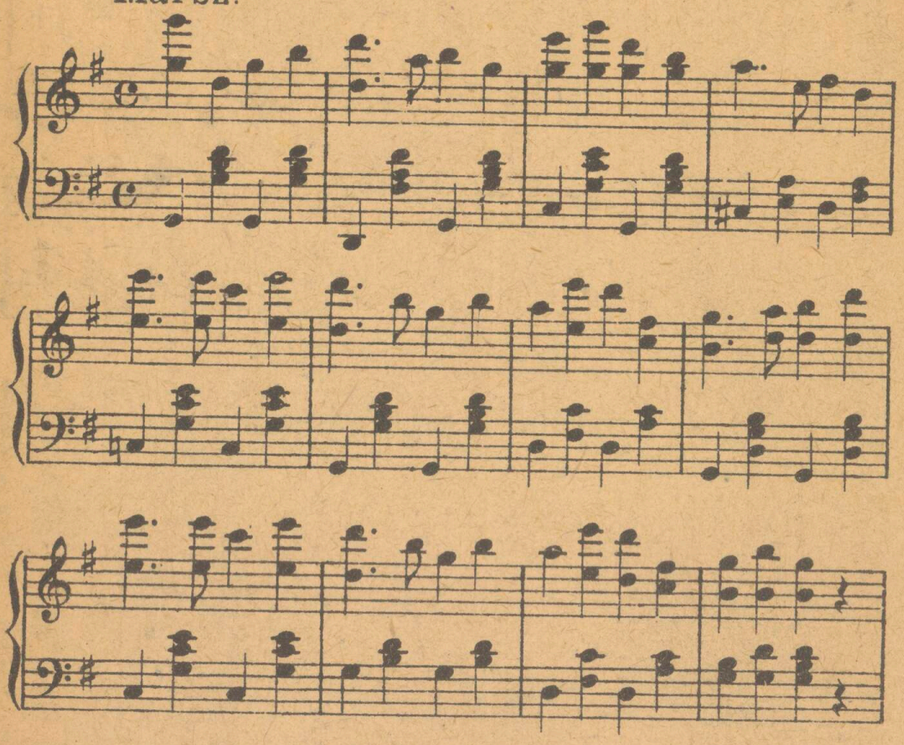
Nr. 11. Marsz.



Pożegnanie Rekrutów.

Chor męski.

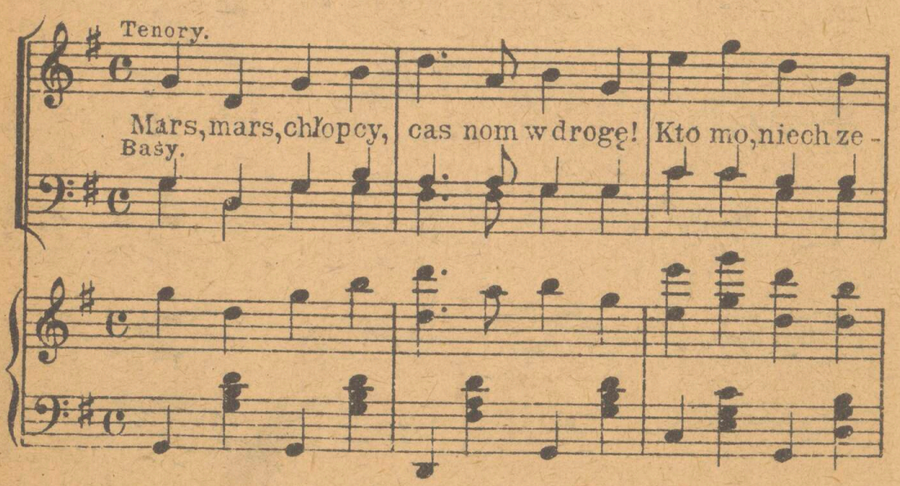
Marsz.
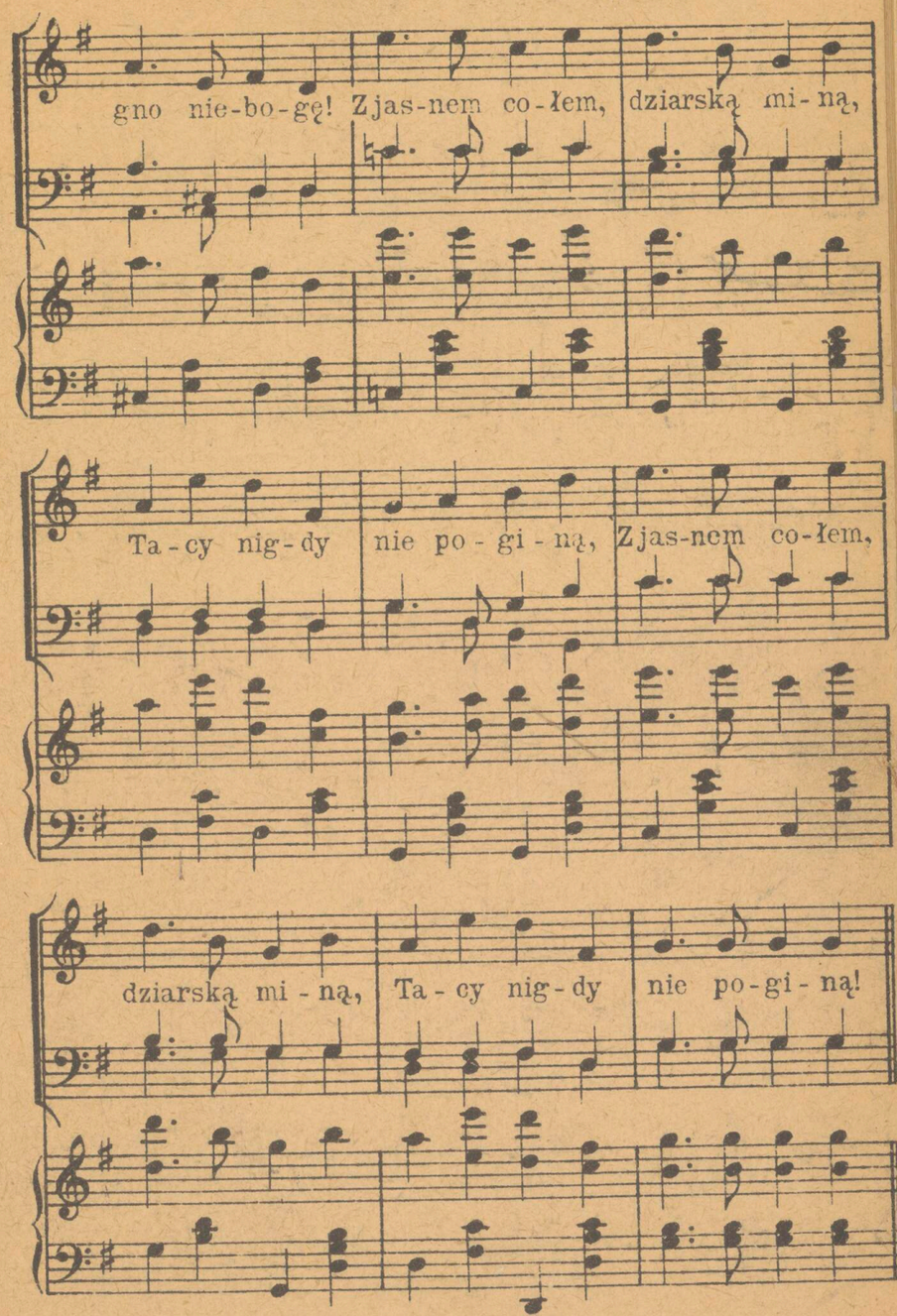


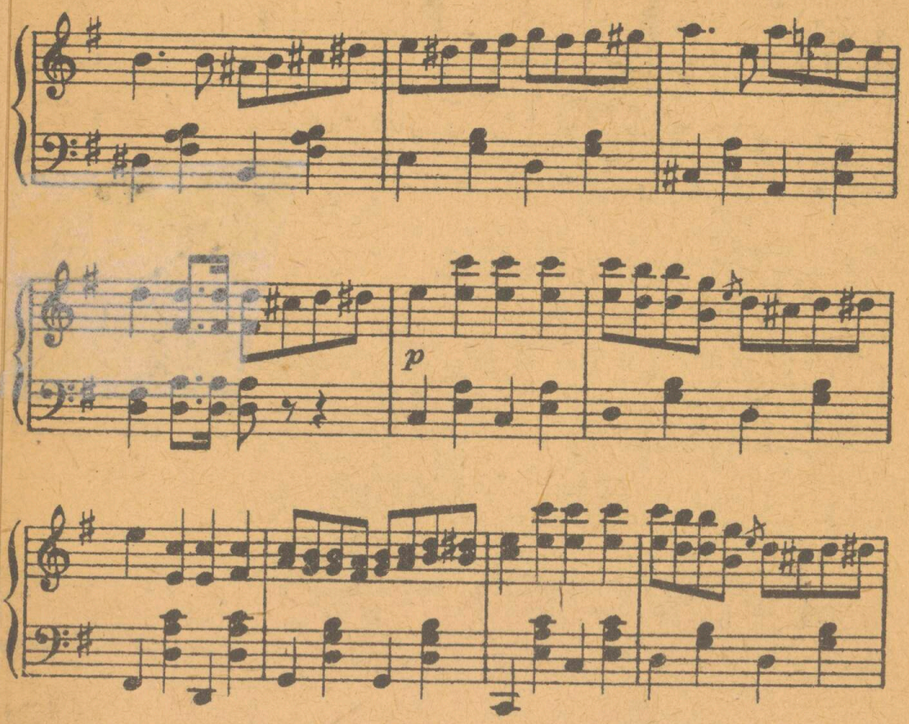
Tenory.

Basy.

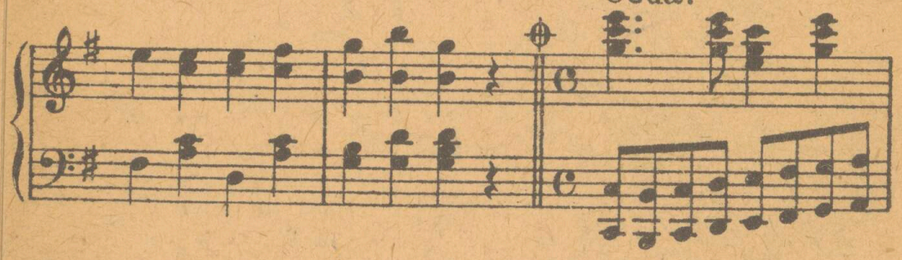
Mars, mars, chłopcy, cas nom w drogę! Kto mo, niech ze -
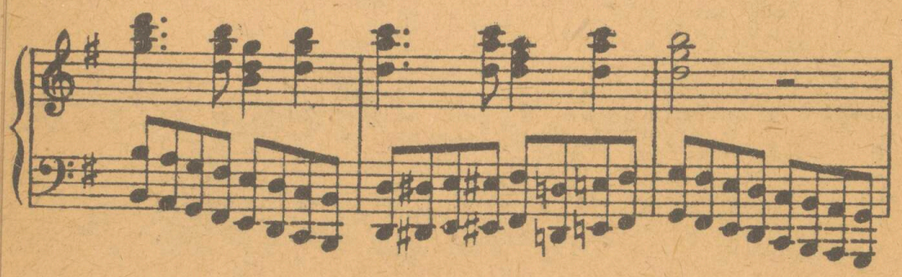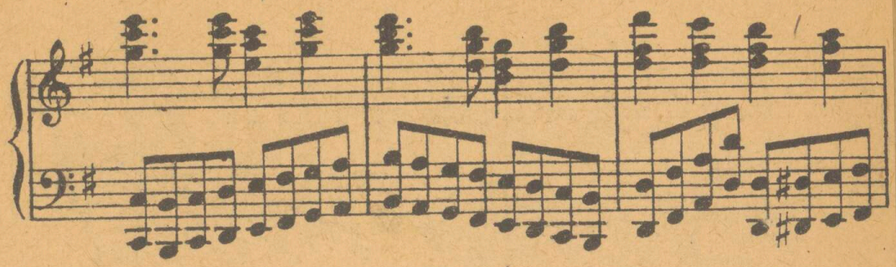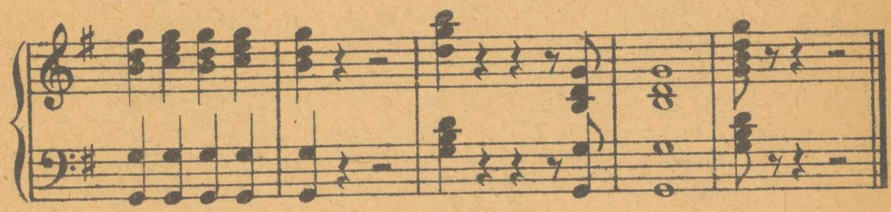






Coda.
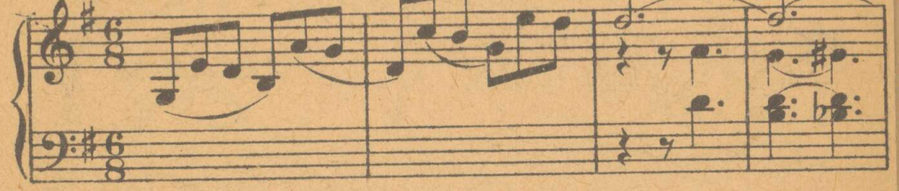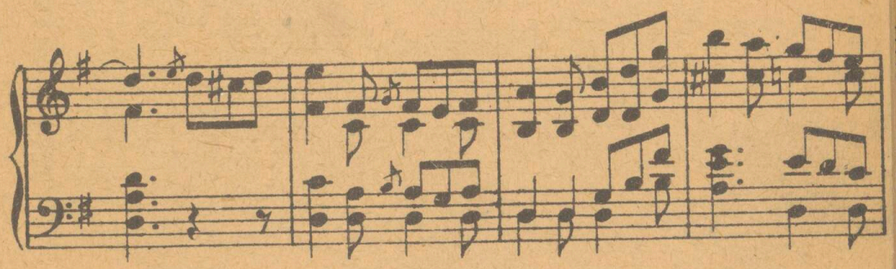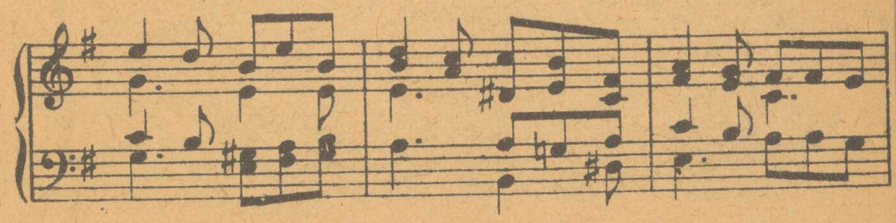








AKT 3ci. Wstęp.

Chór żeński.

Nr. 12. Andante.







ritard.

ritard.

Chór druchen.

Moderato.

Sopran. Alt.

p

Tęs-kni dziewce dłu-gie no - ce, Na kochan-ka ce - ka, Na nie-bie gwiozd - ka mi-go - ce

I przyjście przy - rze - ka. O - dezwoł się gło - sik zwonka W po-god-ny po - ra - nek,

Do-star-cy - ła kwiotków łą - ka Na jej ślub-ny wia - nek.
O pół-noc-ku ce - piec świe - ży
A te-roz, jak zwy-coj sta - ry,
Te - klu-sia przy - mie - zy, Wsak kuz-dej z nos
Przyjm we-sel - ne da - ry, Kuz - do nie - sie,
o - bie-ca - no Wnieść lu-be - mu wia - no.
co dać mo - ze, Bło - gosław ci, Bo - ze!

Tempo mazura.

Nr. 13.

Salusia Solo.

Bądź, Te-klu-niu, nom we-so-ła, Wsak i pscó-łec-

ka się cie-sy, Kie-dy na kwiat-ki i zio-ła

Chór.

Po słodziut-ki mio-dek spie-sy. Pscó-łek plo-ny

ci przy-no-sę Na do-by-tek i roz-ko-se!

Pscó-łek plo-ny ci przy-no-sę Na do-by-tek

i roz-ko-se.

Lento. Zosia.

Srebrny strumyk

ci-cho pły-nie, A u brze-gu ros-ną kwiat-ki,

On zod-ne-go nie po-mi-nie, Tu-lą się doń

jak do mat-ki. Nie zol się na mnie nie-bo-gę,

Bo nic więcej dać ni mo-gę.

Chór.

Dana! dana! dana! da-na!

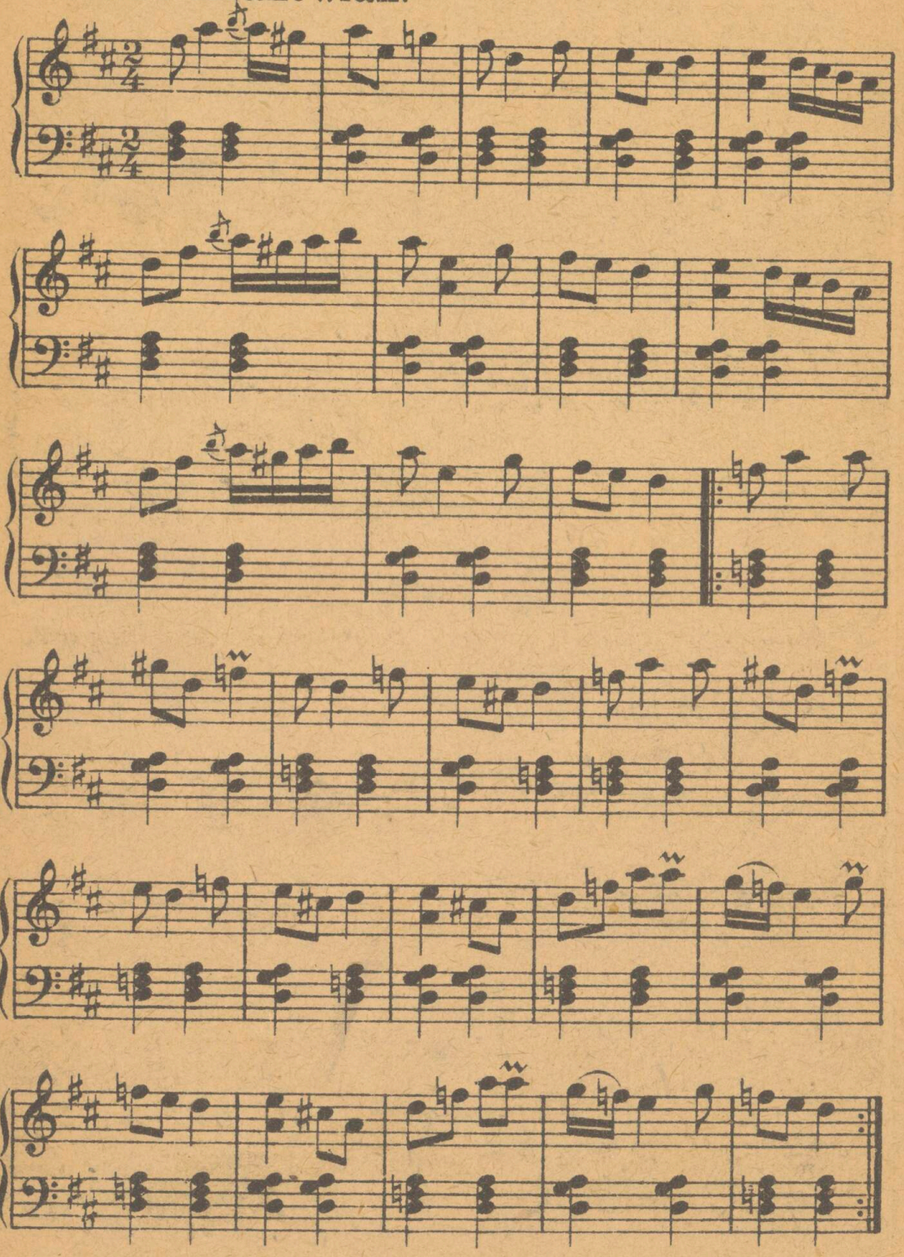
Będziem tań-cyć az do ra-na, Będziem hu-lać

az do zo-rzy, Pó-ki sen o - ców nie zmorzy.

Melodram.

Chłopska muzyka.
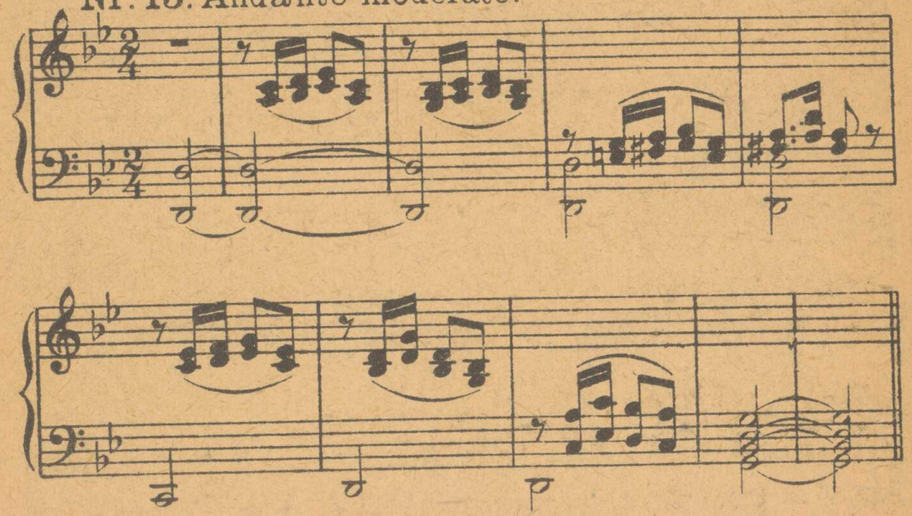
Nr. 14. Krakowiak.



Melodram.

Ale ja jej nie opuscę i bronić będę. Zosiu moja! Zosiu jedyna!.... Smoły! Smoły!

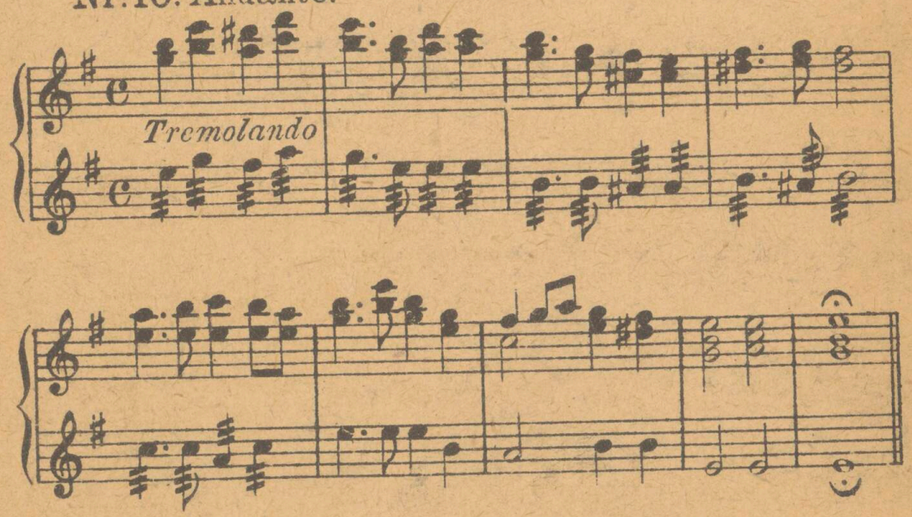
Nr. 15. Andante moderato.



Melodram.

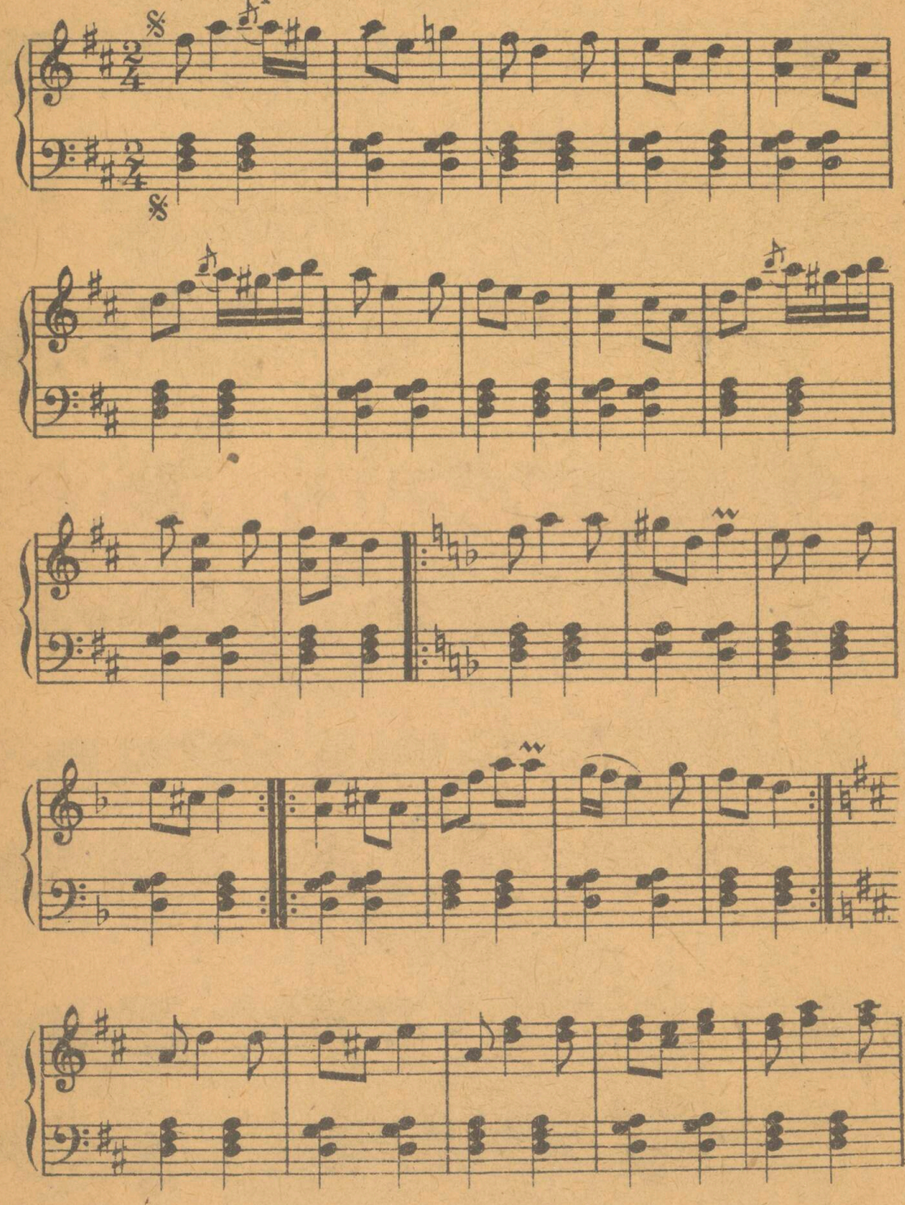
Jakicz ją zycie ceko z tym człowiekiem! O! niech Bóg miłosierny ulituje się jej doli.

Nr. 16. Andante.

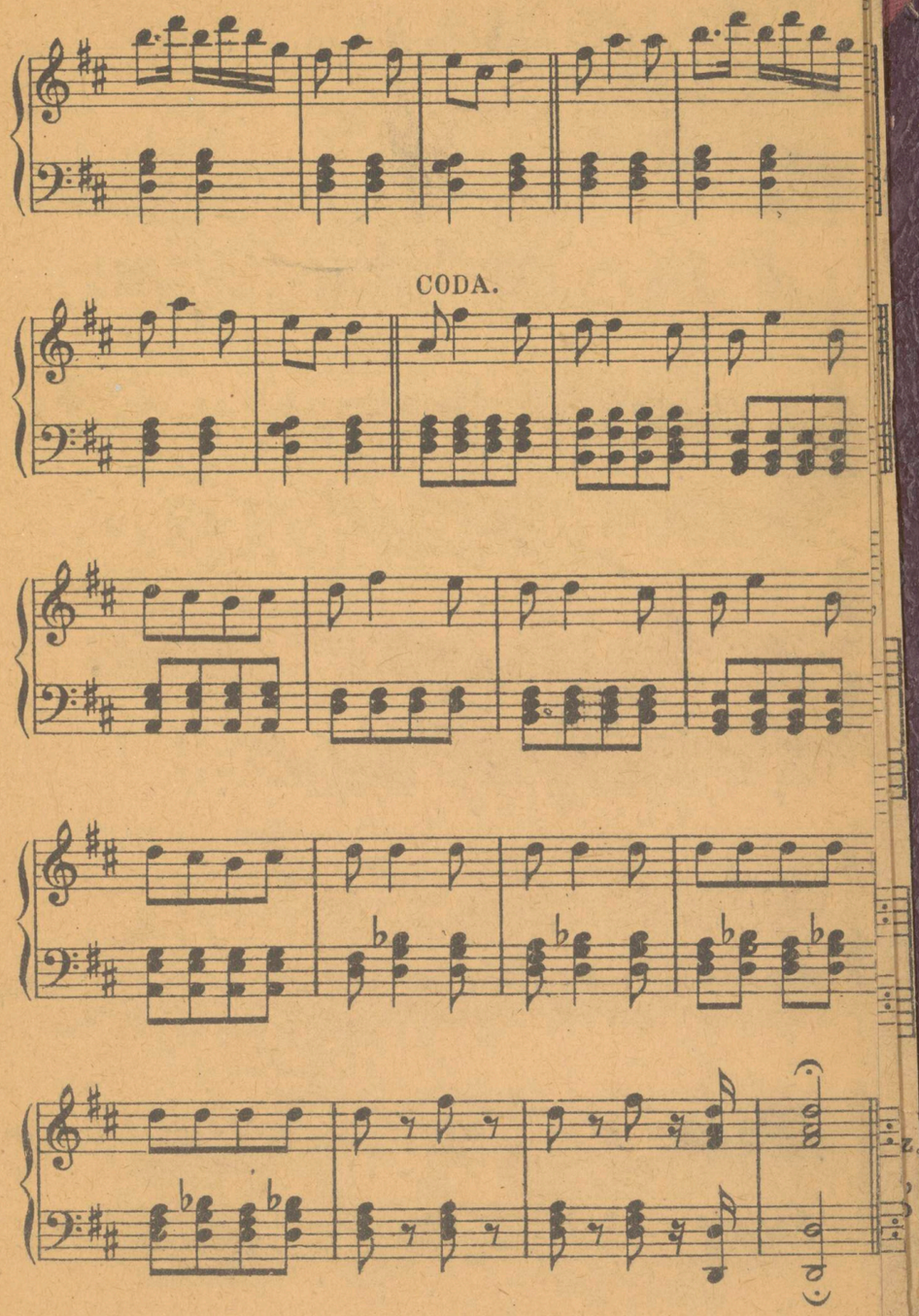


32 (Ten melodram grać, dopóki kurtyna nie spadnie.)
Ale co począć? jakim sposobem dowiedzieć się prawdy, nie budząc ich podejrzeń?

Nr. 17. Tempo Krakowiaka.
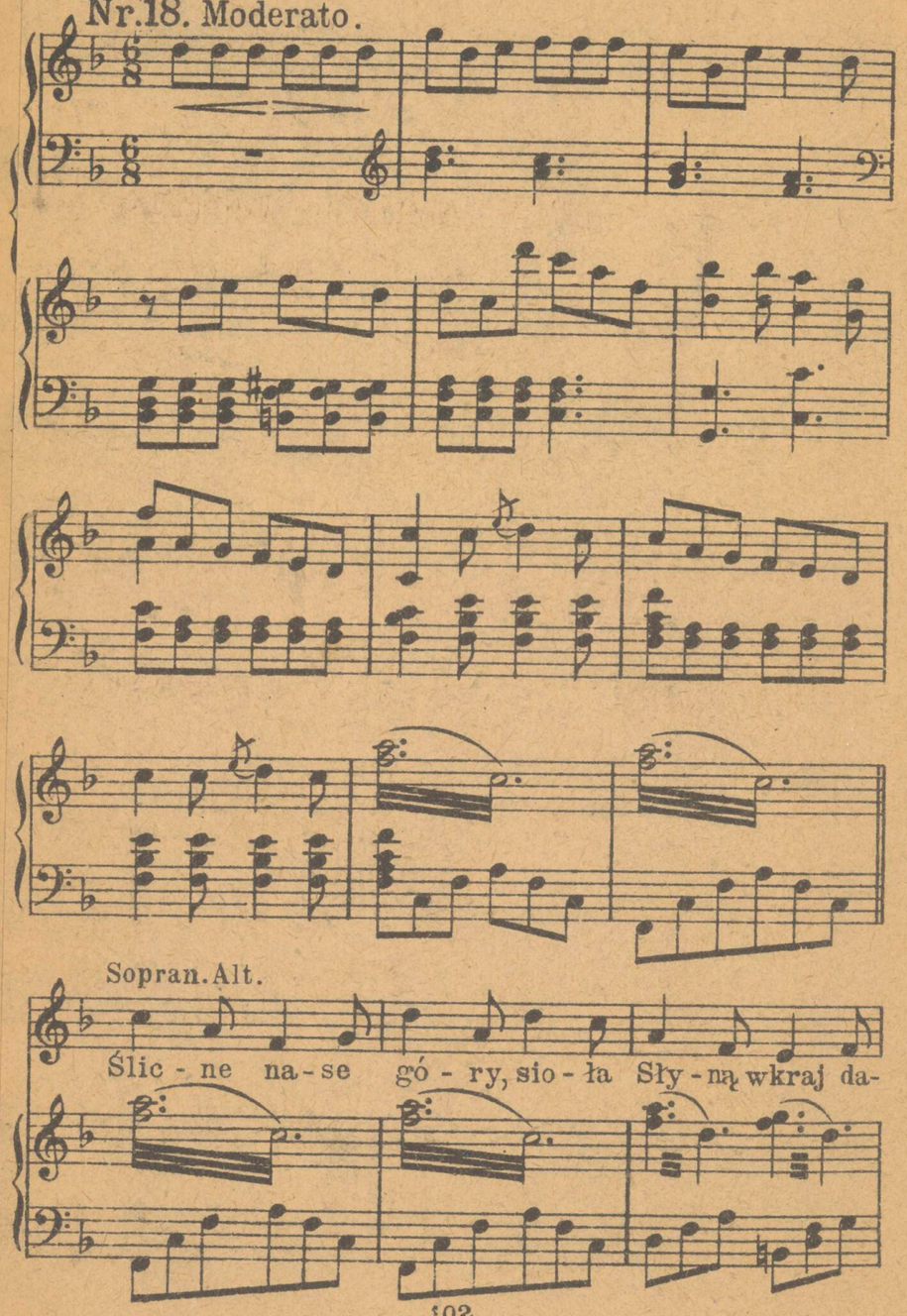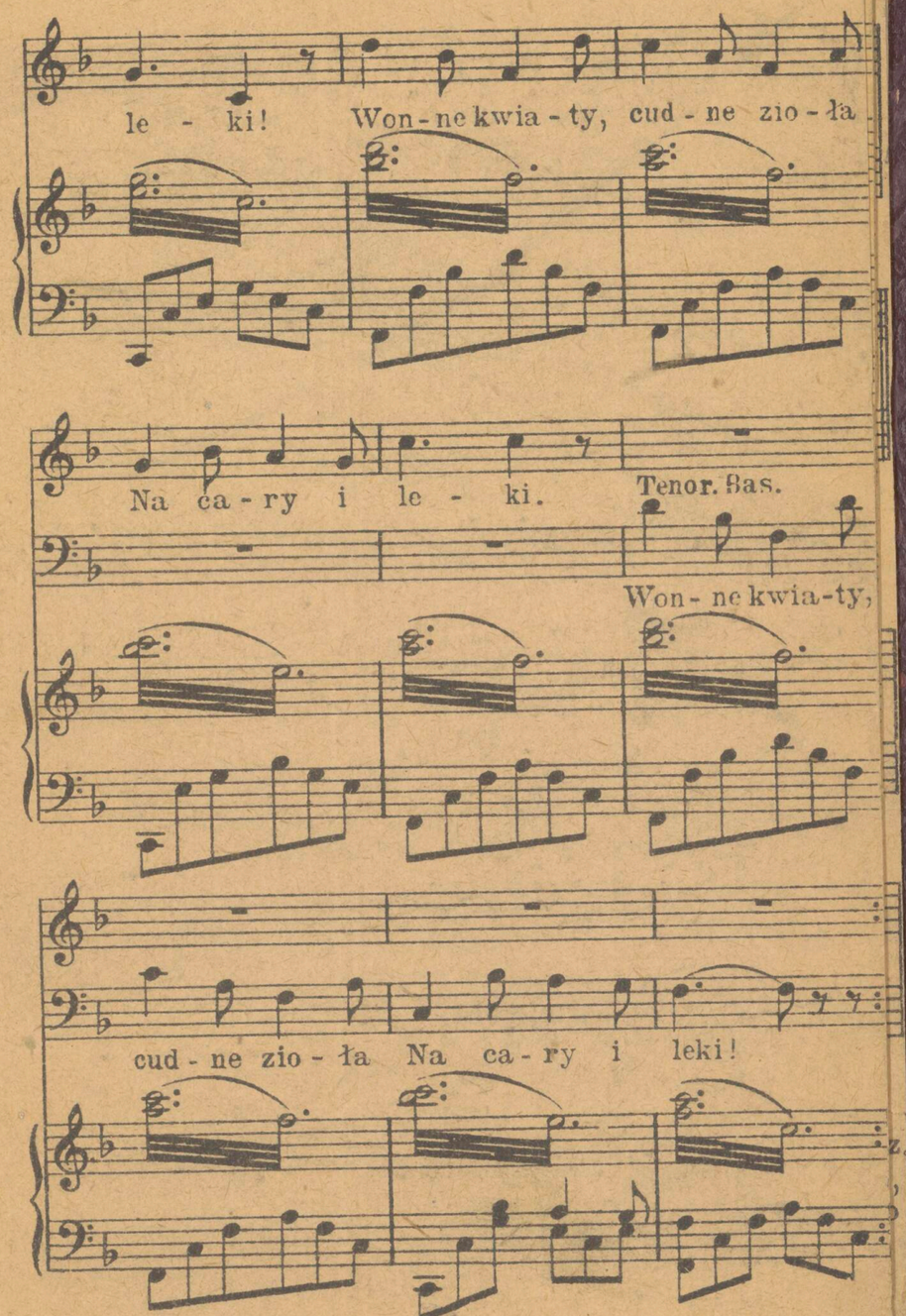


CODA.



AKT 4ty. Chór mieszany.

Nr.18. Moderato.





Kuzdej w warko-cu ___

Kuzdej w warko-cu ___

Lub - cyk za - wiś - nie! ___

Lub - cyk za - wiś -

I ca - ry zo - cu ___

nie! ___

Na chłop-ca ciś - nie. ___

I ca-ry z o

Hop! hop!

cu ___ Na chłop-ca ciś - nie.

hop! hop!

hop! hop! hop! hop! hop!

Kuz - dej w war - ko - cu

Lub - cyk za - wiś - nie

I ca - ry z o - cu

Na chłop-ca ciś - nie. Hop! hop! hop! hop!

hop!

Balada.

Nr. 19. Andante.

p

Tekla.

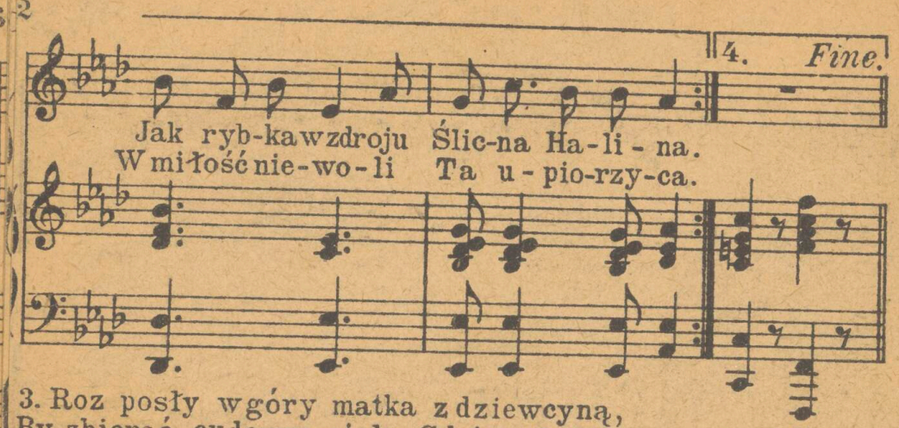
1. Sta-ła cha-tec - ka za ciem - nym bo - rem, U-kry-ta w list-kach z po-
2. Lec drżoł bie-do - cek, bo jej ma - co - cha Cu-łym go wzro-kiem o -

wo - i, A przez te gó - ry codzień wie-co - ren
ta - ca I sep - ce z ci - cha, ze sa-ma ko - cha

Biegł Ja - nek do swej dzie - wo - i.
Za swe-go mę - za prze - zna - ca.

1.2.3.

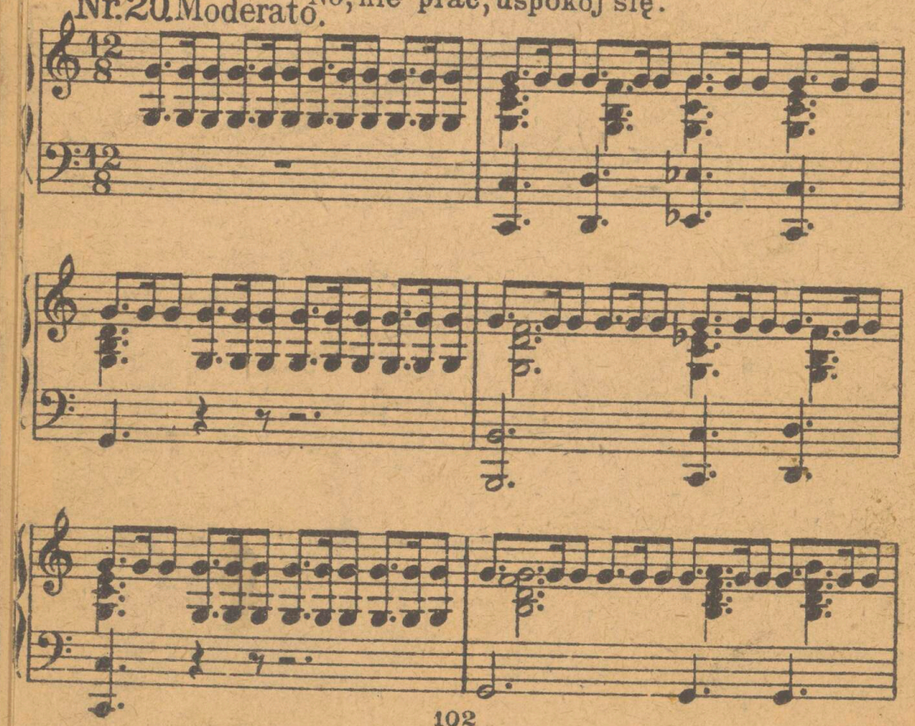
Bo w tym po - wo - ju. Zy - ła dziew - cy - na
Pła - ce swej do - li, Ze się za - le - ca
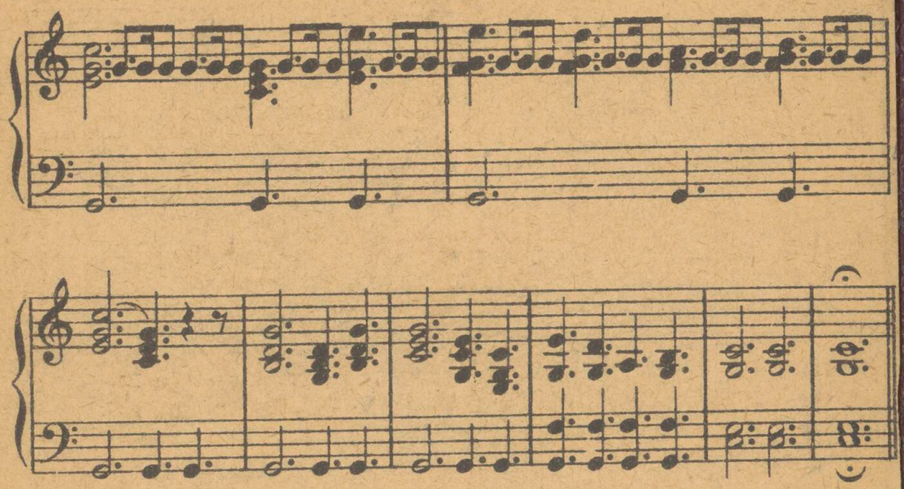


3. Roz posły wgóry matka z dziewcyną,
By zbierać cudowne zioła, Gdzie nad skalistą, wązką ścieżyną
Tak do Haliny zawoła: Widzis to ziele W złotej koronie?
Szczęścia ma wiele, Kto sięgnie po nie.
4. Schyla się dziewcę iw przepaść sięga, Wtem ją potrąca ta żmija, Lec razem z chmury cerwona wstęga
Z grzmotem macochę zabija.

Melodram.

Nr. 20. Moderato. No, nie płac, uspokój się.

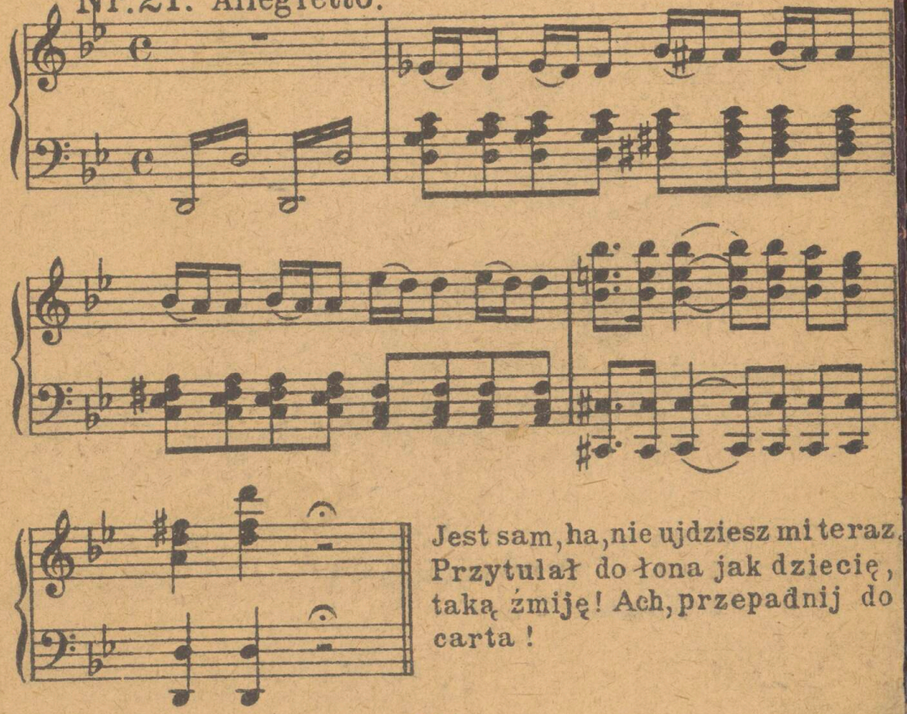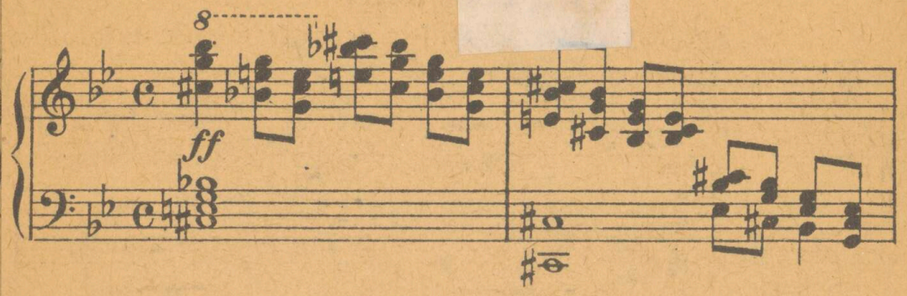




Melodram.

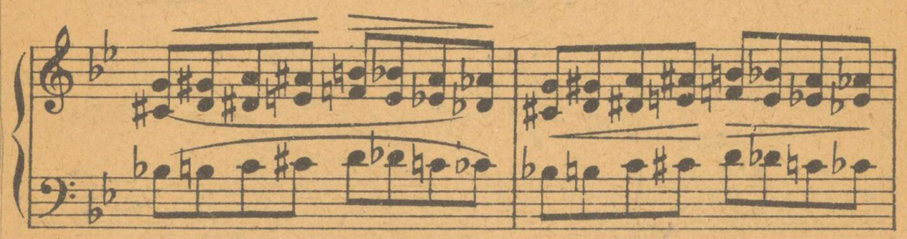
Skryje wos przed burzą, a za to zagoicie niejeden ból i ranę.
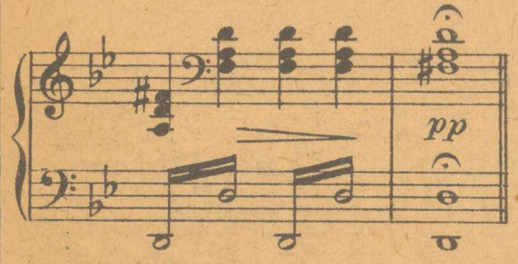
Nr. 21. Allegretto.



Jest sam, ha, nie ujdziesz mi teraz.
Przytulał do łona jak dziecię,
taką żmiję! Ach, przepadnij do
carta!
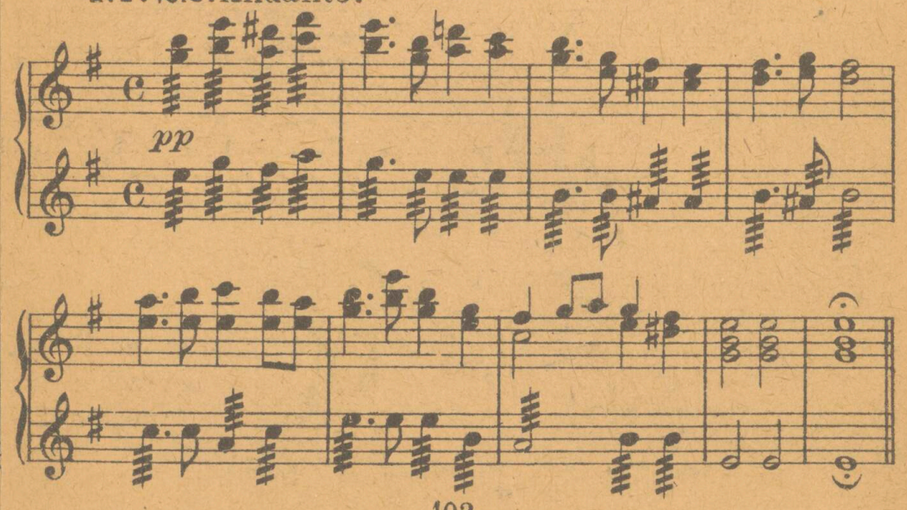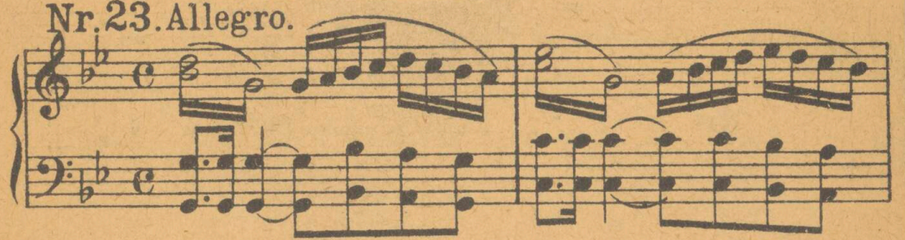






Schowaj swe brednie, głupi chamie, bo ja się nie zlęknę twego przekleństwa.
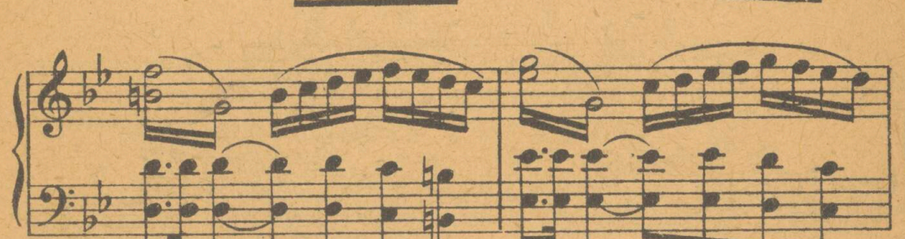
Nr. 22. Andante.
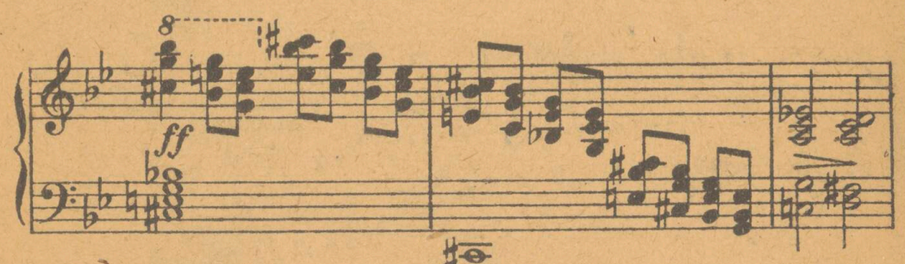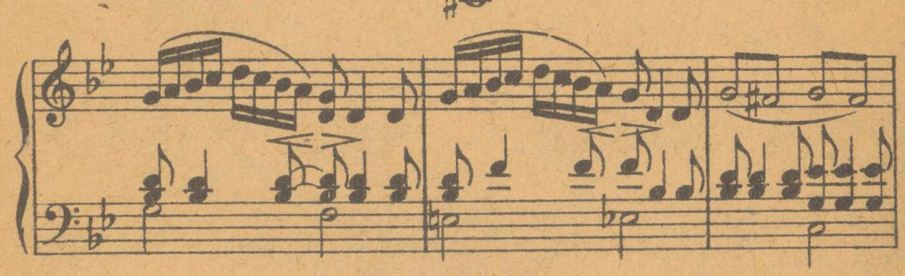


Spojrzyjcie poza siebie, a zobocycie wase dzieło.
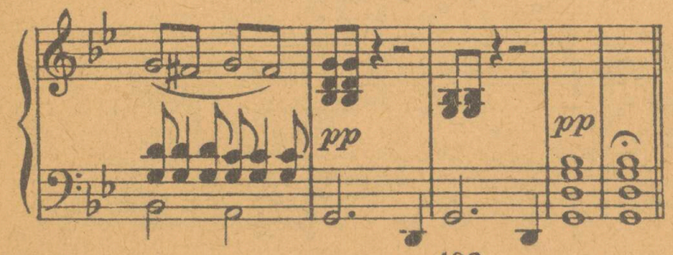
Nr. 23. Allegro.
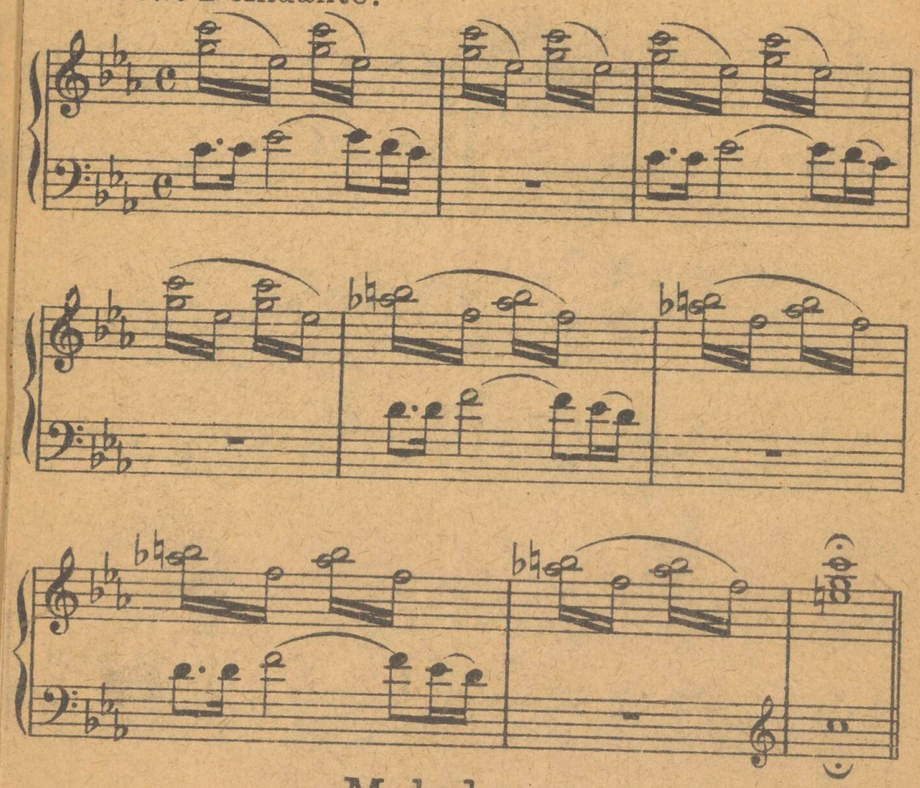










On cie przeciez mo za umarłego. Jo naprzód z nim się oboce, przygotuję.
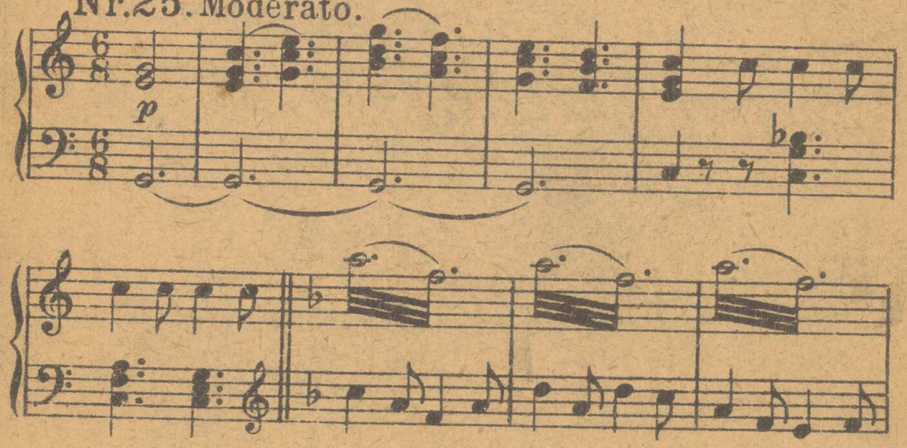
Nr. 24. Andante.
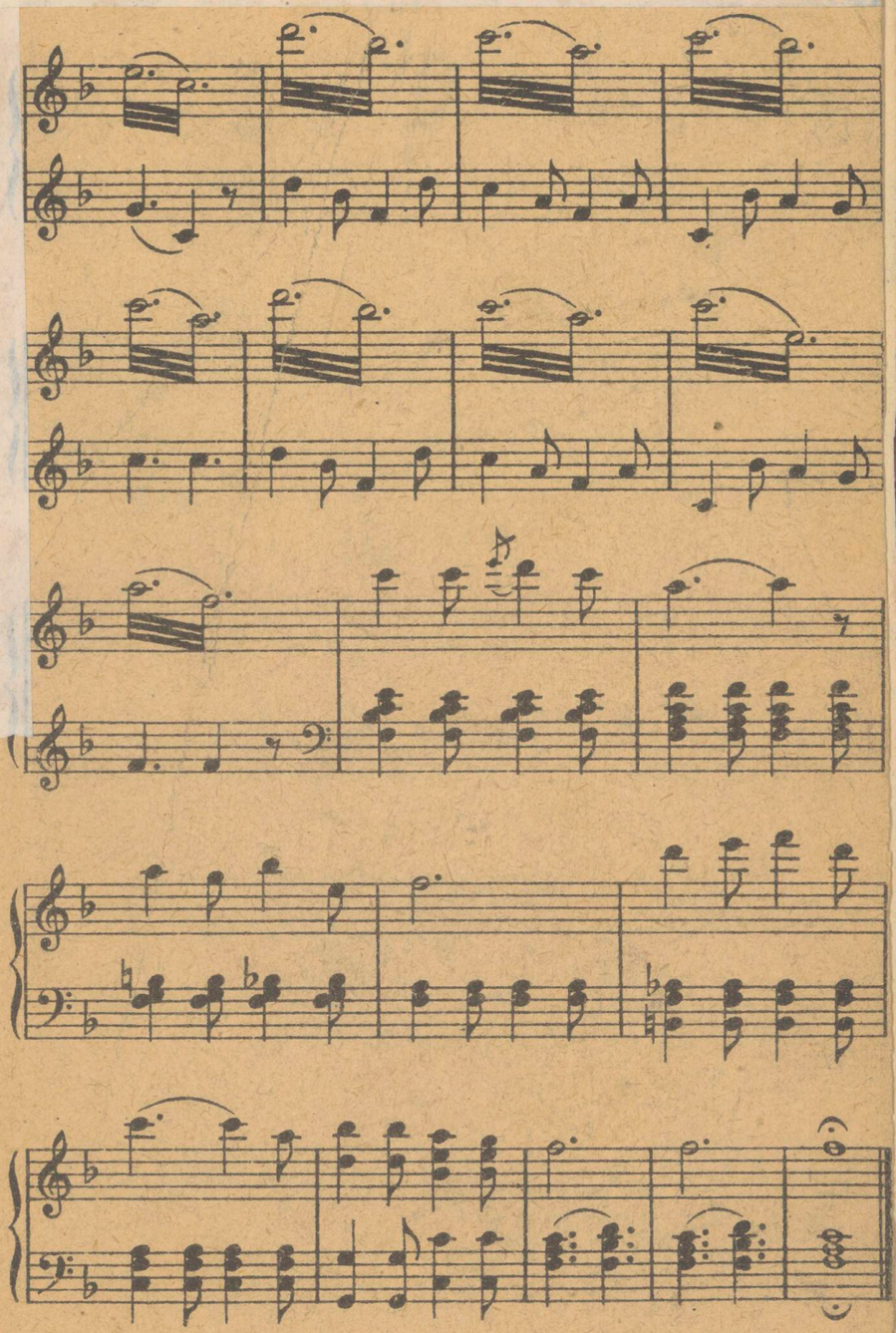


Melodram.

Powrócił ci ojca, a z nim i jego serce. Tatulo twój zyje.

Nr. 25. Moderato.



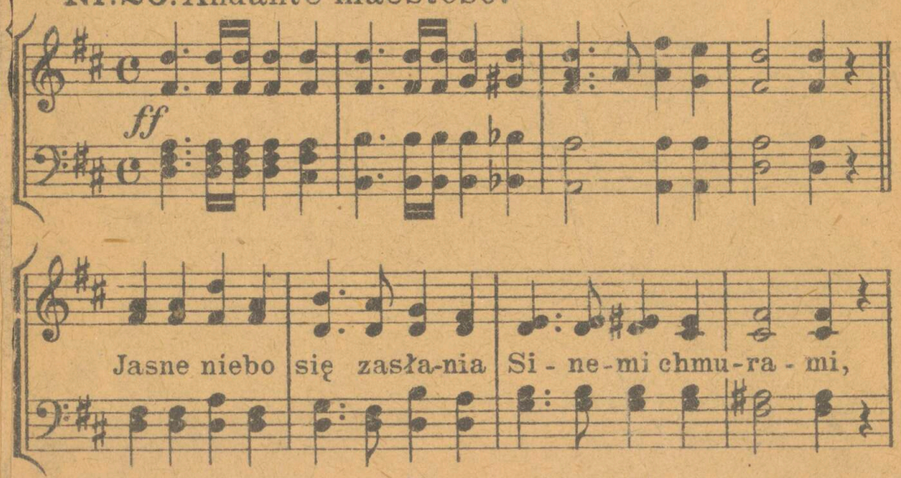


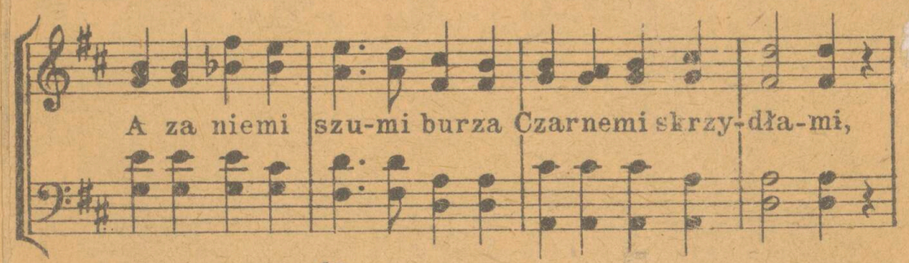
618829
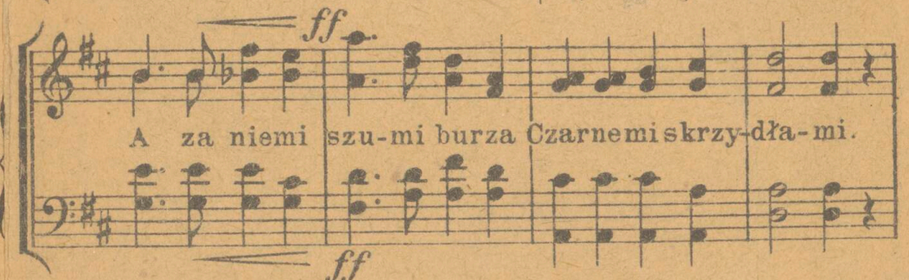
Modlitwa.
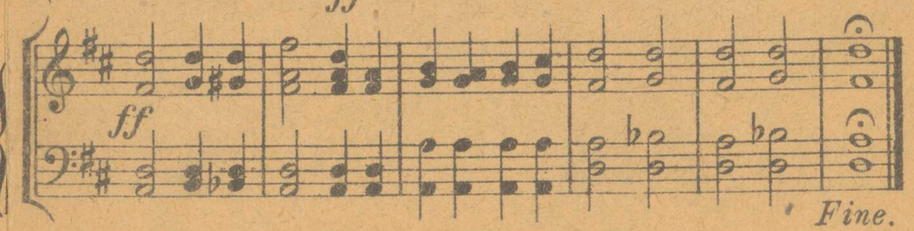
Chór i Finale.

Nr. 26. Andante maestoso.









BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
W ŁODZI

618829

TYLKO NA MIEJSCU



1926.
CZCIONKAMI DRUKARNI „DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO“ TOW AKC.